

Jacek Sobota

Padlina

Wydawnictwo Dolnośląskie

## *Dwie krople deszczu*

Podinspektor policji Charles Dvoyatchny śnił, że popełnia zbrodnię. Sny podobnej treści miewał regularnie. Wszystkie niezwykle realistyczne, dopracowane w szczegółach niczym intrygi sensacyjnych fabuł. Dvoyatchny nikomu o tym nie wspominał. Bał się, że utraci prawo wykonywania zawodu, ewentualnie trafi do Dzielnicowego Domu Wariatów im. Philipa K. Dicka. Stróż porządku publicznego winien śnić wyłącznie o publicznym porządku i jego przestrzeganiu. A mokre sny mogą mu się kojarzyć co najwyżej z deszczem.

Dvoyatchny dorobił się nawet teorii na temat swych nocnych majaków. Sądził, że są odreagowaniem wrodzonej praworządności, którą zawsze i wszędzie kierował się w codziennym życiu.

Tej nocy zamordował uroczego staruszka strzałem w głowę. Wyjrzał przez okno mieszkania ofiary; wychodziło na stary ogród, więc zcałą pewnością „realia” jego snu nie pokrywały się z realiami Miasta-Molocha, a tym bardziej Wschodniej Dzielnicy, zwanej również Doliną.

Z objęć snu wyrwał Dvoyatchnego deszcz. Z bliżej nieokreślonego powodu źle znosił opady atmosferyczne. Katherine Oziem-blo, wychowawczyni z domu dziecka, opowiadała, że gdy go znaleziono, za sprawą głębokiego ukłonu losu w kuble na śmieci, też padał deszcz. „To była istna ulewa” — dodawała zwykle. Być może stąd wzięła się radykalna awersja Dvoyatchnego. Nie przepadał za *Deszczową piosenką*, zupą nazywaną kapuśniakiem oraz za wierszem polskiego poety, w którym obsesyjnie powtarza się fraza „o szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny”. Polską poezję oraz prozę czytał powodowany kryzysem tożsamości, a także przymusem patriotycznym, ponieważ powiedziano mu kiedyś, że jego nazwisko ma polski rodowód. Z tego samego powodu pił polską wódkę. Jednak nikt nigdy nie zdradził Charlesowi, dlaczego nazywa się Dvoyatchny, a nie na przykład Rolls-Royce.

O szyby deszcz dzwonił jesienny, zatem inspektor udał się do knajpy U Boby'ego. Dvoyatchny był wdzięczny losowi za dwutygodniowy urlop, jaki otrzymał po schwytaniu wielokrotnego mordercy na tle religijnym, Boba Sublokatora. Jak się miało okazać, wdzięczność była przedwczesna.

Lokal nie grzeszył komfortem, jednak szyld nad wejściem głosił wszem i wobec, że „u Boby'ego zdrowiej i taniej”. Z niezrozumiałych względów Dvoyatchny wierzył w te zapewnienia.

Boby na przywitanie posłał Dvoyatchnemu jeden ze swoich słynnych drewnianych uśmiechów. Inspektorowi wydawało się, że słyszy odgłos pękających sęków. Jedynym klientem była pijana kobieta, która zabawiała się dogadywaniem Boby'emu. W końcu barman nie wytrzymał i stwierdził, że kobiety są odważne tylko dlatego, że za rzadko dostają po mordzie. Następnie dodał, że to pewnie ztego powodu świat przepełniony

jest facetami, którym się zdaje, że są dżentelmenami.

— Ja tak o sobie nie myślę — dodał Boby.

Kobieta umilkła. Zdaniem Dvoyatchnego brakowało jej finezji, urody oraz trzeźwości spojrzenia.

— To, co zwykle — zadysponował inspektor. — Boby, dopilnuj, żeby nikt nie próbował dziś wymieniać ze mną poglądów na jakikolwiek temat. Nie lubię tego.

Dvoyatchny zasiadł przy stoliku w głębi sali. Pił wódkę jak herbatę. Rażąca niezgodność w rytmie z ogółem pijących skazywała go na samotność. Wyrok losu przyjmował z całą pokorą i pełnym zrozumieniem.

Na zewnątrz miliony deszczowych kropeł popełniało samobójstwo, skacząc z wysokości nieba, tymczasem przez głowę Dvoyatchnego leniwym krokiem przechadzały się myśli egzystencjalne. Poza tym niepokojąco nasiliło się przecucie istnienia kogoś obdarzonego pokrewną Dvoyatchnemu duszą. To dziwne wrażenie towarzyszyło mu od dawna, jednak nigdy nie odczuwał go tak silnie jak teraz. Inspektor Dvoyatchny, nie po raz pierwszy w życiu, jał obawiać się o zdrowie swych zmysłów.

Lokal zapęłniał się niespiesznie, a Dvoyatchny, stopniowo i wprost proporcjonalnie do zwiększającego się stężenia alkoholu we krwi, nabierał przekonania, że świat pozbawiony jest sensu. Dokładnie w momencie, w którym sformułował tak radykalną tezę, w knajpie pojawił się człowiek o twarzy szarej jak popiół. Zupełnie jakby niebiosy postanowiły odpowiedzieć Dvoyatchnemu na wyrażone przed chwilą wątpliwości.

Widok był tak niesamowity, że w lokalu zaległa cisza, maćona tylko odgłosami deszczu, który jak zawsze wygrywał swoje melodie.

Nieznajomy rozglądał się, jakby kogoś poszukując.

— Mam nadzieję, że dobrze pan się czuje — wyraził troskę Boby.

— Nie narzekam — odparł nieznajomy.

— Bo... jakoś tak gwałtownie poszarzał pan na twarzy...

Ktoś nerwowo zachichotał, po chwili wszyscy zaśmiewali się do łez. Napięcie opadło jak płatki z więdnącego kwiatu, zewsząd posypały się niewybredne komentarze.

— To czarnuch, tyle że szary!

— Facet musi palić dowcipy na popiół...

— Mutant jakiś.

Człowiek o szarym obliczu nie zwracał na to uwagi. Jego spojrzenie zatrzymało się na Dvoyatchnym. Inspektor poczuł się nieswojo. Oczywiście nieznajomego również były szare.

— Mogę się dosiąść? — Zapytał.

Dvoyatchny był zaintrygowany, zatem po krótkim wahaniu wyraził zgodę. Jednocześnie zastanawiał się, czy szarzyzna nieznajomego może być zaraźliwa.

— Podinspektor Charles Dvoyatchny, nie mylę się?

— Rozumiem, że pan mnie zna. Ja sobie pana nie przypominam, a sędzę, że

zapamiętałbym pańską twarz.

– Rzeczywiście, wiem o panu sporo. Charles Dvoyatchny; podinspektor policji w dzielnicowym komisariacie Miasta-Molocha. Pomimo młodego wieku szereg spektakularnych sukcesów zawodowych. Wiek – dwadzieścia dziewięć lat. Wzrost: metr siedemdziesiąt osiem. Waga: siedemdziesiąt trzy kilogramy. Sierota i znajda wychowany w domu dziecka. Introwertyk cierpiący skrycie na monofobię, czyli lęk przed samotnością. Ulubiony kolor: czarny. Ulubiony film: *Nierozłączni* Davida Cronenberga. Znak zodiaku: Bliźnięta. Nawiasem mówiąc, bliźnięta to symbol dualizmu ludzkiej natury. Symbolizują również rodzeństwo, z którego jedno jest dobre, drugie zaś złe; jedno pomocne w dziele budowania cywilizacji, drugie destrukcyjne. Chaos i ład.

– Nie mam zielonego pojęcia, do czego pan zmierza, panie.

– Nazywam się Grey – nieznajomy uchylił kapelusza. Dvoyatchny wolałby, żeby uchylił rąbka tajemnicy.

– Taaa. Nie wiem też, skąd czerpie pan informacje na mój temat. Moje dane, jako funkcjonariusza służb porządku publicznego, objęte są dość ścisłą tajemnicą. Mógłbym pana aresztować, panie. Grey.

– Posiadam odpowiednie pełnomocnictwa, inspektorze. Jestem oficerem Interpolu. Myślę, że słyszał pan o tej instytucji. Mamy bogate tradycje.

– Ale.

– Lubię wiedzieć wszystko o ludziach, z którymi przyjdzie mi współpracować.

– Nie rozumiem.

– Potrzebuję pańskiej pomocy, Dvoyatchny. Potrzebuję pomocy człowieka, który zna Wschodnią Dzielnicę jak własną kieszeń.

– Jestem w tej chwili na zasłużonym urlopie. Mój bezpośredni przełożony.

– Pański bezpośredni przełożony, inspektor Josef Nobody, został już poinformowany. Tworzy pan wraz ze mną dwuosobową grupę operacyjną o specjalnych uprawnieniach.

– Ma pan na wszystko gotową odpowiedź.

– Szczycę się swoim profesjonalizmem. Dvoyatchnemu krew uderzyła do głowy.

– Pan jest profesjonalistą! – krzyknął, czuł bowiem realne zagrożenie ciągłości urlopu. – Tu jest Dolina, mój panie! Dolina, rozumie pan?! Tu żyje ponad trzy miliony ludzi!!! Różnokolorowych, choć szarego pośród tego mrowia nie uświadczysz! Stłoczeni na stosunkowo niewielkim obszarze! Tu co trzy minuty ginie człowiek, a co dwie przychodzi na świat kolejny, który najprawdopodobniej również niebawem będzie trupozem! A wykrywalność sprawców waha się w granicach czternastu procent! !! Pan mi mówi o profesjonalizmie? No i jeszcze ten deszcz.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że znajdujemy się w tak zwanej Dolinie, inspektorze Dvoyatchny. *A propos*, czy wie pan, że dolina symbolizuje, między innymi, kobiece łono? – Grey nie przejął się dramatyczną przemową Dvoyatchnego.

— Nie sądziłem, że profesjonaliści pozwalają sobie na takie frywolności. — rzekł Dvoyatchny z bezsilnym przekąsem.

— Deszcz z kolei to symbol boskiej płodności. Taka boska sperma. Zabawne skojarzenie, prawda?

— Rzeczywiście. Jeśli ma pan pod ręką jeszcze jakieś, to proszę mi go nie zdradzać. Mógłbym pęknąć ze śmiechu. Ale chodźmy stąd w jakieś spokojniejsze miejsce. Jestem ciekaw pańskiej historii.

Wyszli na deszcz. I znowu Dvoyatchny doznał przeczucia, że istnieje na świecie ktoś niezmiernie mu bliski. I nie chodziło bynajmniej o Monikę Zangwill, nauczycielkę, lat dwadzieścia osiem, z którą nie łączyło go nic prócz nieodwzajemnionej miłości.

Mieszkanie Dvoyatchnego zawałone było stertami książek, w większości nieprzeczytanych. Inspektor łudził się, że kiedyś uda mu się nadrobić dotkliwe braki w kulturze słowa.

Grey potknął się o *Przypadki Robinsona Crusoe*, Dvoyatchny pośliznął na *Długim pożegnaniu* Chandlera. Kiedy zajaśniało światło, mogli unikać podobnych pułapek.

Rozsiedli się w fotelach. Głosem dystyngowanym i pełnym oszczędnego dystansu Grey zrelacjonował historię pewnego śledztwa. Bohaterem opowieści był niejaki Jonathan Twinson, bezduszny i sprawny morderca, którego oblicze stanowiło nieodgadnioną tajemnicę. Podążając tropem Twinsona, Grey znalazł się w Mieście-Molochu. Do tej pory morderca działał wyłącznie na terenie Europy. Początkowo jego osobę wiązano ze zbrodniczą organizacją faszystowską Organisation Secrete d'Action Revolutionnaire et Nationale, finansowaną ongiś przez Mussoliniego, a reaktywowaną niedawno. Jednak Twinson był człkiem niezależnym, a dla wspomnianej organizacji wykonał tylko kilka zleceń.

— Psychopata? — zapytał Dvoyatchny bez cienia ciekawości w głosie.

— Nie mamy co do tego całkowitej pewności.

— A skąd pewność, że znajdziemy go na terenie Doliny?

— Moje informacje są ścisłe, a ich źródło musi pozostać tajemnicą.

— Z tego, co do tej pory usłyszałem na temat pana Twinsona, żadna informacja o nim nie może być ścisła. Facet to współczesny pod każdym względem Zorro, przy czym współczesność rozumiem jako pewien brak. Brak sentymentów. Brak pretensji do szlachetności. Można by te braki mnożyć, aż uzyskalibyśmy pustynię mentalną. Co to, do diabła, znaczy, że jego twarz jest nikomu nieznaną?

Dvoyatchny podszedł do okna. Oczywiście wciąż padało. Patrzył na Czternastą Ulicę, dokładnie na miejsce, gdzie przed laty zamordowano Prezydenta Federacji. Oto jedno z nielicznych historycznych miejsc w Dolinie.

— Znaczenie moich słów jest dość oczywiste, inspektorze — odparł Grey. — Rysopis pana Twinsona jest nam nieznaną.

— Dziwi mnie, że w ogóle znacie jego nazwisko.

— Zapewne fałszywe. Tak przedstawiał się swoim zleceniodawcom.

- Czy owi zleceniodawcy nie mogliby podać rysopisu Twinsona?
- Rozmawiał z nimi telefonicznie.
- Sądzi pan zatem, że kolejne zlecenie wykona na terenie Doliny. Dlaczego?
- Moje informacje są ścisłe.
- To już słyszałem. Mógłby pan podać nazwisko kolejnej ofiary Twinsona?
- Nie.
- W jaki sposób mamy go pojmać?
- Jest zbrodnia, zatem musi być i kara.
- Pan pije do Dostojewskiego. — Dvoyatchny odszukał wzrokiem półkę z książkami rosyjskiego pisarza. Postanowił kontynuować grę w tytuły, mimowolnie rozpoczętą przez Greya. — Jest pan idiotą, Grey.
- A pan, w gruncie rzeczy, młodzikem.
- Odbył pan swoją. odyseję nadaremnie. Dolina to nie Itaka, Grey, a pan zachowuje się jak prostaczek za granicą.
- Proszę tak nie mitologizować swojej Doliny. To żaden tam zaginiony świat. Owszem, przewiduję pewne problemy ze znalezieniem Twinsona. Ale kłopoty to moja specjalność.
- Poddaję się. — Dvoyatchny nie miał innego wyjścia. W zasięgu jego wzroku znajdował się bowiem już tylko *Słownik filozofii* Didiera Julii i nie bardzo wiedział, jak wkomponować ten tytuł w rozmowę. Bardziej odczytany Grey czerpał tytuły z pamięci. Dvoyatchny postanowił zmienić temat.
- Skąd ta nietypowa karnacja pańskiej skóry? Eksperyment genetyczny? Olejek do opalania? Jest pan nieudanym prototypem supermana?
- Dlaczego nieudanym? — po raz pierwszy, odkąd się poznali, Dvoyatchny ujrzał na twarzy Greya coś, co niemal odpowiadało definicji uśmiechu. — Kolor szary ma oczywiście swoje znaczenie symboliczne. W tej chwili jednak nie zdradzę panu jakie. Napiłbym się gorącej herbaty.
- Dvoyatchny udał się do kuchni i wydał stosowne dyspozycje czajnikowi. W drodze powrotnej sięgnął po swój żelazny zapas wódki.
- Musiał pan mieć cholernie ciężkie dzieciństwo — postawił wódkę na stole.
- Nie cięższe niż pan, inspektorze. Pozwoli pan, że pozostanę przy herbacie?
- Dvoyatchny pozwolił.
- Ciągłe nie rozumiem, dlaczego właśnie ja? Ktoś mnie panu polecił? Uważam, że Nobody jest lepszy.
- Proszę mi powiedzieć, Dvoyatchny, dlaczego właściwie zdecydował się pan na zawód policjanta?
- Nie zastanawiałem się nad tym. Z całą pewnością nie było to zrządzenie czuwającej nade mną Opatrzności. Przekonuję się o tym, ilekroć widzę stan mojego konta. Prędzej był to traf, który, jak wiadomo, bywa ślepy i trafia kulą w płot.
- To nie był przypadek, Dvoyatchny. W pańskiej naturze jest nadawanie światu

sensu, porządkowanie, przeciwdziałanie chaosowi. A Twinson jest ucieleśnieniem chaosu.

– Z tego powodu wybrał pan mnie?

– Między innymi.

– Sądzi pan, Grey, że świat nie jest pozbawiony sensu?

– Myślę, że będąc na moim miejscu, myślałby pan podobnie.

Zapadło milczenie. Do okien dobijał się deszcz jesienny. Grey pił herbatę, Dvoyatchny wódkę. Pili w tym samym tempie.

Hol komisariatu Wschodniej Dzielnicy od dziesięcioleci utrzymywany był w barwie krwistoczerwonej, co nie miało racjonalnych przesłanek. Tradycja rzadko rości sobie prawo do racjonalności.

Na ścianach wisały starannie oprawione w ramki wycinki z gazet wieszczące o spektakularnych sukcesach funkcjonariuszy komisariatu. Wycinków donoszących o klęskach nie wywieszano. Dvoyatchny pomyślał, że pewnie niedługo zawiśnie tu wycięty z „Moloch News” artykuł o aresztowaniu Boby'ego Sublokatora. Sprawa Boby'ego znajdowała się właśnie na wokandzie i wszystko wskazywało na to, że Sublokator niebawem po raz ostatni w życiu zasiądzie na krześle.

Dvoyatchny wspiał się na drugie piętro. Wszedł bez pukania do gabinetu inspektora Josefa Nobody'ego.

Nobody, jak miał to w zwyczaju, siedział z nogami zarzuconymi na stół i wertował przedwczorajszą gazetę. Poza tym bez przyjemności palił papierosa. W ogóle sprawiał wrażenie człowieka, któremu bardzo niewiele czynności sprawia przyjemność. Obrzucił Dvoyatchnego krótkim spojrzeniem i wrócił do lektury.

– Sądziłem, że jestem na urlopie – rzekł Dvoyatchny z wyrzutem w głosie.

– Sądy są od sądenia – Nobody nie oderwał się od gazety.

– O co chodzi, Jos? – Dvoyatchny był poirytowany i nie krył się z tym. – Nie mamy co robić?! Wykrywalność.

– Wiem, wiem. Czternaście procent i tak dalej. Przyszedłeś tu zapewne w sprawie pana Greya?

– Tak.

– Wiem o nim tyle, co kot napłakał, a koty nie płaczą. Wiem, że jego nazwisko jest dowcipem, a wygląd – wyglądem szarego obywatela tego świata. Bez wątpienia jest również szczęśliwym posiadaczem szarych komórek. Podaje się za oficera Interpolu i życzy sobie współpracować ztobą, znikim innym. Nie mam szarego pojęcia, skąd ciebie zna i dlaczego wie o tobie tak dużo. Nie widzę jednak między wami żadnego podobieństwa, również w kolorze skóry. Przypuszczam zatem, że nie łączy was pokrewieństwo ani też inne koneksje. Dodam, że tak zwane czynniki oficjalne zwróciły się do mnie z prośbą, bym traktował życzenia pana Greya jak polecenia służbowe. Trochę mnie to wszystko irytuje, myślę jednak, że nie bardziej niż ciebie.

W czasie tej przemowy Dvoyatchny rozglądał się za miejscem nadającym się do



siedzenia. Daremnie. Pokój Nobody'ego przypominał skup makulatury nienadążający zprzerobem surowców wtórnych. Stosy dalekich od ukończenia raportów i kurz podnoszący swój bezkształtny łeb przy każdym gwałtowniejszym poruszeniu. Dvoyatchny nie miał wyjścia — musiał stać.

— Może usiądziesz? — zapytał Nobody bez śladu ironii w głosie.

— Słyszałeś o Jonathanie Twinsonie?

— Grey coś o nim wspominał. Jakiś trupiaryz zawodowy.

— Zastanawiające, że nie słyszeliśmy do tej pory o takim wyczynowcu. — Dvoyatchny zawiesił głos.

— Nigdy nie wieszaj głosu w mojej obecności, Charlie — zdenerwował się nieoczekiwanie Nobody. — Nie znoszę tego. Tani i teatralny chwyt. Nikt nikogo nie wie o ponad stu lat, bo to podobno niehumanitarne. Jeśli już musisz eksterminować swój cholerny głos, to raczej sadzaj go na krześle elektrycznym. Być może Twinson nie dba o reklamę. Chyba za mocno przejąłeś się tą sprawą, Charlie. W końcu nawet nie mamy pewności, że Twinson istotnie jest w Dolinie. A jeśli nawet, to może tylko w celach rekreacyjnych. Pokaż panu Greyowi Dolinę, jeżeli jest złańkiony sennych koszmarów na jawie. Traktuj to jak urlop. I rozluźnij się, chłopcze. Wiem, nerwy. Sublokator o mało cię nie dostał, ale przecież to my dostaliśmy skurwysyna. Cześć. Muszę ukończyć raport.

— Byłby to biały kruk.

— Później ustalę cenę wywoławczą. Zmiataj.

— Jeszcze jedna prośba, Jos. Niech Jajogłowy dowie się czegoś o panu Greyu. Wiesz, jak to jest.

— Wiem. Czternaście procent i tak dalej. Wynos się, Charlie. Mam potwornego kaca, a gdzieś pośród stosu tych akt znajduje się przemyślnie ukryta buteleczka, nie pamiętam tylko, w jakim stopniu pełna, a w jakim pusta. Od jutra rzucam picie, ale dziś.

— Nobody zgilotynował własny głos.

Umówili się z Greyem w East Show, knajpie, która niezastuzenie cieszyła się w Dolinie estymą. Główną atrakcją były tu cotygodniowe brutalne widowiska *sex-jitsu*, czyli wojna płci przeniesiona na ring.

Z zewnątrz lokal nie prezentował się efektownie. Tania buda otoczona błotnistym podjazdem. Latające limuzyny pojawiały się jak stado sępów, które szóstym zmysłem wyczuwają padlinę. Padał deszcz. Szare niebo kojarzyło się Dvoyatchnemu z fizjonomią Greya.

Grey był już w środku. Zasiadł przy stoliku maksymalnie oddalonym od centralnie ulokowanego ringu i oszczędnymi łykami popijał parującą herbatę. Wzbudzał swoim wyglądem umiarkowaną sensację, wszyscy bowiem czekali na walkę.

— Nie uważa pan, że nasze śledztwo ma jak dotąd dość szczególny przebieg? — zapytał Dvoyatchny. — Spotykamy się w różnych lokalach, rozmawiamy o domniemanym sensie świata, jego wymiarze symbolicznym, o literaturze. O wszystkim,

tylko nie o panu Twinsonie i jego potencjalnych ofiarach. Trochę to odległe od zwyczajowej procedury. Czy tam u was, w Europie.

— My nie prowadzimy śledztwa, inspektorze — przerwał Dvoyatch-nemu Grey.

— Nie rozumiem.

— Czekamy na pierwszy ślad, czyli pierwszy mord, jakiego bez wątpienia dopuści się Twinson.

— Trochę to cyniczne.

— Więc zmienmy temat. Widzę na sali kilka znakomitości Miasta-Molocha.

— Myślałem, że to ja mam być pańskim przewodnikiem.

— Tak, ale po rynsztokach, nie po salonach. Założę się, że nie ma pan pojęcia, kim jest ten dwumetrowy bez mała dżentelmen przechadzający się po sali groteskowym krokiem?

— Rzeczywiście.

— To Derek Kinoll, malarz. Słynny, a co ważniejsze — kupowany. Słynie z niesłychanego rozmachu wizji. Złośliwi powiadają, że zawdzięcza go imponującemu zasięgowi ramion i długim pędzłom. Albo ten postawny, siwiejący blondyn.

— Tego znam — przerwał Greyowi wywód Dvoyatchny. — To Thomas Voytulevitch. Zaczynał od sieci sklepów warzywniczych, a teraz jest właścicielem sieci przedszkoli i niewielkich burdeli.

— Pan zna tylko jeden aspekt jego działalności. Tymczasem Voytulevitch jest także wielkim miłośnikiem i mecenasem sztuki, dawniej — również sponsorem Kinolla.

— Do czego pan zmierza, Grey?

— Do tego, że świat jest w istocie wieloaspektowy, pluralistyczny, wymykający się prostym analogiom, nie do objęcia jedną definicją. Ale jednak sensowny.

— Nie zgadzam się. Sensy nadają światu ludzie. Tyle sensów, ilu ludzi, oto koronny dowód na bezsens świata. Religijne systemy, filozoficzne teorie, prawne kodeksy. wszystko to jest protezą sensu. Co więcej, ludzie tworzą to wszystko z wyrachowania i egoizmu, choć czasem także z powodu zagubienia. Świat trzeba sobie jakoś „ustawić” we łbie, co oczywiście nie ma nic wspólnego z tak zwaną „obiektywną prawdą”; inaczej nie da się w nim żyć. Nie wierzę w sens. Nie wierzę w altruizm. Nie wierzę w sens altruizmu.

— Nic nowego. Wpadło na to przed panem kilku filozofów, choćby Thomas Hobbes i jego słynna umowa społeczna.

— To tylko mnie utwierdza w moim.

— Jest pan człowiekiem zgorzkniałym. No a miłość? Co z miłością?

— To sprawa hormonów.

— A Monika Zangwill?

— Skąd. — Dvoyatchny posadził głos na krześle elektrycznym.

— Moje informacje.

— ...s ą ściśle. Irytuje mnie pan, Grey.

– Czy wie pan, co powiedział o miłości Albert Camus? Czytał pan *Dżumę*? Pan jest nieukiem, Dvoyatchny. Camus ujął to tak: „Nie jest ważne, czy ktoś nas kocha, ale czy my sami zdolni jesteśmy do miłości”. Piękne, prawda?

– Ale.

– Pozwoli pan, że powiem coś jeszcze. Potem rozejdziemy się, by mógł pan spokojnie spędzić bezsenną noc na bezproduktywnych rozmyślaniach. Pan jest sceptykiem, Dvoyatchny. Sądzi pan, że świat jest chaosem bez początku i bez końca, a jednocześnie próbuje pan przeciwdziałać aspektom tegoż chaosu, co, zgodnie z wyznawanym przez pana światopoglądem, jest zajęciem idiotycznym, bo beznadziejnym. Filozoficzne rozdzielenie. to charakterystyczne dla zodiakalnych Bliźniąt.

Na ringu rozpoczęła się walka. Atmosfera gęstniała jak stara zupa.

– To się nie opłaca — powiedział Grey.

– Co się nie opłaca?

– Sceptycyzm. Słyszał pan o Zakładzie Pascala? Blaise Pascal, filozof. Udowodnił, że opłaca się wierzyć w Boga. Jeśli bowiem Bóg nie istnieje, to zarówno nasze niedowiarstwo, jak i wiara nie przynoszą żadnych korzyści. Natomiast jeśli istnieje, to wiara przynosi nam, bagatela, życie wieczne. Odpowiednio — niewiara w tym wypadku oznacza całkowitą klęskę. Niech pan sobie wyobrazi, że za ładem świata stoi Bóg. Opłaca się wierzyć, zapewniam pana.

– A jednak sceptycyzm bywa postawą obronną — powiedział Dvoyatchny. — Pozwala uniknąć dotkliwych rozczarowań.

– Często bywa tych rozczarowań przyczyną, panie Dvoyatchny.

Zgodnie z przewidywaniami Greya, Dvoyatchny spędził noc na jałowych dywagacjach. Cała ta historia o Twinsonie wydała się inspektorowi naciągana. Oto oficer Interpolu, obdarzony przez macochę naturę skórą o barwie popiołu, zjawia się w Dolinie, by schwytać niebezpiecznego przestępcę. Nie zna jego twarzy, na dobrą sprawę nic o nim nie wie. Z tajemniczych powodów jest jednak przekonany, że kolejny mord zostanie popełniony właśnie na terenie Doliny. Wniosek: Grey wie więcej, niż mówi. Ale dlaczego ukrywa przed Dvoyatchnym ważne dla śledztwa informacje? I jakim cudem wiedział tyle na temat samego Dvoyatchnego? Skąd mógł się dowiedzieć o preferencjach filmowych Dvoyatchnego? Inspektor właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę, że istotnie, z jakichś powodów to właśnie *Nierozłączni* Cronenberga z genialną podwójną rolą Jeremy Ironsa wydawali mu się niesłychanie dobrym obrazem. Zagadka w zagadce.

Przecucie bliskiej obecności pokrewnej Dvoyatchnemu duszy nasilało się niepokojąco.

Próbował czytać *Panią Bovary*, ale treść książki umykała przed jego świadomością, a nie miał ochoty na pościgi.

W ten sposób doczekał świtu. Szarego świtu.

Od śniadania oderwał go śpiew telefonu. Dziś śpiewał basem, wczoraj — falsetem. Przez krótką chwilę żywił irracjonalną nadzieję, że rozmówczynią okaże się Monika Zangwill, nauczycielka, lat dwadzieścia osiem. Podobno wciąż samotna.

Ale to tylko Nobody.

— Mamy trupa — rzekł.

— Twój trup nie robi na mnie wrażenia. W Dolinie co trzy minuty.

— A wykrywalność sięga czternaście procent. Dzwonię, bo jeszcze jesteś policjantem i powinieneś poczynić pewne kroki w celu schwytania przestępcy. To twoja praca. Tego oczekuje od ciebie społeczeństwo. Poza tym Grey jest przekonany, że mordercą jest pan Twinson. Nie wiem, skąd czerpie pewność, ale widzę, że posiada głębokie jej pokłady. Dzwonię z miejsca zbrodni. Jest tu także pan Grey. Stoi sobie przy oknie i z nieodgadnionym wyrazem szarej twarzy czyni użytek z szarych komórek. Ten facet mnie niepokoi. Przyjeżdżaj. Sto Piętnasta Ulica. Budynek numer siedem.

— Będę.

Sto Piętnastą Ulicę zamieszkiwała różnokolorowa ludność będąca stałym obiektem napaści neonazistowskich, whitepowerowskich ugrupowań w stylu Whiteheadów. Ci ostatni z kolei bywali regularnie atakowani przez bojówki neokomunistycznych Redheadów i *vice versa*. Wszyscy byli wytworem miasta. Miasto było wytworem ludzi. Dvoyatchny pomyślał, że w świetle tych faktów wywody Greya na temat sensu świata traciły sens.

Wokół budynku numer siedem kłębił się tłumek ciekawskich. Kordon umundurowanych przepuszczał nielicznych, w tej liczbie i Dvoyatchnego. Z tłumy posypały się niewybredne komentarze. Mimo nieustannego zagrożenia największą niechęcią społeczności lokalnej cieszyli się policjanci.

Dvoyatchny wszedł na klatkę schodową. W nozdrza bił ostry jak brzytwa smród uryny i piwnicznej wilgoci. Odgłosy wydawane przez ekipę śledczą dochodziły gdzieś z góry, a windy nie było.

Dvoyatchny podjął wspinaczkę po stromych schodach. Na trzecim piętrze spotkał Nobody'ego.

— I co my tu mamy?

— Sito, bracie. Siedemnaście strzałów i wszystkie celne.

— Sporo.

— W okolicach dwunastego wystrzału sąsiedzi zapewne pomyśleli, że co za dużo, to niezdrowo, i postanowili zawiadomić policję. Gdyby morderca nie był aż tak ekstrawagancki i poprzestał na standardowym strzale w łeb, dowiedzielibyśmy się o tym za jakieś dwa tygodnie.

— Rysopis?

— Nic. Mamy bardzo powściągliwych świadków. Nikt nie podszedł do judasza, jakby w obawie przed jego pocałunkami. Nikt nie chce się znaleźć w sądzie. Nawet w

charakterze świadka. To Dolina, Charlie.

– Taaa... czternaście procent – powiedział Dvoyatchny i uśmiechnął się. Nobody odpowiedział mu tym samym.

Weszli do mieszkania. Laborant zdejmował odciski palców z framugi drzwi wejściowych, policyjny fotograf robił zdjęcia.

Trup spoczywał w spokoju w kuchni i sprawiał wrażenie zimniejszego od lodówki. Nad ciałem, w zadumie, pochylał się koroner.

Przy oknie stał zadumany Grey. Robił na członkach ekipy daleko większe wrażenie niż kuchenny trup.

– Jeden z pocisków zmasakrował twarz, pozostałe utkwiły w korpusie – powiedział Nobody do Dvoyatchnego.

– A co z *corpus delicti*? – zainteresował się Dvoyatchny. – Znalezione narzędzie?

– Nie.

– Piętnaście zsiedemnastu strzałów było śmiertelnych – stwierdził koroner.

– To po co aż siedemnaście? – Dvoyatchny wyszedł z kuchni.

– Wariat. Jeśli mamy do czynienia z psychopatą na miarę Sublokatora, będą kłopoty. – Nobody zapalił papierosa. – Trzeba będzie skonsultować się z jakimś psychiatrą.

– Zgon nastąpił przed godziną – znów odezwał się koroner.

– To Jonathan Twinson – przerwał milczenie Grey. Nobody spojrzął na niego niechętnie. Postanowił kontynuować wywód.

– Zabójca nie posłużył się tłumikiem. Większość mieszkańców słyszała strzały, nikt jednak nie dostrzegł sprawcy. Co wymagało z ich strony pewnego wysiłku.

– Dlaczego pan myśli, że to Twinson? – zapytał Dvoyatchny Greya.

– Intuicja.

– Pan coś wie, prawda Grey? – wtrącił się Nobody. – Może zechciałby pan łaskawie zaoszczędzić nam wszystkim nieco czasu?

– Obawiam się, że nie mogę panu niczego oszczędzić, Nobo-dy. Nawet rozczarowań.

Ofiarą był niejaki James Gainsborough, emerytowany naukowiec, genetyk, siedemdziesiąt dwa lata, kawaler. Sąsiedzi określali go jako człowieka samotnego. Całkowity brak przyjaciół, wrogów i ludzi nastawionych do niego neutralnie. Denerwujący bywał jedynie jego zwyczaj grywania na skrzypcach. Grywał jednak wyłącznie pod wpływem alkoholu. Sąsiedzi dziękowali Bogu, że Gainsborough nie gra na saksofonie i że nie jest alkoholikiem. Nikt oczywiście nie wiedział, komu mogłoby zależeć na śmierci uczonego.

Nawet Jajogłowy nie dodał żadnych rewelacji do portretu Gainsborougha.

– Właściwie nie mamy nic konkretnego – powiedział Dvoyatchny do Greya po

przejrzeniu raportów.

Siedzieli w gabinecie Dvoyatchnego; Grey niedbale wertował akta.

— Może jednak coś mamy, ale nie potrafimy tego dostrzec. Rzeczywistość z natury jest bardzo skryta.

— Od jakiegoś czasu, właściwie od początku naszej znajomości, mam nieodparte wrażenie, że wie pan znacznie więcej, niż mówi.

— Obawiam się, że musimy poczekać na kolejny ruch Twinsona.

— Czyli na morderstwo? Myśli pan, że te zabójstwa ułożą się w jakiś czytelny wzór. Tylko skąd pewność, że będą jeszcze jakiegokolwiek morderstwa i że mordercą Gainsborougha był Twinson? A może pan wie, kim ma być kolejna ofiara, Grey? Jaka grę pan prowadzi?

Dvoyatchny podszedł do Greya i złapał go za kłapy nienagannie skrojonej (szarej) marynarki. Grey bez wysiłku uwolnił się z uchwytu. W jego delikatnych na pierwszy rzut oka dłoniach drzemała niesłychana siła.

Nagle wtargnięcie Jajogłowego zapobiegło konfrontacji. Jajogłowy przypominał kreta; był porównywalnego wzrostu i miał podobnej jakości wzrok wspomagany implantem. Uchodził za komputerowego geniusza. Powszechnie uznawano go również za or-dynusa. Budził u swych bliskich znajomych uczucia litości, sympatii, nienawiści, antypatii, mściwości, skrajnej irytacji i niekłamanego podziwu. Jak każdy zdrowy człowiek.

— Facet związany był z korporacją Boha — powiedział Jajogłowy.

— Tego Boha? — zainteresował się Dvoyatchny.

— Jaki facet? — spytał Grey.

— Tego Boha. Jak to: jaki facet? Nie mówcie mi, chłopcy, że zdążyliście już zapomnieć o tym świeżym jak zimne bułeczki nieboszczyku. Chociaż niektórzy ludzie nie pozostawiają po sobie nic prócz grobów.

— Czy chodzi panu o Williama Wilhelma Boha? — spytał Grey.

— W.W. Boh — recytował Jajogłowy — biznesmen, człowiek niewątpliwie zamożny. Działał w najróżniejszych branżach, zatem możemy go uznać za człowieka wszechstronnie uzdolnionego. Około trzydziestu lat temu w Dolinie funkcjonowało znakomicie wyposażone laboratorium genetyczne, którym kierował — uwaga! — nasz znajomy nieboszczyk pan doktor Gainsborough. Trudno było to ustalić, ale głównym sponsorem badań była bez wątpienia korporacja Boha. Jakieś ciemne sprawy. Handel organami otrzymanymi techniką klonowania i tym podobne afery. Oczywiście, nikomu nic nie udowodniono. A jednak laboratorium zlikwidowano. Sprawa stała się głośna za sprawą internetowej nagonki. Wszelkie powiązania laboratorium z korporacją Boha usiłowano starannie zatrzeć, ale od czego ma się mózg i palce.

— Bez wątpienia jest pan posiadaczem wymienionych organów

— zauważył uprzejmie Grey. — Wolałbym jednak usłyszeć od pana konkretne informacje.

– Minęło trzydzieści lat, szara gębo — zirytował się Jajogłowy.  
– Oczekujesz pan ode mnie cudów. Rzucę wam jeszcze jedno hasło i wracam do domu. Ostatni projekt Gainsborougha nosił nazwę *Kain i Abel*. Nazwa projektu jest na razie wszystkim, co wiem na jego temat.

Przebijali się przez równą ścianę deszczu. Dvoyatchny prowadził służbowego forda. A pasażerem był Grey, któżby inny.

– Proszę mi wybaczyć ten... nieprzyjemny incydent — Dvoyatchny pierwszy przerwał ciszę, jaka między nimi zaległa. — Straciłem panowanie nad sobą.

– Niech pan o tym zapomni — mruknął Grey.

– Nienawidzę tej dzielnicy. Przypomina monstrualny, gnijący za życia organizm.

– Rzeczywiście. Dolina nie jest pięknym miejscem. Koszmarna architektura, przeludnienie, stresy, morderstwa, gwałty, samobójstwa, konflikty na tle wyznaniowym i etnicznym. Czy coś pominąłem?

– Deszcz.

– O deszczu wspominałem wcześniej. Jednak Dolina ma swoje dobre strony. Symbolika jest ambiwalentna. Z jednej strony oznacza duchową stratę, a z drugiej pogłębienie przeżycia i wiedzy.

– Sądziłem, że jest symbolem kobiecego łona.

– Tak. Ciemna dolina.

Przez dalszą drogę milczeli. Dvoyatchny odwiózł Greya pod sam hotel przy Czterdziestej Trzeciej Ulicy.

Sam wrócił do komisariatu. Nie chciał wracać do domu. Bał się samotnych nocy. I. snów.

Raz jeszcze przejrzał dane od Jajogłowego.

William Wilhelm Boh. Tak zwana gruba ryba, co jest eufemistycznym określeniem przestępcy, którego skala wykroczeń osiągnęła taki pułap, że stała się biznesem. Zamieszany w wiele afer korupcyjnych, podejrzany o zlecenie kilku morderstw; nigdy niczego mu nie udowodniono. Od jakiegoś czasu wzorowy obywatel Miasta-Molocha, organizator wielu akcji charytatywnych. Bardzo niejasne powiązania z laboratorium genetycznym, którego działalność kontynuowana była również po podpisaniu słynnej Konwencji Genewskiej zabraniającej między innymi klonowania ludzkich organizmów. Ostatni projekt badawczy nosił nazwę *Kain i Abel*; cel projektu — nieznanym. Tajemnicą było również, czy jego założenia zostały kiedykolwiek zrealizowane.

– Kain i Abel. — powtarzał Dvoyatchny — Abel i Kain. Dobro i zło. Bratobójstwo.

Czuł, że jest o włos od zadania właściwego pytania. I — być może — zadałby je, gdyby nie Jajogłowy.

– Wszędzie cię szukałem.

– Tylko nie w moim pokoju — przerwał mu Dvoyatchny.

– Od kiedy to spędzasz noce na komisariacie? Nieważne. Odnalazłem ludzi

związanych z projektem *Kain i Abel*.

– No i? – ożywił się Dvoyatchny.

– Nie było ich wielu. Razem z Gainsboroughem – czterech. Losy Gainsborougha już znasz, pozostali przed laty wyemigrowali do Europy. Tam też zupełnie niedawno mieli niespodziewane *ran-dez-vous* ze śmiercią. Doktor George Przywarty zamordowany w niewielkiej polskiej miejscowości, której nazwy nie zamierzam kaleczyć. Henry Holdstock – Wiedeń. Carl Denius – Manchester.

– Okoliczności śmierci?

– Masz oczywiście na myśli liczbę trafień? Nic z tego. Żaden nie zainkasował siedemnastu kul. Przywarty i Holdstock po jednym trafieniu w czaszkę. Deniusa ktoś precyzyjnie zasztyletował w łaźni tureckiej.

– Dlaczego Grey nic o tym nie wspomniał. To niemożliwe, by nie wiedział. Sprawdź naszego przyjaciela o szarym obliczu. Coś mi mówi.

– Nobody już mnie o to prosił. Na razie bez rezultatów. Faceci z Interpolu kryją się za pseudonimami, czego Grey jest najlepszym przykładem. Poza tym ich dane są utajnione. Ciężka sprawa, Charlie.

– Pracuj nad tym.

Nad ranem Dvoyatchny poczuł, że mimo hektolitrów pochłoniętej kawy morzy go sen. Postanowił zastosować terapię wstrząsową i zatelefonował do Moniki Zangwill.

– Dzień dobry – powiedział Dvoyatchny, gdy odebrała.

– Zaczął się fatalnie. – mruknęła sennie Monika.

– Może byśmy się spotkali – zaproponował nieśmiało.

– Zajmij się czymś pożytecznym, Charlie. Posadź na krześle elektrycznym jakiegoś gwałciciela dziewic. – Była urocza.

– Dla ciebie wszystko. – Był żalony.

– Jesteś zabawny.

– Mam więcej zalet.

– Wymień pozostałe. Masz na to trzy minuty bez paru sekund.

– Jestem błyskotliwy, znam dwa języki. Wadą jest idiotyczne nazwisko, ale nie zgłoszę pretensji, jeśli pozostaniesz przy panińskim. – w tym momencie jednak zachichotała. – Byłbym całkowicie samowystarczalny, gdyby nie pewna kobieta, która znalazła się w posiadaniu mego serca.

– Jestem nauczycielką. Tobie potrzebny jest kardiolog.

– Czemu jesteś samotna? Przerwała połączenie. Dvoyatchnemu przeszła ochota na sen.

Nagły zgon Katheriny Oziemblo, wychowawczyni Charlesa Dvoyatchnego z domu dziecka, zrazu zdawał się nie mieć żadnego związku ze sprawą Twinsona. Jednak Jajogłowy znajdował przyczyny nawet tam, gdzie nie widać było skutków. Wyszperał



dane, według których dom dziecka od lat znajdował się pod dyskretnym patronatem korporacji Boha. Rzekomo dla podatkowych ulg.

Dvoyatchny wspominał panią Oziemblo bez sentymentu. Była kobietą, której (matka) natura nie uznała za stosowne wyposażyć w instynkt macierzyński.

Zamordowano ją w jej własnym mieszkaniu przy Siedemnastej Ulicy.

Dvoyatchny zjawił się na miejscu zbrodni wraz z ekipą śledczą. Nobody i Grey przyjechali nieco później i niemal równocześnie.

Mieszkanie było otwarte, już z klatki schodowej można było zobaczyć ciało Katheriny Oziemblo leżące na podłodze. W przedpokoju, z rozrzuconymi rękami, w jakimś teatralnym geście, jakby śmierć spotkała ją w trakcie zamaszystej gestykulacji.

Dvoyatchny rozejrzał się po mieszkaniu. Było schludne jak obóz koncentracyjny. Brakowało mu rzuconego w pośpiechu na krzesło szlafroka albo choć popielniczki przepelnionej petami. Doskonała bezosobowość. Domek zamieszkały przez lalkę. Znów dopadły inspektora zodiakalne sprzeczności jego natury. Z jednej strony niby orędownik ładu, z drugiej — wołał mimo wszystko mieszkania w nieładzie.

Nobody palił jednego papierosa za drugim, Grey patrzył przez okno na rozległą panoramę Doliny. Z tego miejsca można było nawet zaobserwować bijące w szare niebo wysokościowce zachodnich dzielnic.

— Tym razem dwa strzały. Obie kule utkwily w czaszce — referował Nobody'emu koroner.

— Tylko dwa strzały — powtórzył Nobody. — Może jednak to morderstwo nie ma nic wspólnego ze sprawą Twinsona. Może powiązanie korporacji Boha z sierocińcem jest dziełem przypadku.

— Niech pan poczeka z wnioskami na ekspertyzę balistyczną — poradził Grey.

Dvoyatchny nie po raz pierwszy poczuł, że ma serdecznie dość tej sprawy, a szczególnie atmosfery tajemniczości z nią związanej. Niebagatelną rolę w nagłej depresji inspektora odegrała również nieprzespana noc, rozmowa z Moniką Zangwill oraz przecucie niejasnego powinowactwa z kimś, kto najpewniej nie istniał. Wszystko to wzięte razem i każde z osobna sprawiało, że stalowe nerwy Dvoyatchnego rdzewiały. Stawał się w ten sposób człowiekiem nerwowym. Pociły mu się dłonie. Miał ochotę udać się na Trzydziestą Ulicę słynącą z dziwek o bogatym asortymencie sprawności. I przestać myśleć, bo to czynność szkodliwa.

Inspektor opuścił zatem koncentracyjne mieszkanie zamordowanej Katheriny Oziemblo. Nobody coś za nim krzyczał, ale Dvoyatchny był teraz szybszy od dźwięku.

Z nieba spadały na Dolinę krople spermy bogów.

Dvoyatchny nie sprawdził skuteczności wymyślonej na własny użytek kuracji odprężającej. Za wysoko cenił sobie dyscyplinę.

Po raz setny przeglądał dane ludzi związanych z projektem *Kain i Abel*. Henry

Holdstock, w chwili śmierci — lat siedemdziesiąt. Dyplom uzyskał na uniwersytecie w.

Ta twarz. Skądś znał fizys z fotografii. Twarz jowialnego starszego pana, którego zamordował we śnie! Gorączkowo wertował akta w poszukiwaniu zdjęć innych ofiar. Znał te twarze! Wszystkich zabił we własnych snach!

Urlop, odpocząć, wyjechać stąd, wcześniejsza emerytura — kłębiło mu się pod czaszką.

— Spokój! — uciął. — Głęboki spokój.

Usiłował to wszystko zracjonalizować. Był zmęczony, nie spał od trzech dni. Musiał wcześniej widzieć te zdjęcia i.

I co dalej? Sytuacja nie dawała się logicznie dopiąć na ostatni guzik. Próbował myśleć o czymś innym. Poprzedniego dnia posprzeczał się z Nobodym, który nie chciał się zgodzić na przesłuchanie Boha.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Grey.

— Ekspertyza balistyczna wykazała, że zarówno pana Gainsborough, jak i panią Oziemblo zastrzelono z tej samej broni — powiedział.

— A więc Twinson przestaje być istotą mityczną.

— Zapewniam pana, że mamy do czynienia z osobnikiem boleśnie realnym.

— Wie pan, Grey, jeden szczegół w tej całej sprawie nie daje mi spokoju.

— Tak?

— Chodzi o liczbę strzałów. W Europie Twinson morduje z zawodową powściągliwością. Dwóch facetów, dwie kule. Trzeci przedziurawiony nożem. Brak tego rozmachu, nadmiaru, jaki pojawił się w jego taktyce działania na terenie Doliny. Twinson nie dba już o ekonomię mordu. Zabójstwo Gainsborougha jest wręcz brawurowe. Siedemnaście strzałów! Musiał dwukrotnie zmieniać magazynek i zużyć jeszcze jeden nabój z trzeciego! Potem jakby odzyskuje profesjonalną oszczędność. Dwa strzały w głowę pani Oziemblo. Już nie szarżuje. Ale dlaczego akurat dwa? W co ten gość gra?

— To rzeczywiście interesujące — rzekł Grey. — Chyba nie idzie tu o rozrzutność czy oszczędność, a tym bardziej nie o brawurę. Myślę, że mamy tu do czynienia z.

— Znaki! — wrzasnął Dvoyatchny w nagłej iluminacji. — Kod! Liczba strzałów to zaszyfrowana informacja chyba że Twinson oszalał.

— Siedemnaście strzałów, siedemnaście strzałów. — powtarzał półgłosem Grey.

— Siedemnaście strzałów — wtórował bezwiednie inspektor. — Siedem... nastę ulica!!! Siedemnaście strzałów oznaczało Siedemnastą Ulicę! Na tej ulicy mieszkała Oziemblo!

Dvoyatchny wybiegł z pokoju. Na korytarzu zderzył się z No-bodym.

— Druga Ulica! — krzyknął.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Nobody.

— Następne morderstwo będzie na Drugiej Ulicy!!!

— Właśnie dostaliśmy wezwanie. Kogoś zamordowano. Na Drugiej Ulicy.

Trzecią ofiarą był człowiek o nazwisku Kayus Toxidis, portier zlaboratorium genetycznego, którym kierował Gainsborough. Jajogłowy pominął jego osobę, jako niezbyt spektakularną. Poszukiwał ludzi bezpośrednio związanych z wiadomym projektem; nie wziął pod uwagę portierów, sprzątaczek, laborantów niskiego szczebla i tak dalej. Teraz naprawiał swój błąd.

Kayus Toxidis, lat sześćdziesiąt siedem, zainkasował siedem strzałów. Dvoyatchny, Grey, Nobody i kilkunastu innych policjantów od razu udali się na Siódmą Ulicę. Wkrótce przerzucono tam cały skład osobowy komisariatu Wschodniej Dzielnicy. Wszyscy *incognito*. Znali numer ulicy, ale nie domu.

Grey, jako osobnik nazbyt rzucający się w oczy, został w samochodzie i utrzymywał stałą łączność z Jajogłowym serfującym po wirtualnych przestrzeniach w poszukiwaniu informacji o ludziach związanych z projektem *Kain i Abel*, a zarazem mieszkających na Siódmej Ulicy.

Dvoyatchny przechadzał się samotnie. Po raz pierwszy od kilku tygodni, od sprawy Sublokatora, był uzbrojony. Rewolwer uwierał go pod pachą, lecz traktował tę niedogodność jako mniejsze zło. Większym złem była w tym wypadku śmierć. Bardziej niż rewolwer uwierało go nieznośne uczucie czyjejs bliskości.

Miał na oku Greya. Rozważał hipotezę zakładającą, że Grey i Twinson to jedna i ta sama osoba. Teoretycznie mógł zdążyć zlikwidować Toxidisa, a następnie, jakby nigdy nic, zjawić się w komisariacie.

Dvoyatchny zatrzymał się przy samochodzie.

— Jakies wieści od Jajogłowego? — zapytał.

— Żadnych — odparł Grey.

Miał ruszyć w dalszy obchód, ale zatrzymał go Grey.

— Kolor szary symbolizuje pojednanie czerni i bieli. To barwa równowagi i sprawiedliwości. Teraz niech pan idzie. Przeznaczenie nie może czekać zbyt długo.

Dvoyatchny rozmyślał nad dziwacznymi słowami Greya. Myślałby zresztą o czymkolwiek, byleby tylko zapomnieć o morderczych snach, które znajdowały pokrycie w rzeczywistości. Czern i biel. Kain i Abel. Szarość.

— Uprzejmie pana proszę o zachowanie zimnej krwi, inspektorze. Jeden nieostrożny ruch i jest pan kolejnym trupem w tej sprawie.

Dvoyatchny poczuł przez płaszcz, sweter i podkoszulek zimne dotknięcie śmierci.

— Tu aż roi się od moich ludzi — usiłował negocjować. Ale ze śmiercią się nie negocjuje.

— Nie odwracać się. Idziemy prosto. Powoli. Ooo. tak. Przypominam panu — wystarczy jeden strzał, by zabić człowieka. Idziemy, jakby okoliczności były naturalne. Starzy znajomi. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że to pan właśnie ma być kolejną ofiarą.

Deszcz.

Weszli do obskurnej klatki schodowej. Budynek był przeznaczony do rozbiórki, od dawna opustoszały. Kroki eksplodujące głuchym echem.

— Pierwsze piętro. Powoli. Jesteśmy przecież profesjonalistami, prawda?

Na piętrze weszli do mieszkania pozbawionego sprzętów. Ściany porastała brunatna pleśń. Wilgoć można by kroić nożem.

Dvoyatchny próbował przypomnieć sobie nieocenione rady Charlesa Asquita, z którym na studiach miał zajęcia między innymi z Metodologii Przełamywania Strachu oraz Grania Na Nosie Śmierci. Na razie to śmierć igrała z nim strachem.

Na fotelu w pustym pokoju siedział starzec.

— Pan Boh, jak sądzę. — Dvoyatchny był właściwie pewien. Fotografie Boha regularnie gościły na łamach prasy.

— Kain i Abel — zaskrzypiał Boh. Dvoyatchnemu wydawało się, że głos starca przepęłniało wzruszenie.

— Teraz pana przeszukam — powiedział człowiek zza pleców Dvoyatchnego, najprawdopodobniej Twinson we własnej osobie.

— Proszę powstrzymać się od jakichkolwiek sztuczek. To przeszkadza w pracy.

Wprawnymi ruchami wyłuskał rewolwer. Dvoyatchny był teraz bezbronny jak owca. Więc milczał.

Wreszcie stanęli z Twinsonem twarzą w twarz.

— Pozwoli pan, że się przedstawię — powiedział Twinson. — Jestem Jonathan Twinson. Nie dziwi pana nasze niespotykane podobieństwo?

— Miewam dziwne sny — rzekł Dvoyatchny. — Śni mi się, że jestem zawodowym mordercą i.

— To zabawne, bo ja miewam koszmary, że jestem obrońcą prawa. — Twinson urwał gwałtownie i zwrócił się do Boha. — Mógłby mi pan to wyjaśnić, Boh?

— Twój ulubiony film to *Nierozłączni*. I nieustannie prześladowuje cię przeczucie istnienia kogoś, obdarzonego pokrewną ci duszą.

— mówił Dvoyatchny.

— Panie Boh?! — Twinson tracił na pewności siebie z każdym wypowiedzianym przez inspektora słowem.

— Efekt uboczny. Rodzaj empatycznej więzi. To zdarza się u bliźniąt jednojajowych. Kain i Abel. Jesteście oczywiście klonami i to moimi, panowie. Patrząc na mnie. — Boh uśmiechnął się gorzko — widzicie siebie samych za lat sześćdziesiąt. Jeśli oczywiście dożyjecie tak sędziwego wieku. Jeden z was, wszyscy wiemy który, zcałą pewnością nie dożyje.

— Kain i Abel. — powtórzył Dvoyatchny.

— Dobro i zło. Czerń i biel. Zabawiłem się w Boga. To była moja obsesja, obsesja starzejącego się człowieka, który może wszystko. W jakiż inny sposób można dowieść swej potęgi? Chciałem udowodnić, że osobowość człowieka można zaprogramować za pomocą odpowiednio zaaranżowanych życiorysów. —

Boh mówił coraz szybciej, gorączkowo, jakby dokądś się spiesząc. — Święty Augustyn pisał o Łasce, którą Bóg jednych obdarowuje, innych nie. Łaska dlatego nazywana jest łaską, że nie jest darowana za zasługi. To widzimi się Boga. Jedni są z natury dobrzy, inni nie, jedni dostąpią zbawienia, inni nie. Więc i ja szafowałem łaską, ale po swojemu. I udało mi się! Szlachetny obrońca ładu i porządku publicznego i wielokrotny perfekcyjny morderca. Startowaliście z tego samego pułapu, a wylądowaliście w zupełnie innych miejscach. Nie ma wrodzonych właściwości, nie ma duszy, jest tylko niezapisana tablica, którą wypełnia doświadczenie, obcowanie ze środowiskiem. W waszym wypadku to ja byłem ukrytym belfrem zapisującym wasze tablice! To był mój zakład z Bogiem, którego zresztą nie ma. Kain zabije Abła raz jeszcze. Dalej, Kainie! Wypełnij kontrakt! To jest twoje przeznaczenie, a być może zostaniesz moim następcą. Masz po temu odpowiednie kwalifikacje.

— Igrasz z potęgami, które cię przerastają, stary głupcze!

Dvoyatchny znał ten głos. Do mieszkania wszedł Grey. Był nieuzbrojony.

— Myślisz, że pociągasz za sznurki, co? Twoja megalomania jest irytująca.

— Kim jest ten szary pajac?! — krzyknął Boh. W jego oczach kiełkował strach, który mógł wydać obfite plony.

— No właśnie, Grey, kim ty właściwie jesteś? — spytał z cieka-wości Dvoyatchny.

— Powiedzmy... że gwarantem *fair play*. Moim zadaniem było doprowadzenie do waszej konfrontacji. Co z niej wyniknie, to już nie moja sprawa. Jesteście istotami obdarzonymi wolną wolą. Czyńcie z niej użytek.

Spojrzał na Dvoyatchnego swymi szarymi oczami.

— Świat ma sens, Charles. Chyba już w to nie wątpisz?

— Zabij go! — krzyknął Boh.

— Nie! — Dvoyatchny był bezsilny. Padł strzał. Jeden strzał.

Ciało Greya leżało na podłodze.

— Znakomicie. Teraz inspektor. Jest ostatnim świadkiem.

— Rzeczywiście, jesteś głupcem, Boh. On jest moim bratem.

— Sentymenty to w twoim fachu zbędny luksus, Twinson!

— Sentymenty? — zdziwił się Twinson i zastrzelił Boha. Patrzyli na siebie. Spojrzenia braci spotkały się w połowie drogi. Obaj czuli łączącą ich więź. Jakby nagle stali się jednością.

— Nie potrafię cię zabić — powiedział Twinson. — Pierwszy raz mi się to zda.

Głuchy odgłos wystrzału. Twinson upadł na podłogę, do mieszkania wpadł Nobody — to on strzelał.

— Żyjesz, dzięki Bogu! — krzyknął. — Gdyby nie płaszcz, nie wiedziałbym który z was — jest którym.

Dvoyatchny pochylił się nad ciałem swego brata. Jeszcze żył.

— Jesteśmy. tacy podobni. — szept Twinsona umierał. — Tacy cholernie podobni.

Jego spojrzenie zatrzymało się na oknie. Padał deszcz.

— Jak dwie krople deszczu. — po policzku Twinsona popłynęła łza, być może pierwsza i z całą pewnością ostatnia w jego życiu.

— Dwie krople spermy bogów — rzekł Dvoyatchny, ale już do siebie, bo Jonathan Twinson był martwy. Wraz z jego śmiercią umarło coś w Dvoyatchnym.

Dziwne to, ale ciała Greya nigdy nie odnaleziono. Zupełnie, jakby się rozplynęło. Nikt nie wypowiadał tego na głos, lecz podejrzewano, że śmierć Greya była tylko projekcją zestresowanego umysłu Dvoyatchnego.

Wiele razy zastanawiał się Dvoyatchny, kim był Grey. Gwarantem *fair play*? Między kim a kim ta gra? Igrasz z potęgami, które cię przerastają — powiedział Grey do Boha.

W życiu Charlesa Dvoyatchnego wiele się zmieniło. Awansował na inspektora. Opuściło go przecucie bliskiej obecności człowieka o pokrewnej mu duszy. Nocami śnił wyłącznie o publicznym porządku.

Któregoś dnia odebrał telefon. I nie był to inspektor Nobody. Telefonowała Monika Zangwill, skruszona swą samotnością.

Chaos przegrał tym razem, ale Charles Dvoyatchny nie widział w tym swojej zasługi. W końcu, to Kain nie pociągnął za spust.

Często zastanawiał się, czy jego światopogląd uległ zmianie. Czy uwierzył w sens świata? Flaubert powiedział kiedyś: „Cokolwiek jeszcze się zdarzy, pozostaniemy głupcami”. I to zdanie najlepiej oddawało stan umysłu Dvoyatchnego. A jednak wciąż nie mógł zapomnieć pierwszego spotkania z Greyem. Grey wszedł do knajpy dokładnie w momencie, w którym Dvoyatchny doszedł do wniosku, że świat nie ma sensu za grosz. To był znak. A może nie? Może tylko przypadek?

Pozostawała jeszcze tajemnica dziwnej przesyłki. Co roku, w rocznicę śmierci Greya i Twinsona, inspektor Charles Dvoyatchny otrzymywał dziwaczną przesyłkę. Była to pusta, szara koperta bez adresu nadawcy. Pusta, szara koperta. Szara koperta.

Szara.

## Rzeka

*Tak oto dążymy naprzód,  
kierując łodzie pod prąd,  
który nieustannie znosi nas  
w przeszłość.*

F.S. Fitzgerald, *Wielki Gatsby*

Wszystko się zaczyna i wszystko kończy. Ciemność. Ciemność przechodząca w pustkę. Nagły, krótki błysk. Przeszywający, wyzwalający... obrazy?

NOBODY!!! NOBODY, PROSZĘ SIĘ ODEZWAĆ!!!

Dlaczego tak głośno?

UMARŁ.?

JESZCZE NIE. TWARDY, BYDLAK.

MOŻE BY GO POPIEŚCIĆ? PRADEM, OCZYWIŚCIE.

JEST TO JAKIŚ POMYSŁ.

NOBODY! Nobody?

NIE DRZYJ SIĘ TAK.

SERCE SIADA.

CHOLERA! STATYSTYKI ZGONÓW...

Cisza zapada nagle, jak kopała, która odgradza mnie od świata, jak całun dźwiękoszczelny, kokon błogosławionego spokoju. Zagłębam się w poszukiwaniu utraconej tożsamości. Wszystko się oddala, choć nie istnieje żaden punkt odniesienia.

Stara kobieta o twarzy pomarszczonej jak wyschnięty owoc. Ma mądre oczy. Uśmiecha się, spoglądając na mnie, więc i moje usta rozciągają się w niechcianym uśmiechu.

— Dlaczego zdecydowała się pani właśnie na to dziecko? — pyta Pani. — Proszę mu się dobrze przyjrzeć. Jego nadgarstki.

— Mój Boże!

A jednak mnie wzięła.

Deszcz leje jak z cebra. Mokre ulice. Nagły chłód przenika ciało i wszystko się kurczy. Podnoszę wysoki kołnierz płaszcza, który niewątpliwie przeżyje swego właściciela, nasuwam kapelusz jak najgłębiej na oczy, by stać się nikim, wtopić się, scalić w jedno z tłumem. Przechodzę przez jezdnię. Ryk klaksonów wwierca się w mózg, rozrywa delikatne rusztowanie nerwów. Kapelusz opada na mokrą jezdnię powoli, niczym groteskowy, ogromny liść. Wściekła twarz kierowcy za szybą, przecinana nerwowym ruchem wycieraczek.

Mijam stare zaułki Wschodniej Dzielnicy, nazywanej też Doliną. Inne dzielnice biją w niebo swą koszmarną architekturą, urągając dobremu smakowi. Dolina jest inna. Stara i nostalgiczna jak przebrzmiałe wspomnienia.

Wreszcie zatrzymuję się przed budynkiem wznoszącym się opodal cuchnącego rybolu. Wydaje się bardziej odrapany z tynku niż inne. To miejsce pracy — dzielnicowy posterunek policji.

Więc wchodzę, cóż innego mi pozostaje. Stary hol, ściany we wściekłych odcieniach czerwieni. Barwy wojenne policji. Ten kolor — to tradycja. O tak, to tradycja.

Kiwam na powitanie głową starzejącym się od lat twarzom, witam z pozorami wylewności, która dziś akurat sporo mnie kosztuje, sekretarkę szefa, wreszcie wchodzę do własnego gabinetu, którego dorobiłem się nie tak dawno. Powietrze jest tu przesiąknięte wonią papierosów — to bezpieczny zapach; wyznacza granice mego terytorium.

Siadam na obrotowym krześle i obracam się z wolna, wbrew ruchom wskazówek zegara, jakbym chciał czas oszukać albo choć trochę cofnąć. Niespiesznie przeglądam przedwczorajszą gazetę. Jej treść nie dociera jednak do świadomości, zatrzymuje się gdzieś po drodze, diabli wiedzą gdzie. Odpoczywam po nocnych koszmarach i oczekuję koszmarów jasnego dnia. Nie czekam długo.

Drzwi otwierają się bez pukania. Wchodzi szef, więc przestaję się kręcić na krześle, porzucam gazetę jak niechcianą kochankę. Krótko mówiąc, przestaję się czuć swobodnie. Chwilowe odprężenie znika; boję się, że bezpowrotnie.

Na razie nic nie mówi, tylko patrzy na mnie, jakby miał pretensje. Wreszcie siada ciężko na stacjonarnym krześle, które wydaje się pod nim kruche i wiotkie, jakby ktoś utkał je ze słomy. Szef to ogromny facet. Posiada solidną masywność planety.

— Co słyhać? — odzywa się wreszcie.

— Nic szczególnego.

— Taaa. — zapala papierosa. Dym cienką strużką wędruje ku sufitowi, gdzie zbiera się w bezkształtny kłąb.

— Jest sprawa.

Milczę.

— Jest sprawa, Jos — powtarza z naciskiem. Jest to nacisk zwału papierów, dokumentów, spraw, archiwów, informacji.

— Yhm.

— Znikają ludzie.

— Niebawale.

— Nie szarżuj! — głos szefa nabiera ostrości. Nie jest to ostrość jego intelektu.

— Porwania to nie moja działka. Niech pan to zleci Dvoyatch-ny'emu.

— Podejrzewamy morderstwa. Dvoyatchny męczy się ze sprawą wrózek. Cholera, są nieuchwytni.

— *Corpus delicti* jest? Ciała są? Dowody zbrodni?

— Pozwól, że jako twój bezpośredni przełożony, sam zadecyduję, co należy, a co nie należy do twoich obowiązków.

Pozwalam.



— Prezydent miasta naciska. Wybory. Fonował do mnie, wściekły bydlak, o piątej rano.

— Co na to pańska żona, szefie?

Jest zły.

Wściekłość rozsadza Łazowi nos. Patrzę na ten jego nos z pobłażliwą ciekawością, ale tak naprawdę boję się. Ten człowiek bywa nieobliczalny.

— Czekaj, Łaz. Czekaj. — Mam nadzieję, że moje słowa brzmią spokojnie, ale i tak wiem, że na nic nie będzie czekał, a już zcałą pewnością nie na mnie. Bo i po co?

— Skurwłłłeee. — Ślina ścieka z jego rozchylonych ust. Tonące w wodzie oczy odbywają pielgrzymkę po sprzętach tego nieszczęsnego domostwa. Wreszcie zatrzymują się na glinianym wazonie. Znowu pragnienie niszczenia bierze górę nad wszystkim innym. Nawet nie próbuję go powstrzymać. Jest wąty jak trzcina, ale to pozory — takie trzciny gaszą wiatry.

— Posłuchaj, Łaz. Zarobiliśmy ostatnio sporo forsy.

— Forsła! — Wąty iskra świadomość zatliła się na moment w jego spojrzeniu.

— Tak, forsa. Przyszedłem po swoją działkę.

— Forsła?! — Iskra gaśnie jak zdmuchnięta.

Podchodzi do okna. Otwiera. Przeciąg rozwiewa jego rzadkie, przyprószone siwizną włosy. Przypomina mi teraz szalonego, zbuntowanego anioła z wąty aureolą. Powoli, jak na zwolnionym filmie, sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki po portfel — na pierwszy rzut oka wypchany jak diabli. Łaz wytrząsa jego zawartość, jak strząsa się przez okno zakurzoną szmatkę. Banknoty wirują w powietrzu niczym stado zielonych motyli. Łaz śmieje się. A ja mu wtóruję. Co mi tam, jutro zdaję do Akademii.

Mój wzrok zatrzymuje się na szyldzie obskurnej knajpy. „U Boby'ego zdrowiej i taniej” — głosi napis. Zaciekawia mnie — wszak „zdrowiej” i „taniej” nie chadzają parami.

Więc wchodzę. Przy podwyższeniu imitującym bufet stoi rozmarzony barman o psich oczach. To jeden z tych barmanów, którym nie warto się zwierzać, ponieważ jedynym pragnieniem rozsadzającym ich duszę jest opowiedzenie własnej, jakże smutnej, historii. Nie wolno wszczynać z nimi rozmowy, bo ta nieodmiennie przeistacza się w monolog, ale ja podejmuję ryzyko.

— Boby. to pańskie imię?

Obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem.

— Tylko dla przyjaciół.

— Nalej mi wódki, Boby. Właśnie się zaprzyjaźniliśmy.

— Z wodą?

— Za dużo dziś wody na świecie.

Ulewa. Deszczowe nitki na szybie układają się w bezsensowny wzór. Fajnie jest siedzieć w mieszkaniu w taką pogodę. Nawet jeśli to śmierdząca, zagracona, zapajęczona, zawilgocona dziura.

Śmierdząca wilgocią klatka schodowa. Pod nogami chlupią kałuże jakiejś cieczy — nie chcę znać jej pochodzenia, a tym bardziej składu chemicznego. Moryc stuka w odrapane drzwi właścicielki budynku. Wrota uchylają się z potępieńczym zgrzytem. Przed nami poskręcana artretyzmem postać starej kobiety.

— Panowie do mnie? — Słaby głos, sprawiający wrażenie, że za chwilę zaniknie na dobre.

— Jeżeli to pani chce wynająć mieszkanie — upewnia się Moryc.

— Proszę za mną.

Wiedzie nas na poddasze, sam nie wiem, jak udaje jej się wspinać po owych schodach stromych jak ściana Everestu. Wreszcie jesteśmy. Otwiera drzwi — te skrzypią; widać jest to stała cecha wrót tego domu. Wnętrze nastraja mnie nostalgicznie — wygląda, jakbyśmy byli pierwszymi ludźmi, którzy tu wchodzi. Księżyc przed Armstrongiem bardziej był ludny. Pajęczyny zasnuwają pokój jak opary mlecznej mgły. Farba odkleja się od ściany. Wilgoć wydaje się wszechobecna. Jakby mieszkanie żyło, jakby było jakimś organizmem, który nas pochłonał.

— Mam nadzieję, że panowie są porządnymi młodymi ludźmi. Ten dom od lat ma dobrą reputację. — mówi staruszka.

— Taaak. Ma dobrą reputację i odpadający tynk — zauważa Moryc.

Ja wolę milczeć. W końcu będę tu mieszkał.

— Nie zniosę tu pańienek lekkich obyczajów.

— Pełno tu pajęczyn — nie zraża się Moryc.

— Pająki przynoszą szczęście. — próbuję rozładować atmosferę, lecz niezbyt chyba szczęśliwie, bo Moryc patrzy na mnie niechętnie.

— Jeśli panowie zawiodą moje zaufanie, wyrzucę bez litości.

— I wilgoć. Wprost nie do zniesienia. Jos? Potakuję, mamrocząc coś niewyraźnie o reumatyzmie.

— Pięćdziesiąt tysięcy za rok. Płatne z góry — staruszka nieoczekiwanie przechodzi do ofensywy.

— Za tę klitkę?! — ryczy Moryc głosem zbolałym.

— To nie klitka. To mieszkanie w centrum miasta — cedzi zimno właścicielka, urażona.

— W najbardziej podejrzanej części miasta, w dzielnicy kolorowych i łajdaków.

— Pan jest rasistą? — zainteresowała się nagle staruszka.

— Dwadzieścia tysięcy. Jestem Żydem.

— Czterdzieści dziewięć tysięcy. To się daje odczuć.

— Dwadzieścia jeden. Co pani miała na myśli?

- Czterdzieści pięć. Nic szczególnego.
- Dwadzieścia pięć. To moje ostatnie słowo. Ale stało na trzydziestu pięciu. Po dokonaniu transakcji Moryc nachyla się ku mnie i rzecze konfidencjonalnie:
- Nic się nie martw, Jos. Ta baba długo nie pociągnie.

Chyba nie doczekam jej zgonu. Nie życzę jej źle, ale ten głos dobywający się jakby zewsząd. Ten babsztyl jest kwintesencją, esencją budynku, wypełnia go, jest jego formą, duszą. Jej przekleństwa, modlitwy, suchy kaszel – najpewniej spowodowany wilgocią; słyszę nawet szepty, nawet chrapliwy oddech. Nie lubię tych spotkań na klatce schodowej, więc czekam, aż wpełźnie do swej nory – by tam popaść w letarg pomiędzy stanowczym żądaniem wypłaty komornego, a skargą na zbyt głośną muzykę. Dopiero gdy jestem pewien, że jednak wpełzła, wymykam się cichcem. Znowu się spóźnię.

Na dole wsiadam do mego volkswagena, pojazdu muzealnego, obiektu drwin miłośników nowinek oraz westchnień fanów staroci.

Wreszcie docieram do komisariatu. W gabinecie czeka na mnie niemiła niespodzianka – szef kręci się wokół swej osi na mym ulubionym obrotowym krześle. Teraz przypomina planetę bardziej niż zwykle.

– Nie wyglądasz dobrze – stwierdza łaskawie, w momencie gdy akurat obrócony jest w moją stronę półkulą twarzy.

– Za mało zarabiam.

– I w ogóle burdel tu. Wiesz dobrze, że nie toleruję burdeli. Chyba, że mają koncesję – błysnął wątlym dowcipem. – O, ta tu szklanka stoi na tym biurku od bodaj roku. Dlaczego nie wylejesz fusów?

– Czekam, aż wykiełkuje z nich drzewko herbaciane.

– Szarżujesz. Czas nas goni. Zapoznałeś się ze sprawą? Trzeba znaleźć tych porywaczy czy morderców. A co trzeba zrobić, by tego dokonać? Należy ich szukać, inspektorze.

– Cenne wskazówki, szefie.

Wychodzę. Mój gabinet, a wychodzę. A on zostaje. Sierżant. Jak on się nazywa? Lewis? W każdym razie zaczepia mnie na korytarzu.

– Znalazłem ten adres, inspektorze.

– Adres... Jaki adres, sierżancie? Atak. Rzeczywiście. Dziękuję.

– Czternasta ulica, piąty dom. Taka stara buda poharatana przez czas i Redheadów. To ich rewir.

– W porządku.

Ulice Miasta-Molocha. Jak ze złego snu lub kiepskiego filmu. Wąskie, kręte, wypełnione ludźmi jak arterie krwią. Zanieczyszczoną krwią. Wszędzie holograficzne reklamy, aseptycznie czyste i świetliste – zapowiedź rajy, którego nie ma. Obrazu dopełniają śmierdzące rynsztoki, zanieczyszczone trotuary, anachroniczne pojazdy. Miasto jest jak monstualny, umierający, gnijący organizm. Cud, że żyje.

Woda leje się strugami zołwianego nieba, mój kapelusz staje się w związku z tym coraz cięższy, w końcu opada na oczy.

Chińczyk sprzedający warzywa w prowizorycznej budzie poskładanej z plastikowych płyt obdarza świat, a przy okazji i mnie jowialnym uśmiechem. Biorę z jego stoiska banana i odchodzę bez słowa.

– *Money?* – rzuca za mną niepewnie.

– *Made in China?* – pytam wskazując na owoc. Nie lubię bananów.

Holograficzna reklama widowiska *sex-jitsu* wciąż jarzy się blado, choć jest już południe. Reklamowe fantomy zwolna dematerializują się w chłodnym powietrzu, by zmartwychwstać wieczorem.

Czternasta ulica. Slums? To za dużo powiedziane – jak zauważył prezydent Miasta-Molocha, Joseph Prokurat. Ulica cieni przesuwających się z pozorną logiką. Ulica bezpostaciowych postaci.

Ukradkowe spojrzenia, ukradkowe myśli. Filozofia życia? I to za dużo powiedziane. A przecież to właśnie tu, dokładnie w miejscu, w którym teraz stoję, popełniono przed laty najgłośniejszą zbrodnię w dziejach miasta – zastrzelono samego Prezydenta Federacji. Kula roztrzaskała mu czaszkę, ale na wszelki wypadek ciało zawieszono do kliniki i poddano natychmiastowej reanimacji. Ta, oczywiście, nie przyniosła niespodziewanych rezultatów. Mordercą był młody sprzedawca pieczywa. Motywów nigdy nie ustalono. Gdybyż był choć Redheadem, czyli anarchistycznym, komunizującym chuliganem. Ale żadnych powiązań nie potwierdzono.

Jak to powiedział sierżant? Buda regularnie rujnowana przez Redheadów? Ściany pokryte graffiti zChe. Tu i ówdzie błysnie łysina Lenina. No i Soso o surowym wejrzeniu. Twarze oddane z niezwykłym realizmem – rośnie jakość szablonów i farb. Kto wie, czy nie jest to jedyny obszar postępu w Dolinie?

Żeby oni mieli jeszcze jakieś ideały, jakiś program pozytywny. A tu tylko czupryny unurzane w lakierach – stopniowalność czerwoności. Im bardziej jadowita, im intensywniejsza, tym obwieś wyżej w hierarchii. Ich aktywność ogranicza się do napadów rabunkowych, które usprawiedliwiają ideałami walki klasowej i nierówności społecznej. No i tłuką się nieustannie z Białymi Łbami – neonazistami.

Na ścianach klatki schodowej propagandowe hasła fosforyzują czerwienią. **PRECZ Z WŁASNOŚCIĄ PRYWATNĄ! WOLNOŚĆ – RÓWNOŚĆ – BRATERSTWO.** W tym ostatnim napisie ktoś przytomnie przekreślił skrajne człony, pozostawiając **RÓWNOŚĆ.**

Trzecie piętro. Zgniłozielone drzwi, a na nich tabliczka z napisem: „T. i A. Sterenkovs”. Pukam, dzwonek bowiem jest wyrwany i zwisa smętnie na przewodach. Drzwi wydają z siebie głuchy pogłos pękającej skorupy. Wokół roznosi się przykry zapach zsypana na śmieci, od lat nieczyszczonego. Brudne okna filtrują blask dnia, i tak przecież niezbyt dziś promiennego.

Wizjer zaczernia się. Ktoś mnie obserwuje.

Wciąż cisza. Dopiero po jakimś czasie:

— Kim pan jest? — zdecydowanie kobiety głos.

— Jestem z policji. Pani mąż.

— Drzwi otwierają się niespodziewanie. Młoda dziewczyna. Nie, nie może, nie powinna być żoną zaginionego w niewyjaśnionych okolicznościach Toma Sterenkova — czterdziestoletniego pracownika podmiejskiej elektrowni jądrowej. Zbyt młoda. Zbyt świeża. Niesforne kosmyki włosów opadają jej na oczy, co musi utrudniać widoczność. Odgarnia je niecierpliwym gestem. I ten gest. Tak, ten gest zapada mi w pamięć. Za takie drobiazgi kocha się kobiety. Może nie jest piękna. Ale jest w niej jakiś zwierzęcy wdzięk.

Co ona, u diabła, robi w takim miejscu?!

— Tom Sterenkov nie wrócił do domu po pracy w dniu 17 listopada tego roku. Kiedy widziała pani ojca po raz ostatni?

— Męża — poprawia mnie zuśmiechem, który jest smutny. — Niechże pan wejdzie. Może napije się pan herbaty.

— Nie, dziękuję.

— Cóż. — usta drżą jej lekko. Nerwowym ruchem zapala papierosa. — Nie mieliśmy z mężem dzieci.

Rozglądam się po pokoju pełnym cieni i półcieni. Nie mówiąc o brudnych ćwierćcieniach filtrowanych przez szyby. Wszystkie one czają się po kątach niczym zapomniane istoty, wędrują bezszelestnie, jak to tylko cienie potrafią, nie dotykając przy tym podłogi.

— Tom wyszedł do pracy. rano, jak zwykle. Chyba nie był zdenerwowany czy gwałtowny. Ale. on. bał się. czegoś.

— Bał się? — słyszę swój drewniany głos, jakby dochodził z wielkiej dali. W tamtych stronach nawet echa nie znają.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć! Ten strach nie był u niego czymś niezwykłym. To należał po prostu do kategorii osób wiecznie czegoś się bojących. Nie był tchórzem. — zaplątała się. Znowu gest, tym razem zniecierpliwienia. Kocham te jej gesty. — Bał się czegoś bliżej nieokreślonego. Był jak... zwierzątko przed katastrofą, zamknięte w klatce. Wie pan, zwierzęta wyczuwają kataklizmy jakimś dodatkowym zmysłem. Bał się czegoś nieuniknionego jak.

— Śmierć?

— Nie wiem. Być może. Wyszedł i nie wrócił. po prostu wyszedł. — Wzburzenie gra na jej twarzy. Emocje płyną głęboką falą przez jej zielone oczy, wąski nosek, przez drżącą linię ust.

Jest niezwykła.

— Czy miał jakichś wrogów? — Moja rutyna nie daje łatwo za wygraną.

— Wrogów? Jakich wrogów mógłby mieć podrzędny pracownik elektrowni, który połowę życia spędził na uważaniu, by komuś przypadkiem nie nadepnąć na odcisk? — Rezygnacja przelewa się przez jej głos, jakby werbalne ramy były zbyt wąskie.

– Tom był dobrym człowiekiem – dodaje po chwili.

Był?

Patrzę na ich ślubne zdjęcie wiszące na ścianie, tuż nad holo-wizorem. Nagle przechodzi mnie dreszcz – znam tego człowieka! Widziałem go. W snach?

– Mógłbym obejrzeć pokój pani męża? – Rutyna. Waha się. I nawet to wahanie jest urocze. Po chwili:

– Proszę.

Zostawia mnie samego. Słyszę dźwięk wody tłukącej o powierzchnię umywalki. Pozorowane działania.

Rozglądam się. Pokój tonie w mroku, więc włączam lampkę na biurku. Pokój bez okien. Uroczy facet. Czuję smród starych ksiąg. Miałem kiedyś dziewczynę, bibliofilkę – od tej pory słabo znoszę takie wonie. Po chwili dostrzegam to, co jest źródłem stęchlizny: książki z zaznaczonymi fragmentami. Biblia. Pierwsza Księga Mojżeszowa. I ustęp wzięty w czerwone kółko okraszone wykrzyknikiem.

– „I rzekł: Niechaj nie gniewa się Pan, proszę, gdy jeszcze raz mówić będę: Może znajdzie się tam dziesięciu. I odpowiedział Pan: Nie zniszczę miasta ze względu na tych dziesięciu” – czytam na głos. I przez moment dzieje się ze mną coś dziwnego. Jakbym utracił świadomość. Trwa to minutę, może dwie. Dochodzę do siebie. Pani Sterenkov chyba niczego nie dostrzegła. Chyba jest w kuchni. Brzęk naczyń.

Abraham targuje się zsurowym Bogiem o życie sprawiedliwych, mieszkańców pewnego miasta. Reszta nie zasługuje na życie.

Są też cytaty zApokalipsy. Zwracam baczną uwagę, sam nie wiem dlaczego, na zakładki, którymi Sterenkov oznaczał miejsca istotnych, jego zdaniem, fragmentów. Strzępy jakiejś ulotki reklamowej drukowanej na lśniącym niebieskim papierze. Układanka. Brakujących części szukam w innych księgach. Dwie znalazłem w *Historii Piekła* Alice K. Turner. Składam strzępy do kupy. To reklama wróżki. WRÓŻBY TANIO, ALE NIE ZA DARMO! Brak jakichkolwiek namiarów, co nie dziwi, gdyż proceder predykcji był na terenie Federacji surowo zakazany. Oczywiście, nieoficjalnie korzysta się z ich usług – potężne korporacje nie potrafią się jakoby obyć bez porad Obdarzonych. Charlie Dvoyatch-ny prowadził, bez przekonania, śledztwo w tej sprawie. Będę musiał z nim pogadać.

Opuszczam dom Sterenków z żalem. Idę przez podwórze i czuję na plecach wzrok niezwyklej Angeliki Sterenkov, najprawdopodobniej wdowy. Choć wiem, że okna jej mieszkania wychodzą na ulicę.

W głowie szumi mi stado komarów. Czuję podniosły nastrój, nabrzmiewa we mnie poetycki wrzód, który należy, rzecz jasna, niezwłocznie przeciąć.

Kiedyś, pamiętam, napisałem wiersz. W końcu każdemu to się zdarza. Pierwszego dnia wiersz spodobał mi się. Drugiego dostrzegłem wulgarność rymów, trzeciego liryczną miałość. Szóstego dnia postanowiłem wiersz spalić, ale coś mnie powstrzymało. Siódmego odpoczywałem od poezji i bierność liryczna trwa po dziś

dzień. Doskonałość stworzenia widzi się tylko pierwszego dnia. Teraz, ilekroć nadchodzi mnie nieprzeparta chęć poddania się poetyckim nastrojom, natychmiast wyjmuję zszuflady ów jeden jedyny wiersz i czytam. Na głos, niestety. Działa jak szczepionka. Okrutne, lecz skuteczne. Dziś też przeczytam.

Okrucieństwo maluje się na mordzie Skurbyka. Pozostałych nie znam.

— Cześć — mówię.

Księżycowa noc i pustka na ulicach.

— Cześć — odpowiada za wszystkich obecnych i nieobecnych Skurbyk. Stanął w cieniu i jego twarz jest teraz ciemną plamą. — Słyszałem, że chodzisz z Joanną.

— Na spacer.

— Zabawne — zauważa jeden z towarzyszy Skurbyka. Ale jakoś nikt się nie śmieje. Nawet ja posmutniałem.

— Przestań z nią chodzić, Jos — cedzi Skurbyk.

— Na spacer? — zawieszam głos. Nie za wysoko, nie za nisko. Dla Skurbyka w sam raz.

Pierwszy cios rzuca mnie na chodnikowe płyty. Są zimne.

— No?

— Nic. ztego. oboje lubimy spacer. Dopiero drugi cios topi mnie w sadzawce ciszy.

Cisza wydaje się absolutna. Nie licząc oczywiście wentylatora pracującego na pół gwizdka — w końcu jesień. Ale tu zawsze jest duszno.

Szef patrzy na mnie jak na robaka zżerającego ostatnie jabłko na świecie. Na domiar złego owoc pochodzi z Drzewa Wiadomości.

— Wyniki?

— Zero. Brak punktu zaczepienia. Tych ludzi prawie nic nie łączy. Czterdziestoletni listonosz. Jakiś windziarz, urzędnik, młoda siksa. To wszystko nie trzyma się kupy. Znikają ludzie — może działa prawo wielkich liczb? Znikają, bo mieli zniknąć. Akurat nastąpiło spiętrzenie zniknięć, a my doszukujemy się w tym wszystkim jakichś głębokodupnych prawidłowości.

— Widzę, że próbujesz sobie ułatwić robotę, Jos. Ślepy traf, co? Kurwa, może i poszedłbym na to, gdyby nie wybory. Bierność oznacza brak kompetencji. Brak kompetencji — emeryturę. Nie będę głodował za siedemdziesiąt procent pensji, bez dodatków, bo ty nie chciałeś wziąć dupy w troki!

Więc ją biorę i udaję się do Jajogłowego, informatycznego geniusza, a poza tym, jak to często bywa, kompletnego imbecyla. Pokój przypomina swego właściciela — sterylne do granic aseptyczności. Na biurku spoczywa niepozorny komputer, przedmiot dumy Jajogłowego. Powiadano, że prędzej powiesi się Jajogłowy niż zawiesi się jego komputer. Nawet przyjmowano zakłady, choć w to akurat nie wierzyłem.

— Kiepsko? — pyta lakonicznie na powitanie. Uśmiecha się paskudnie — jakby

podzielić piłeczkę pingpongową na dwie równe części czerwoną krechą. Cienka czerwona linia — tak nazywali jego uśmiech.

— Rozeszło się? Potakuje, wciąż rozbawiony.

— Rzuć to na komputer.

— Co to jest?

— Dane o zaginionych. Wiem, że masz odpowiednie programy.

— Analiza porównawcza?

— Tak to chyba nazywają.

— Jak tylko wyliczę szefowi szacunkową kwotę emerytury, a to wyjątkowo skomplikowane algorytmy, zajmę się tym — obiecuje.

Wychodzę. Deszczowy wieczór. Gwiazd zatem nie widać, a i księżyc w odwrocie. Świat odbija się, zdeformowany, jakby po jakimś kosmicznym kataklizmie, w kroplach deszczu. W powietrzu śmigają latające limuzyny z Zachodnich Dzielnic — zapewne spieszą na nocne widowisko *sex-jitsu*. Potem będą mówić o specyfice Wschodniej Dzielnicy.

Dom. Otwieram drzwi jak najciszej, by nie obudzić starej rasz-pli. Światło chyba nie działa.

Latarnie nie działają. Ulice toną w ciemnościach. Przed moim domem stoi dziewczyna. Niezła.

— Dobry wieczór, Josefie.

To Joanna. Tylko ona zwraca się do mnie pełnym imieniem.

— Dlaczego nie wchodzisz? — pytam.

— Twoja ciotka.

Jej włosy rozwiewa wiatr. Ciepły, wiosenny. Jej oczy. jej oczy dziwią się światu. Świat dziwi się jej oczom. Jej ciało...

— Boisz się jej? To dobra kobieta. Adoptowała mnie kiedyś. Wyrwała ze szponów sierocińca. Miałem wtedy siedem lat. Ktoś mnie porzucił, gdy byłem dwuletnim brzdącem. Zresztą, nie mówiłem ci już o tym?

Podchodzę do niej na tyle blisko, by czuć zapach jej włosów. Nie wiem, czym pachną, ale podoba mi się. Obejmuję ją. Nasze wargi odnajdują się w ciemnościach. Pocałunki są gorące.

Gorączka z wolna udziela się mieszkańcom, choć gazety — na mocy informacyjnego embarga policji — tylko spekulują.

Siedzę w anachronicznym volkswagenie (jeśli go za coś lubię, to właśnie za anachronizm) zaparkowanym na rogu Dwunastej i Siedemnastej Ulicy. Właściwie to nawet nie wiem, dlaczego zatrzymałem się w tym akurat miejscu.

Jakiś blondyn o boksterskim nosie stuka w szybę. Niechętnie ją uchylam.

— Dobry wieczór — mówi.

— Późny — ja na to.



— Aluzja? — pyta. Patrzy na mnie z niechęcią. Niechęć to u byłego boksera niemal broń biała.

— Aluzja.

— Będę mówił krótko. Jestem Vancouver. Jean Vancouver. Od jakiegoś czasu handluję antykami. Chętnie kupiłbym pański samochód.

— Nie jest na sprzedaż.

— Wszystko jest kwestią ceny.

— Gdyby tak było, nie byłoby rzeczy bezcennych.

— Pan wierzy w ich istnienie? — przez chwilę patrzy na mnie z zainteresowaniem.

Nie odpowiadam na wszelki wypadek. Powiem, że bezcenne jest zdrowie, to mnie go pozbawi. Że szczęście, to unieszczęśliwi. Więc milczę.

— Jestem gotów sporo zapłacić. Nawet przepłacić.

— Widzi pan, Vancouver. Dla mnie to nie jest muzealny eksponat. Ja tym jeżdżę do pracy.

— Brzmi to fantastycznie, ale dla dobra transakcji uwierzę panu. Oferuję w zamian najnowszy model limuzyny latającej firmy nieodżałowanego Forda.

— Mam lęk wysokości.

— Pokryję koszty terapii.

— Strasznie się pan uparł.

— A zpana niełichy handlarz, panie...

— Nobody.

— Nobody. Jasne. Dwie limuzyny.

Pozostaje mi już tylko czekać, aż zaproponuje mi posiadłość w East Village z basenem, kortem tenisowym i palarnią opium.

— Nie dojdzie do tej transakcji, Vancouver. Ten samochód to pamiątka po. — przez dłuższą chwilę zastanawiam się, kogo by tu wymienić, nikt jednak nie przychodzi mi na myśl. Nagle Vancouver wypowiada jakieś słowa, których znaczenie mi umyka. Zamykam oczy i kiedy je otwieram faceta już nie ma. Spoglądam na zegarek — umknęła mi niemal godzina! Zdrzemnąłem się czy co? Zaraz, jak on się nazywał.

— Co myślisz o jego nazwisku? — pyta Pani Pana. Pan siedzi przy ogromnym biurku i prowadzi jakieś notatki. Na moment przerywa pisanie i patrzy na mnie. Opuszczam wzrok.

— Jakby go nazwać?

— Josef.

— Josef?

— To na twoją cześć.

— Aha.

— Josef Nobody.

— Nawet adekwatnie. Śmieją się.

Roześmiana twarz Mary Scernick. Urodzona w East Village, niebieskie oczy. I tak dalej. Patrząc na jej fotografię i zastanawiam się, skąd, u licha, ją znam? John Bazyl, sprzedawca samobieźnych odkurzaczy, urodzony. I tak dalej. Po coś ty na świat przyszedł Johnie Bazyl? By zaginać 28 października.

Wszystko się rozplywa, odlatuję w niedaleką dal snu. Budzi mnie deszcz, znowu się odezwał. Pojedyncze krople wystukują jakiś rytm na blaszanym parapecie. Czuję lęk, narastający lęk. Jest jak nagły chłód, który wtargnął do nieźle ogrzanego mieszkania. Jest dysonansem, niestosownością, obcością. Ale jest. Boję się. Czegoś.

Od tej wilgoci rwą mnie stare rany. Nadgarstki i nogi powyżej stóp. Bołą jak diabli — zawsze na deszcz.

Podchodzę do okna. Świt jest blade. Mój płaszcz sprawia wrażenie bardziej wymiętego niż zwykle. Nic dziwnego — w końcu w nim spałem. Kapelusz spoczywa na podłodze.

Odwiedzam Jajogłowego. Kawa, którą mnie raczy, jest lodowato zimna.

— Twój ekspres można by nazwać polarnym — mówię. Jajogłowy uśmiecha się wąsko i złośliwie.

— Co słyhać u twego ulubieńca? — mam na myśli komputer.

— Coś jeszcze działa w tym cholernym komisariacie — Jajogłowy od jakiegoś czasu nosi się z zamiarem zmiany miejsca pracy.

— No?

— Wszyscy zaginieni mają coś wspólnego z East Village.

— A co to znaczy: coś wspólnego?

— Jest tam sierociniec. Od jakiegoś czasu zamknięty. Wszyscy są jego wychowankami.

— To już coś.

— Coś — powtarza bez sensu.

— Co wiemy o tym sierocińcu? Nazwiska wychowawców? Jakies afery?

— Pracuję nad tym.

— Złożę wniosek o nagrodę dla ciebie — obiecuję. Patrzy na mnie dziwnie.

Dopiero co opuściłem łóżko, a już marzę, by tam powrócić.

Łóżko skrzypnęło pod niewidzialnym ciężarem, drgnęły drzwi, targnięte podmuchem niewiadomego, lodówka warknęła ostrzegawczo. Mieszkanie żyje. I nieustannie śmierdzi jakby gnijącą pleśnią.

— Przytulnie tu — zauważa Joanna. Jest bardzo uprzejma. A może drzwi?

— Tylko, że nie ma się do kogo przytulić.

— Czyżby? — jednak drzwi.

— Co postanowiłaś? — pytam melodramatycznie. Nienawidzę siebie za ten ton, ale nie potrafię inaczej z nią rozmawiać. Jest w tym ironia — tylko z nią pragnę rozmawiać,

ale akurat za cholere mi nie wychodzi. — Znasz mnie trochę. Wiesz, kim jestem. Nikim.

Czuję się jak aktor, który ma do odegrania tragedię istnienia, ale obsadzono go w holograficznej telenoweli.

A ona śmieje się. Nie jest to rechot, raczej chichot. Delikatny. Śmierć też bywa delikatna.

Czuję, że muszę zdusić, zmasać ten uśmiech.

— Wynoś się — słyszę swój głos. Ja to mówię? To naprawdę ja? Tak to się skończyło.

Strach. Przed czym? Przed końcem? Sterenkov bał się. Podobno Mary Scernick też, tak zeznała jej koleżanka. Może ma to związek z sieroctwem? Strach przed samotnością, coś, co tkwi immanentnie w każdym porzuconym? W pamięci rezonują mi słowa Angeliki Sterenkov o zwierzętach przeczuwających instynktownie nadciągającą katastrofę.

East Village. Niewielka miejscowość opodal Miasta-Molocha. Niecka przechodząca w łagodną dolinę. Oaza ciszy i raczej starych ludzi. Domki, które wyglądają jak zabawki — tak ładne, tak funkcjonalne.

Z wolna zapada zmierzch. Deszcz wreszcie ustaje. Wyobrażam sobie slogany reklamujące miejscowość: „East Village omijają nawet jesienne deszcze”.

Zatrzymuję się obok niewielkiego sklepu z obuwem, który jest zamknięty bez powodu. A w każdym razie bez sygnalizowanego powodu. Tak to już bywa w małych miejscowościach — sprzedawca wyszedł sobie na pogawędkę do sąsiada i nie widzi potrzeby informowania kogokolwiek, bo i tak wszyscy wiedzą. Nikomu tu się nie spieszy. Nie ma go teraz? Może będzie po południu. Nie ma po południu? Może zimą? Ale po co mi zimą obuwie jesienne?

Spoglądam na tabliczkę z nazwą ulicy — Brzozowa. W pobliżu ani jednej brzozy.

Jakaś staruszka wolno wędruje po chodniku. Mam złe doświadczenia ze staruszkami.

— Przepraszam — zagajam.

— A?

— Szukam ulicy Wierzbowej?

— Wiśniowej?! — krzyczy ona.

— Wierzbowej!

— Proszę na mnie nie krzyżeć! — obraża się.

— Przepraszam — rzucam za nią szeptem.

— Nie szkodzi — odpowiada.

Wreszcie odnajduję ulicę Wierzbową. Wierzby tu nawet nie płaczą. Jednak deszcz nie omija East Village. Krople znów siekają z nieodzowną chaotycznością, która obejmuje swym zasięgiem wszystko.

Wierzbowa Czternaście. Jeden z tych ładnych domków. Czerwona dachówka i tak dalej. Po posesji biega „zły pies” — jakiś burek. Przyciskam guzik domofonu przy

furtce. Jękliwy, szarpiący dźwięk. Pies wtóruje — jakby wył do księżyca.

Z domu wychodzi mężczyzna w podeszłym wieku i ponurym nastroju. Pies wciąż wyje mimo że ja już nie dzwonię.

— Zamknij się — mówi gospodarz ze złością. Pies wyje.

— Pan Townsend? — pytam.

— A kto pyta?

— Josef Nobody. Jestem z policji.

— Wejdz pan — uchyla furtkę.

Wchodzimy do domu. W środku nie jest taki ładny. Czarny korytarz, mroczne pieczary pokoi. Na ścianach reprodukcje obrazów ze scenami biblijnymi. Tu potop, ówdzie wygnanie z raju. Jeden z pokoi jest jaśniejszy — tam zmierzamy. Na bujanym fotelu siedzi kobieta wpatrzona w holowizor.

— Kto to był? — pyta, nie spuszczać wzroku z widowiska estradowego.

— Gość z policji — odpowiada Townsend.

— Czego chciał?

— Zapytaj go o to.

Kobieta odwraca się wreszcie. Jej rozlana twarz przypomina worek bokserski na emeryturze.

Nie wydaje się zdziwiona moją wizytą.

— Czego pan chcesz? — pyta.

— Prowadzę śledztwo w pewnej sprawie. Państwo, zdaje się, pracowali w tutejszym sierocińcu?

— Ano pracowaliśmy.

— Moglibyście opowiedzieć coś o swojej pracy? Jakies tajemnice? Pikantne szczegóły?

— Żartowałem — mówię, widząc ich ponure spojrzenia. — Czy w domu dziecku działy się jakieś dziwne rzeczy? Nie wiem. ktoś zniknął, uciekł.

— Nigdy nie skierowano przeciw nam żadnych oskarżeń — wtrącił milcząco od jakiegoś czasu Townsend. — Byliśmy dla dzieci sprawiedliwi.

— Tak. Sprawiedliwi — wtrąca jego żona. — Placówkę zamknęli dwanaście lat temu. Z tak zwanych powodów obiektywnych. Dzieci przeniesiono do sierocińców w Mieście-Molochu.

Wymieniam nazwiska dzieci, które już od dawna nie są dziećmi. Sterenkova, Scernick, innych zaginionych. Nie pamiętają. Nikogo. Niczego. Dyrektor sierocińca zmarł przed kilku laty.

— Gdybyście sobie państwo coś przypomnieli, proszę się odezwać.

Zostawiam im wizytówkę. Patrzą na mnie jak na wybryk natury. Sierociniec mieścił się w okazałym budynku wzniesionym w pewnym oddaleniu od miejscowości. Droga tam prowadząca jest błotnista. W końcu, klnąc, zostawiam volkswagena i brnę przez błoto. Deszcz, jak na złość, wzmagą się. I znów czuję się przemoczony aż do samej

duszy.

Budynek z czerwonej cegły okolony murem. Brama jest otwarta. Przechodzę przez zapuszczony ogród. Drzewa — głównie klony — pozbywają się gwałtownie liści, jakby te były dowodami obciążającymi. Kiedyś lubiłem chodzić po liściach. Teraz jakby mniej. Znow to przekłete uczucie — że już tu kiedyś byłem, choć wiem, że nie byłem. Już widziałem ów ponury gmach.

Drzwi są otwarte, trzaskają targane przeciągiem. Nie mogę wejść. Nie mogę tam wejść. Strach?

Nie czuję strachu przed szefem. Ten urządził sobie obozowisko w moim pokoju. Półzartem proponuję, że może w takim razie ja przeniosę się do niego.

Patrzy na mnie z niesmakiem.

— Który to już dzień? — pyta.

— Pada chyba od tygodnia.

— Pytam, ile trwa śledztwo.

— Też coś koło tego.

— Rezultaty?

— Trudno na razie mówić o jakichkolwiek rezultatach.

— Zaginęło piętnaście osób, a tobie trudno mówić o rezultatach!

Więc udaję się do Jajogłowego. Pływa w oceanie samosatysfakcji — dostał pracę w przemyśle gier komputerowych. Będzie odpowiadał za graficzny obraz trupów ścielących się gęsto w grach — jako osoba nad wyraz kompetentna. Producent uznał, że należy trupy zindywidualizować, obdarzyć jakąś pośmiertną specyfiką. Każdy musi wyglądać inaczej, stężenie pośmiertne utrzymywać winno inny wyraz twarzy. Obwód ran musi odpowiadać kalibrowi pocisku. I tak dalej, i tak dalej.

— Zakładam spółkę z Mizerskym. Wiesz, tym koronerem. Chłop napatrzył się na śmierć.

— Gratuluję — mówię.

Przez chwilę wpatruje się w mą dłoń, jakby wahał się, czy należy uścisnąć coś równie obrzydliwego.

— Ale jeszcze jesteś na etacie u nas. Obliczyłeś już te emerytalne algorytmy szefa?

— A co? Chcesz, bym się zajął twoimi?

— Może później. Zerknąłeś do archiwów tego domu dziecka z East Village?

— Wszystkie pliki zostały skasowane. Może archiwum miejskie?

— Nic z tego, sprawdzałem. Cholera. Ale potrzebuję innych informacji.

— Niestety, obawiam się, że komputer nie zdradzi ci nazwiska porywacza.

— Zabawne — kłamię. — Potrzebuję informacji o wychowankach wiadomego sierocińca, którzy aktualnie przebywają w Dolinie.

— To trochę potrwa.

— Wpadnę za godzinę.

Po drodze zaglądam do podinspektora Dvoyatchny'ego. Jego klitka wydaje się nawet nieco mniejsza od mojej. Wiele nas zatem łączy. Skromność. Inteligencja. Profesjonalizm. Obaj jesteście sierotami, nigdy nie poznaliśmy swoich rodziców.

Dvoyatchny, mimo tych licznych pokrewieństw, patrzy na mnie z dystansem. Delikatnie rzecz ujmując.

— Kurwa — mówi — ciśnienie skacze. Łeb mi pęka.

Pewnie ma kaca. Słynie z tego, że pija wódkę jak herbatę. Ta niewspółmierność w picciu z resztą populacji skazuje biedaka na samotność.

Wydobywam z wewnętrznej kieszeni płaszcza piersiówkę. Wyraz jego twarzy stopniowo zmienia się. Oto nastąpiła odwilż pośród mrozów niechęci. Zza skutego dotąd lodem złości oblicza wyłania się wiosna niczym nieskrępowanej sympatii. Teraz patrzy na mnie jak na mesjasza. Bez słowa wstaje, zamyka drzwi na zasuwkę i rozlewa wódkę do mętnych szklanek.

— Co cię sprowadza? — pyta. — Pracujemy na tym samym piętrze, a nie widziałem cię od czasów oświecenia.

— Słyszałem, że pracujesz nad sprawą wrózek.

— No. Pracuję.

— Opowiadaj.

Przetykam wódkę bez radości. Z racji długotrwałego kontaktu zym ciałem jej temperatura wzrosła. Cholera, chyba mam gorączkę. Charliemu nie sprawia to różnicy. Przecież pije wódkę jak herbatę.

— Właściwie zajmuję się tylko pewnym aspektem tego. gówna — mówi. — Wyjątkowo śmierdząca sprawa.

Zamilkł. Nie chcę go ponaglać. W końcu chrząkam znacząco. Działa to na niego jak wyzwalacz. Znowu gada.

— Manipulacje genetyczne, Jos. Gen prekognicji. Słyszałeś pewnie. Nie jest do końca stwierdzone, czy gen rzeczywiście uruchamia jakieś pozazmysłowe kanały informacji, czy też tylko umiejętność nadzwyczajnie sprawnego odczytywania łańcuchów deterministycznych skuwających naszą rzeczywistość.

— Gadaj po ludzku, Charles.

— Może są tylko nieco od nas bystrzejsi. A właściwie bystrzejsze, bo dar dotyczy wyłącznie kobiet. Potrafią spojrzeć na świat z dystansu. Jak ów słynny Demon Laplace'a. Widzisz, inspektorze, jeśli świat jest zdeterminowaną machiną, nie dostrzegamy prawideł nim rządzących tylko z jednego powodu — brak nam dystansu, a zatem i wiedzy. Wydaje nam się, że rzeczywistość jest chaotyczna, a my spontaniczni. Ale tak nie jest.

— Kurwa, Charles. Co z tobą? Przecież prowadzisz śledztwo.

— Po co, Jos? Po co? Prowadzę śledztwo, bo tak musi być. Nie prowadzę, bo tak musi być. Co zrobię, nie ma znaczenia, bo zrobię to, co muszę.

— A Widzące? Co z tymi wrózkami? Skąd się wzięły?

– Kolejne draństwo, Jos. Manipulacje genetyczne. Hodowano je. To jest przedsięwzięcie na niewyobrażalną skalę. To gorsze niż sprawa Boha. Dzieci z sierocińców, Jos. Jak my. Jak my.

– Weź się w garść, Dvoyatchny. Gadaj. Znasz jakieś szczegóły?

– Po co ci to, Jos? Po co ci ta wiedza?

– Jestem policjantem.

– Też tak kiedyś o sobie myślałem.

– Szczegóły, Charlie. Szczegóły.

– Jakie szczegóły? A, tak. Szczegóły. Rzecz w tym, że dostrzegamy tylko szczegóły. Istota rzeczy zawsze nam się wymyka. Cóż. — Dvoyatchny z wyraźnym żalem odstawia szklankę. Rzuca na stół plik fotografii. — Namierzyłem kilka płotek. Obserwujemy ich. To naganiacze, sprzątacze. Wiesz, co mam na myśli.

Przeglądam fotografie.

– Co się dzieje z tymi wrózkami?

– Do tej pory trafiliśmy tylko na odrzuty. Egzemplarze feler-ne. Być może tak się im w głowach miesza po jakimś czasie. Wykorzystywane przez różnego rodzaju parapsychicznych sutene-rów. Podziemie prekognicyjne. Wieszcza, zakamuflowane po trefnych lokalach. Ich bełkot daje się odczytywać na różne sposoby. Te, do których udało nam się dotrzeć, niczego nie pamiętają. Albo są to uboczne skutki daru prekognicji — wizje przyszłości stopniowo wypierają wydarzenia realne. Albo mamy do czynienia z jakimiś technikami hipnotycznymi; bardzo zaawansowanymi, prawdopodobnie wspomaganymi farmakologicznie. Widzą tylko wydarzenia z przyszłości, zagmatwane, splątane. Te, które udało nam się wyłowić, umieszczono w jakiejś klinice psychiatrycznej czy instytucie badawczym. w każdym razie pod ścisłym nadzorem. Są chronione jak broń najnowszej generacji. Badają ich kod genetyczny, nagrywają każde słowo. Ale niczego to nie przyniesie, moim zdaniem.

– Kto za tym wszystkim stoi? — Nagle wyławiam pośród fotografii znajomą twarz.

– Nie wiem, Jos. Jakaś cholerna korporacja. Albo spisek. Masoni. Żydzi. Wszyscy. Jakie to ma znaczenie? Tęsknota za kontrolą rzeczywistości jest stara jak Bóg.

– Chciałbym zobaczyć jedną z nich. Możesz to załatwić, Charlie?

– Przychodzisz tu do mnie po wiekach z flaszką ciepłej wódki i oczekujesz odruchów serdeczności? Dzielenia się tym, co mam? Po co ci to, Jos?

– Załatwisz?

– Będzie trudno. Służby specjalne stopniowo zawłaszczają sprawę. Na mnie nie zwracają uwagi, bo przestałem się ruszać, skuty poczuciem fatalizmu.

– Spróbujesz?

– Spróbuję.

– Kto to? — pytam, wskazując na zdjęcie faceta w średnim wieku. Ma nos boksera.

– To? Jean Vancouver. Były sutener, cyngiel Boha, od jakiegoś czasu, jak podejrzewam, naganiacz. Rozprowadza odrzuty. Rozumiesz, co mam na myśli?

Paskudny typ. Znasz go?

- Trochę.
- Uważaj na niego.

Moją uwagę przykuwają na moment niepokojące dźwięki dochodzące z silnika volkswagena – coś tam zgrzyta, coś terkocze. Jakby łamiącym się głosem dopominał się przeglądu.

Zostawiam za sobą mokre ulice – są jak przykre wspomnienia. Dźwięki dochodzą mnie przytłumione, miękkie jak wosk.

Wreszcie zatrzymuję się przed brzydkim, jak wszystko wokół, budynkiem. Tu ma mieszkać niejaki Brower. I mieszka.

– Pan Brower?

– Tak.

– Nobody zkomisariatu dzielnicowego. Macham mu przed oczami skorodowaną odznaką.

– Pańscy koledzy już mnie odwiedzili.

– A imię nasze: Legion.

– Niech pan wejdzie.

– Przyszedłem w sprawie zaginięcia pańskiej żony.

– Doprawdy? – Wprowadza mnie do niewielkiego pokoju obwieszzonego starymi zegarami. Żaden nie chodzi.

– Pan jest hobbystą? – pytam, by rozładować nieco atmosferę.

– Nie.

– Zastanawiają mnie okoliczności zaginięcia pańskiej żony.

– Już o tym mówiłem. Nie raz – zapala papierosa. Wyraźnie trzęsą mu się ręce.

– Nie mnie.

– Dobrze więc. Siedziałem w tym pokoju i usiłowałem zapomnieć o tykaniu tych cholernych zegarów. Monika robiła coś w kuchni. Śpiewała coś przy tym. Nie wiem... chyba *Do You Believe*? Miała przeciętny głos, ale lepsze to niż zegary... I nagle przestała śpiewać.

Brower blednie. Jakby raz jeszcze przeżywał te wydarzenia. Pewnie tak było. Mnie natomiast tyka w umyśle: cholerne zegary, przeciętny głos. Nie darzył jej nadmierną atencją. Zegary to wprawdzie jeszcze nie powód do uprowadzenia, ale.

– Nie było jej w kuchni. Nie mogę tego zrozumieć. Musiałaby albo przejść przez pokój, albo wyskoczyć przez okno w kuchni. W pokoju siedziałem ja, z pierwszego piętra nigdy by nie skoczyła. Zresztą po co?

– Zawsze jest ten pierwszy raz. – Nie lubię go. Nic nie mogę na to poradzić. – Zatem jak by pan to wszystko wytłumaczył?

– Pan tu jest od tłumaczenia. Ma cholerną rację.

– Był pan może kiedyś w East Village? – pytam bez jasno sprecyzowanego celu.



– Tak. Dość ponure miejsce. Jej. mojej żony rodzice stamtąd pochodzili. Przybrani rodzice.

– Czy pańska żona. bała się czegoś? Przez dłuższy czas milczy.

– Dziwne pytanie. Czy to standardowe metody śledztwa? Ale. tak. Chyba tak. Miała takie wystraszone oczy.

Zaglądam jeszcze do tej nieszczęsnej kuchni. Kuchnia jak kuchnia, lecz znów męczy mnie to nieuchwytnie uczucie *deja vu*. Byłem tu już. Pozostałe pomieszczenia nie budzą tego odczucia.

Wychodzę bez pożegnania.

W domu zasypiam na stojąco. Pajęczynę ciszy rozrywa dźwięk fonu.

Mój rozmówca nie włączył wizji.

– Słucham. Ale nie widzę.

– Jos? — Rzec jasna i ja nie ukazałem się rozmówcy, w ramach restrykcji wizyjnych. Nie rozpoznaję jego głosu. Za oknami nic nie rozświetla ciemności. Z wyjątkiem ludzi i ich nieudanych dzieł.

– Owszem, noszę takie imię. O co chodzi?

– Miałeś do mnie wpaść po południu.

– Czyżby? — Wciąż nie wiem, kto zacz.

– Nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Powiadają, że pozbyłeś się pagera. Mam te dane.

– To ty, Jajogłowy?

– Nie poznałeś mnie?

– Zmieniłeś się od wczoraj.

– Na lepsze?

– Gadaj.

– Udało mi się zlokalizować dwoje wychowanków tego domu dziecka, którzy zarazem mieszkają obecnie na terenie Doliny.

– Szef wie?

– Nie pytał mnie o to.

Cały Jajogłowy.

– Zaraz tam będę. Fonujesz z Komisariatu?

– Z domu. Jestem wprawdzie w piżamie, ale jeśli koniecznie chcesz, to wpadaj. —

Tłumiony chichot.

– Kto ma teraz dyżur?

– Chciałbym się mylić, ale chyba Twardogłowy.

– Niedobrze. Podaj nazwiska i adresy tych wychowanków.

– Jean Vancouver, Siedemnasta ulica, dom szósty, mieszkanie dziewiąte. Deborah Veverka, znana jako Debbie China — dwunasta ulica, dom siódmy, mieszkanie piętnaste.

– Debbie China. ta piosenkarka?

– Ta sama.

Wyłączam Jajogłowego i wystukuję numer mego zaufanego — Bobby'ego Ventury. W głowie kołaczą mi się słowa wypowiedziane przez Dvoyatchny'ego — Vancouver, cyngiel Boha, sutener parapsychiczny. On też? Dlaczego, kurwa, Vancouver?

Zaspana, wymięta twarz Bobby'ego.

— Wal do komisariatu i wypieprz stamtąd Twardogłowego. Zajmij się dyskretną ochroną i inwigilacją niejakiego Vancouvera i Deborah Veverki — podaję adresy. — Są następni na liście. W razie problemów powołaj się na szefa. Zaraz będę w komisariacie.

Fonuję do szefa. Kiedy wystukuję numer jego mieszkania, mój wzrok wyławia z półmroku jakiś jasny przedmiot spoczywający na podłodze opodal łóżka. Nie mogę jednak stwierdzić, co to.

Odbiera żona. Profilaktycznie mam wyłączoną wizję.

— Witam — mówię odpowiednio oficjalnym tonem. — Wie pani oczywiście, z kim rozmawia?

— Tak, panie prezydencie. Już proszę męża.

— Słucham — szef walczy ze snem.

— Tu Nobody. Chyba udało nam się ustalić nazwiska potencjalnych ofiar. Potrzebuję ludzi i autoryzacji moich decyzji.

— Skąd fonujesz?

— Z domu.

— No to co tam, kurwa, jeszcze robisz?

Pochyliam się nad owym przedmiotem mającym w półmroku jasnością. To blond peruka. Skąd tu peruka?! Zamawiałem jakąś roztargnioną dziwkę — zastanawiam się przez chwilę. Ale nie. Na pewno nie.

Przypominam sobie Debbie China śpiewającą obsesyjne ballady o strachu. Azjatyckie rysy twarzy wydobyte subtelnie przez jakiegoś geniusza chirurgii plastycznej. I lekko skośne oczy, z których wзира lęk.

Patrzymy na młodą dziewczynę wykonującą brudny striptiz. Spazmy podniecenia, które nie może być udawane, więc musi być wspomagane farmakologicznie. Dziewczyna jest na prochach. Nie ma więcej niż szesnaście lat i jest artystką w swoim fachu — budzi odrazę.

— Idziemy? — pyta pobladły nagle Mix.

— Dokąd?

— Do Jolette — mówi Mix. — Powinna być teraz w domu.

— To dobry pomysł. Tego dnia nawet bardzo dobry. Chłopcy uśmiechają się, myśli odbijają się na płycznach ich twarzy. Głupie twarze. Jolette to nasza koleżanka z ogólniaka przy Piątej Ulicy. Poza tym dorabia jako dziwka, co nie przeszkadza jej absolutnie w byciu wzorową uczennicą.

Wchodzimy do anachronicznie czystej i gustownie urządzonej klatki schodowej. Na ścianach reprodukcje Boscha. Pukam, co ma chyba świadczyć o wysokim statusie

społecznym mieszkańców. Nic. Albo jej nie ma, albo jest „zajęta”. Spoglądam na Moryca. Jest rozczarowany.

Rozczarowanie zalewa mnie falą nie do odparcia. Falochrony mej psychiki są zdemolowane. Szef jest w komisariacie. To jego ford z turbodoładowaniem. Na latającą limuzynę jeszcze go nie stać.

— Ich mieszkania sprawdzone?! — krzyczę od drzwi. Żandarmi patrzą na mnie jak na faceta z innego — może nawet lepszego — świata.

— Vancouver jest od dawna obserwowany zinnego powodu. Jest teraz u siebie. Veverka powinna być w East Show. Nasi ludzie są już w drodze — relacjonuje Boby. Stary dobry Boby o oczach pocziwego psa.

— Świetnie, Boby. Nie kontaktujcie się z nimi, nie ostrzegajcie. Ograniczcie się do obserwacji. I dyskretnej ochrony.

— Wiesz, co robisz, Jos? — to szef. Stoi za moimi plecami z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wielki i majestatyczny. Jak własny pomnik. Nagrobek.

— Mam nadzieję.

— Zawiadomiliśmy ich!

— Kogo?

— Naszych ludzi.

— Dobra, Boby. Spieprzyliśmy w życiu wiele spraw. Niech z tą będzie inaczej. Ty nadzorujesz grupę Vancouvera. Ja biorę Veverkę.

Jedziemy. Neony przeistaczają się w smugi, wycieraczki pracują chyba tylko siłą inercji. Jakbym jechał naprzeciw przeznaczeniu.

Żadna knajpa w Dolinie nie jest tak znana jak East Show. Wygląda niepozornie — buda okolona błotnistym podjazdem. No i odźwierny, wieczny jak skała i niezmienny. Ma twarz zmasakrowanego pekińczyka. Z majestatyczną aprobatą kiwa ciężką głową na widok okazywanych zaproszeń. Macham mu przed oczami odznaką. Kiwa głową z dezaprobatą. Lecz przepuszcza.

Strach narasta wprost proporcjonalnie do kurczącej się odległości — jakby działała jakaś zależność, prawo fizyki.

Tymczasem tłum dyszy z podniecenia. Na niewielkim wyniesieniu mieści się równie mały ring, a na nim odbywa się walka *sex--jitsu*. Kobieta ma wyraźną przewagę.

Wyczuwam w powietrzu coś obcego, jednocześnie namacalnie rzeczywistego, elektryzującego atmosferę. Coś się wydarzy.

Rozochocona dziewczyna, z gatunku neonowych blondynek, pakuje mi rękę w krocze. Odpycham ją — może i nieco zbyt brutalnie. Przyskakują do mnie jacyś ludzie, to jeszcze dzieci. I oni są płomienistymi blondynkami, na czołach mają wytatuowane swastyki. Pierwszego ciosu prawie nie czuję.

Tłum rozstępuje się, rozerwany rozterką — co też gwarantuje większe emocje: *sex-jitsu* czy nasza bójka? Uzyskujemy niezłą frekwencję.

Chcę wyjąć odznakę, ale drugi cios wyłącza mnie na jakiś czas, bliżej nieokreślony. Kiedy wreszcie otwieram oczy, pochyla się nade mną jeden z białowłosych. Odrzucam go ciosem niespodziewanym dla mnie samego. Jego ciało wiotczeje, opada na kolana. W tym samym momencie widzę moich chłopców. Przechodzą się przez falujący tłum, by mnie wspomóc.

— Biegnijcie do garderoby! — krzyczę. — Pilnujcie Debbie! Zatrzymują się niezdecydowani, a ja przeklinam to ich niezdecydowanie.

Spada na mnie grad ciosów. Wreszcie ktoś litościwie pozbawia mnie przytomności. Błogosławiony stan nieświadomości. Kim jestem? Nie wiem. Po co istnieję? Nie pamiętam.

Po pewnym czasie odzyskuję przytomność, pamięć i, niestety, świadomość. Głowę mam dużo cięższą niż zazwyczaj o tej porze.

Nade mną majaczy planeta twarzy szefa — mógłby zaćmić słońce. Wciąż jestem w East Show. Leżę na dwóch połączonych stolikach. Ile czasu minęło?

— Ile czasu? — pytam i nie rozpoznaję swego głosu.

— Pół godziny.

— A nie wieczność?

— Pół godziny wystarczyło. Pokpiłeś sprawę, Jos.

— Ona.

— Zniknęła, nie opuszczając garderoby, z której jest tylko jedno wyjście. A ty się tu zabawiałeś w mordobicia.

— To nie była zabawna zabawa. Macie tych gówniarzy?

— Owszem. To Whiteheadzi.

Jason Rutheford, homoseksualista i barman z East Show, był ostatnim człowiekiem, który widział Debbie China. Zeznał, że zjawiła się na godzinę przed występem. Zdziwiło go, że nie podeszła do baru, jak czyniła to zwykle, by zamówić whisky z wodą i pogawędzić. Od razu udała się do garderoby, skąd już nie wyszła. Wyszedł za to stamtąd drobny, niski facet w płaszczu przeciwdeszczowym, z wysoko postawionym kołnierzem, jego twarz ginęła w cieniu.

— Normalny facet, jak pan, ja. ktokolwiek — rzekł Rutheford do mnie.

Głowę rozsadza mi tępy, dojmujący ból. Wsiadam do samochodu, ruszam. To kierownica steruje dłońmi. Prosto na Siedemnastą Ulicę.

Boby siedzi w swoim samochodzie.

— Wciąż jest u siebie? — pytam.

— Tak. Przed chwilą sprawdzaliśmy. Jeden z chłopców był u niego. W przebraniu pracownika gazowni.

Pracownik gazowni. Standard.

— Dobra. Idziemy.

— Do niego?

— Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że wyparował. Musimy to sprawdzić.

Trzecie piętro. Dzwonię. Drzwi uchylają się lekko. Ulga.

— Pan Vancouver? — pytam.

— Tak.

Wysoki, barczysty blondyn o złamanym nosie.

— Policja.

— Co się.

— Pozwoli pan, że wejdziemy.

— Mają panowie nakaz?

— Sto nakazów. Nie kradnij. Nie zabijaj. Nie kłam. — wymieniam jednym tchem.

— Wystarczyłby jeden. Chciałbym go jednak zobaczyć.

— Powiedzmy, że nasza wizyta ma charakter towarzyski. Vancouver uśmiechnął się chłodno. Ale wpuścił nas.

— Będę mówił krótko. Jest pan wychowankiem sierocińca w East Village?

— Tak. Czy my się aby skądś nie znamy?

— Może pan mieć kłopoty, Vancouver. Chyba, że pan jest ich sprawcą. Pańska przeszłość nie jest dla nas tajemnicą.

— Czy powinienem wezwać adwokata?

— Wymuszenia, stręczycielstwo. Współpraca z panem Bohem.

— Pan Boh był szanowanym obywatelem Miasta-Molocha. Poza tym nigdy niczego mi nie udowodniono. Jestem handlarzem starzyzną. Płacę podatki. I bardzo chciałbym wiedzieć, jaki cel ma wizyta panów.

— Wychowankowie sierocińca w East Village od jakiegoś czasu giną w dziwacznych okolicznościach. Czy ma pan coś wspólnego z tymi wydarzeniami, panie Vancouver?

— Pan. chyba oszalał.

— Jeszcze nie. Bob, zostajesz tu. Weź kogoś do pomocy. Macie nie spuszczać z oczu pana Vancouvera. Bez względu na okoliczności.

Nie mogę go zamknąć i poddać permanentnej obserwacji, by zarejestrować, jak rozplywa się w powietrzu. Nie mam dowodów, które by go obciążały. Poza tym nie miał nic wspólnego z porwaniem Veverki. Cały czas był pod obserwacją.

— Czy pan się czegoś boi, Vancouver? — pytam na odchodnym.

— Owszem, panie Nobody. Boję się, że pan mi nie sprzeda tego cholernego volkswagena.

Trzeba iść do knajpy na kilka głębszych.

Moja ciotka, którą kocham jak rodzoną matkę, ma chyba najgłębsze oczy na świecie. Na początku pytała mnie o przeszłość. Ale nic nie pamiętałem. A może chciałem nie pamiętać?

Pamięć płata figle — o mały włos nie przejechałem obok wskazanego przez Dvoyatchny'ego adresu. Budynek nie jest okazały — wygląda jak inne. Płytki, które

kiedyś miały imitować schludną czerwoną cegłę, jeły się odklejać, czyniąc bure wyrwy w elewacji. To na pewno tu?

Wysiadam z wozu i podchodzę do drzwi, które okazują się obrotowe. Niewielka tabliczka głosi: *Instytut Badań Parapsychicznych*. Wchodzę. Facet w granatowym garniturze przygląda mi się bacznie zza kontuaru. Ma schludne ręce, zadbane paznokcie. Butów nie widzę, ale muszą być nieskazitelne.

— Pan inspektor Nobody, jak mi nie mam?

Natura spletała mu figła — piskliwy głos skutecznie niweczy monument nieskazitelności.

— Tak.

— Inspektor Dvoyatchny nas uprzedził. Oczywiście muszę potwierdzić pańską tożsamość.

Bada mi skanerem odciski palców. Porównuje oryginał mej mordy z jakimś komputerowym odwzorowaniem. Jego wymuskane palce śmigają po klawiaturze laptopa z biegłością urodzonego pianisty. Pyta o wzrost i wagę. Mam nadzieję, że nie zaordynuje badań kodu DNA.

— Jest pan zobowiązany do zachowania absolutnej dyskrecji pod groźbą sankcji karnych — rzecz tonem najwyższej powagi. W jego wykonaniu brzmi to jak sopran porywający się na partie basowe. — Cokolwiek pan zobaczy lub usłyszy, musi pan zachować dla siebie. Czy to jasne?

— Tak.

Jak spod ziemi wyłania się kolejny pracownik Instytutu — równie nieskazitelny. Ten z kolei pielęgnuje idiotyczny wąsik. Nie dałbym głowy, ale wygląda, jakby go woskował. To mój przewodnik.

— Ile. — waham się — .wrózek tu przebywa?

— To poufne informacje — odpowiada „wąsik”.

Gołe ściany. Zielone. Jest to zieleń rozkładu. Zgnilizny. Korytarze pozbawione jakichkolwiek szczegółów, sprzętów, dywanów. Na podłodze linoleum. Nie potrafię określić jego barwy. Przewodnik tłumaczy mi, że ów brak szczegółów ma znaczenie funkcjonalne. W ten sposób ogranicza się do minimum zakłócenia percepcji obiektów. Tak właśnie się wyraził — „obektów”. Daje to jakoby gwarancję „czystości” ewentualnych prekognicji.

— W takim razie — mówię — powinien pan zgolić wąsik. Patrzy na mnie dziwnie.

Wreszcie docieramy do celi.

— Zostawiam tu pana — mówi „wąsik”. — Proszę jednak nie spodziewać się wielkich rewelacji. Ich wizje są zanieczyszczone, przypadkowe, chaotyczne.

Wchodzę. W celi znajdują się tylko podstawowe sprzęty. Na łóżku siedzi kobieta w średnim wieku, dość zaniedbana. Włosy, tu i ówdzie przyprószone siwizną, w nieładzie. Wokół rozchodzi się nieprzyjemny fetor dawno niemytego ciała. Toaleta też zakłóca jasnowidzenie? Patrzy na mnie, lecz jakby nie widzi. Co zatem widzi?

— Nobody. Josef Nobody — przedstawiam się. Po czym zadaję cały szereg pytań dotyczących zniknięć. Na co liczę? Medium milczy; jej wzrok wciąż wędruje za mną.

— Kim pani jest? Co pani pamięta? — dopytuję.

Wreszcie rezygnuję. Stukam w drzwi, ale mój przewodnik akurat zrobił sobie przerwę w obowiązkach. Stukam mocniej. Wtedy słyszę coś zza pleców. Obracam się gwałtownie. Kobieta wstała. Patrzy na mnie, ale inaczej niż przedtem. Chyba mnie dostrzega.

— Tak — mówi głośno i wyraźnie.

— Co: tak? — pytam.

Ale widzę, jak jej uwaga słabnie, oddala się jak echo przebrzmiałego głosu. W końcu niknie. Co oznacza owo „tak”? Jestem przekonany, że to odpowiedź na zadane przeze mnie pytanie. Ale które? I — co być może istotniejsze — kiedy zadane? Może było/będzie to pytanie z przyszłości?

„Wąsik” wreszcie się zjawia. Ciekawe, czy mają podgląd celi? Nagrywają wszystko? Na pewno.

Na pewno jest już w Spowiedni. Zatem od razu tam się udaję. Po drodze natykam się na szefa, który krąży po korytarzach jak duch tego miejsca. Jest zatroskany. Duchy zwykle są takie.

— Pomysły? — pyta.

— Nie mam. Białe Łby? Ci gówniarze są zdolni do wszystkiego.

— Wątpię. No i ten facet, który wyszedł z garderoby Veverki.

— Taaa. Zagmatwana sprawa.

Wchodzę do sali przesłuchań, zwanej Spowiednią bądź Konfesjonałem. Siedzi tam jeden z Whiteheadów.

— Blisko się poznaliśmy. — masuję znacząco szczękę.

— Nic nie powiem — cedzi spokojnie aresztant. Jest młody. Bardzo młody. — Dopóki nie pojawi się tu mój adwokat.

— Powiesz.

— Nie powie.

Uderzam na odlew w twarz. Dźwięk jest dziwny. Jakiś nierzeczywisty. Żandarm, który wprowadził gówniarza, patrzy na mnie dziwnie. Aha, no tak. Przecież jeszcze nawet nie zadałem pytania.

— Pan nie ma prawa — mówi, wciąż spokojnie. Jego spokój jest niepokojący.

— W Dolinie giną ludzie, synu. W mojej dzielnicy giną ludzie. Zniknęła Debbie China przy twojej wydatnej pomocy. Giną kolorowi i czarno-biali. Można by to podciągnąć pod tę waszą zafajdaną ideologię. Prezydent miasta wpadnie w furję i wreszcie przestanie zwracać uwagę na delikatne sugestie konserwatywnych radnych. Straciecie ochronę. I to was zniszczy. Co wiesz o zniknięciu Deb-bie? Co zrobiliście z innymi?!

– To nie my. – odrobina naturalnego niepokoju.

– Więc kto?

– Taki jeden gość kazał nam się panem zająć. Podpuścił nas, że jest pan gejem. Nie wiedzieliśmy, że jest pan gliną.

– Nazwisko.

– Co?

– Jego nazwisko.

– Nie przedstawił się. Handlował podobno antykami. Dużo gadał o starych samochodach.

– Trzeba by sporządzić rysopis – mówię do żandarma i wychodzę.

Na korytarzu doznaję olśnienia. Jest jak ostrze wystawione na śmiertelny mróz – nie może być niczego bardziej już przenikliwego. Wracam.

Chłopiec patrzy na mnie z obawą.

– Wysoki? – pytam. – Blondyn? Złamany nos?

Potakuje. Za każdym razem potakuje. Jak kościelny aniołek kiwający łbem za każdym razem, gdy się wrzuci monetę.

– Vancouver. – mówię. I już głośniej, dużo głośniej:

– Vancouver!

Więc fonuję, szybko, myślę przyciski. Wszystko wiruje mi przed oczami, jakby świat został poproszony do tańca. Sygnał. Ekran czarny. Czarny.

– Wóz! – krzyczę.

Jedziemy na sygnale ulicami przeklętej dzielnicy przeklętego miasta. Deszcz zacina. Sierżant siedzący z tyłu bredzi coś o Jajogłowym. Nie słucham go.

Zatrzymujemy się z piskiem opon. Przerażony staruszek gubi laskę. Po chwili wyjmuję notes i zapisuje numery naszego wozu.

Przeskakuję po dwa, trzy schody. Czuję pulsowanie krwi w skroniach. Za mną, gdzieś z tyłu, posapuje ciężko sierżant. Jak on się nazywa? Lewis. Drzwi. Uchylone. Przez szparę sączy się poszarpane światło. Wchodzę do środka powoli, jakby z trudem. Przedpokój czysty. Brnę przez gęstniejącą breję powietrza. Coś mnie powstrzymuje przed tym, by zajrzeć do tego pokoju. Dwa martwe ciała policjantów. Boby siedzący na krześle. Dłoń oparta na klawiaturze wideofonu. W plecach nóż.

Przez dłuższą chwilę szarpie się z kaburą schowanego pod pachą gnatu. Wreszcie wyjmuję broń. Jej chłód przywraca mnie do rzeczywistości.

Jak to powiadają poeci, oczy Boby'ego zasnuwa mgła, której nic już nie może rozwiać. Boby był zawodowcem. Był twardzielem. Był.

Kuchnia. Otwarta szuflada nieco staroświeckiego kredensu. Zapewne brakuje tam noża. Okno otwarte na oścież. Okno zwi-dokiem na Dolinę.

Do mieszkania wpada spocony sierżant Lewis i dwóch mundurowych.

– Boże. – szepce jeden.

Więc to Vancouver. Tylko po co? Pragnie pozostać jedynym żyjącym w Dolinie



wychowankiem domu dziecka w East Village? Szaleństwo.

Dlaczego go nie przymknąłem? — pytam sam siebie. Boby żyłby teraz. A ja miałbym skurwysyna pod kluczem.

— Wezwijcie pogotowie — to chyba mój głos.

— Tak jest. Dobrze pan się czuje, inspektorze?

Świat wiruje, traci formę i sens. Przedmioty zlewają się. Prawa stają się bezprawne. Czy tak właśnie wygląda śmierć?

— Panie inspektorze! — to ten Lewis. — Jajogłowy chciał pana koniecznie zobaczyć.

Opuszczam oazę śmierci na pustyni bezprawia. Coś mnie prowadzi przez ulice ciemnej Doliny. Coś mnie wiedzie jak po sznurku. Nagle znajduję się na jakiejś klatce schodowej. Gdzie jestem? Nie wiem. A może jednak wiem? Staję przed zielonymi drzwiami. Ta barwa jest wyrazem inwencji twórczej mieszkańców — pozostałe drzwi są wyprane z barw. Pukam. Dźwięk pękającej skorupy. Skądś znam ten odgłos.

— Kto tam? — kobiecy głos. Aksamitny. Niemoherowy. Są głosy mile i niemile znajome. Ten zdecydowanie zalicza się do tych pierwszych. Odczytuję tabliczkę na drzwiach. „T. i A. Sterenkovs”. Tak. Byłem tu.

— Policja! — wrzeszczę i zanoszę się dzikim śmiechem. Drzwi uchylają się lekko.

— To pan.

— Dobry wieczór, Angeliko. Musi mi pani wybaczyć. Jestem pijany.

— Proszę wejść.

— Czy już mówiłem, że masz aksamitny głos? Ponurość tego miejsca jest przytłaczająca.

— Miłe mieszkanko.

— Czy są jakieś nowe wiadomości w sprawie mojego męża?

— Niestety. Milczenie.

— Wiem, że jest pani subtelną kobietą i że jak większość mieszkańców tej dzielnicy nie przepada pani za gliniarzami. To oznaka normalności. Sam siebie nie lubię — bełkoczę i mam tego świadomość. Ale nie potrafię przestać. — A tym bardziej nie ma pani powodów darzyć sympatią pijanego gliniarza, który prawie przemocą wdziera się do pani mieszkania. To jest tak, Angeliko: czujesz się na tym świecie samotnie i źle, więc wchodzisz do knajpy bez nazwy. Zamawiasz wódkę u barmana bez nazwiska. Potem jeszcze kilka. Taki mechanizm. Zapomnieć o parszywości. Zapomnieć! Można ewentualnie sprać kogoś po pysku i to już jest *katharsis*. Tylko dla kogo? Dla piorącego czy spranego?

Patrzy na mnie z lekkim uśmiechem. Smutnym chyba.

Sięgam do wewnętrznej kieszeni. Jest? Jest!

Wyciągam ją, cudownie płaską, jakby dostosowaną do kroju mego nieśmiertelnego płaszcza, butelkę whisky.

— Ja nie piję.

— Ja też. Jestem na służbie. Rozlewam alkohol do szklanek. Pijemy. Dzieli nas tylko

stół.

Na stole piętrzą się tony makulatury. To tylko wydruki nie-ukończonych raportów.

— Weź się w garść, Jos — mówi szef.

Nie odpowiadam. Podpieram diablo ciężką głowę, czym się da. Daremnie — wciąż opada jak jesienny liść.

— Wiem, że Bob...

— Ja też wiem, że Bob! Wychodzę.

— Jos! Jos!

To Jajogłowy. Jest zaaferowany.

— Czego chcesz?

— Lewis ci nie mówił? Miałeś do mnie fonować. Znalazłem coś.

Próbuję wykrzesać z siebie zainteresowanie. Jakoś nie mogę.

— Jest jeszcze jeden wychowanek sierocińca w East Village, który aktualnie przebywa w Dolinie.

— No?

— Ty nim jesteś, Jos.

— Ja nim. Jak to? Co ty pierdolisz, Jajogłowy?! Owszem, nie znam moich rodziców. Ale wczesne dzieciństwo spędziłem w sierocińcu tu, w Dolinie. Gdy miałem siedem lat.

— Tak, wiem. Zostałeś adoptowany przez samotną kobietę. Rzecz w tym, że tego nie pamiętasz, Jos. Pierwsze trzy lata życia spędziłeś w East Village. W tamtejszym domu dziecka. Potem dokonano transferu. Przenieśli cię. Rzadki wypadek. Nie wiadomo, z jakiego powodu.

— Kurwa.

— Potrzebujesz ochrony, Jos. Możesz być następny.

— Przestań pieprzyć, Jajogłowy. Posłuchaj. Przez pamięć naszej długoletniej znajomości, zachowaj te sensacje dla siebie. Zachowaj je dla siebie, a ja zapomnę o tym, co kryje się w twym komputerze w pliku zatytułowanym niewinnie „Serdeczność”.

Jajogłowy blednie.

— Jak.

Nie słucham go.

Jadę. Mijam bardziej i mniej znane zakątki. Wciąż pada deszcz, ale jakby inaczej. Inny jest jego rytm — usypiający.

Przesilenie. Ostatnie akordy jesieni. Dezintegracja świeżości. I deszcz. Wszechobecny poprzez swych przedstawicieli — krople. Rozpuszczający świat. Rozpuszczający też świadomość. Czy tylko ja to tak odczuwam?

Strach.

Zawracam. Znów zapomniane przez Boga miasto. Angelika uśmiecha się. I nie jest to już ten dawny uśmiech pełen niepewności i tłumionego lęku.

— Jos?

- Tak?
- O czym myślisz?
- Hm. O życiu.
- Życiu?
- Życie jest pytaniem bez odpowiedzi, Angeliko.

I przypomina mi się odpowiedź wróżki. Tak. Tak. Tak. Na jakie pytanie odpowiedziała twierdząco? Na jakie?

Nie teraz. Przyglądam się Angelice. Nie jest piękna. Ale te jej delikatne gesty, pozbawione jakiegokolwiek zamaszystości, ekspansji. To, jak przechyla głowę. Jak udaje zainteresowanie moim bełkotem – poprzez nieznaczne uniesienie brwi. Jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, co rozciąga się wokół. Świat staje się przy niej nic nieznaczającym płaskim tłem o barwach jak najbardziej pastelowych.

- Idziemy – mówię i narzucam ten swój nieśmiertelny płaszcz.
- Dokąd?
- Tam, gdzie jeszcze jest ruch. Tam, gdzie pamięć nie ma żadnego znaczenia.
- Znasz takie miejsce?
- Jest taka knajpa.

Garbus z trudem przebija się przez równą ścianę deszczu. Trzymam w dłoni jej dłoń – zdolną do delikatnych gestów. Lekko drży. Jak liść w podmuchach wiatru.

– Świat stał się jedną wielką kałużą – mówię. Podjeżdżamy pod starą budę, nad którą jarzy się trójwymiarowy napis: Dancing. Dancing pozbawiony nazwy.

Ponury bramkarz lustruje nas wzrokiem.

– Zaproszenia? – głos jego głębszy jest od oceanów tego świata; oczy jego płytsze są od kałuży.

Wręczam mu dwudziestkę i nasze płaszcze.

- Tu pierwszy raz wyruszyliśmy na podryw.
- Z jakim skutkiem?
- Co: z jakim skutkiem?
- No, podryw.
- Aaaa. Skutki już dawno zostały oplakane. Śmiejemy się.

Ludzi jest mało. Obojętne twarze.

Nikt nie tańczy. Muzyka snuje się smętnie między stolikami.

- Zamówić coś? – pytam.
- Nie.
- Zatańczymy?
- Zatańczymy.

Właściwie, to nie potrafię tańczyć. Angelika robi to jednak wspaniale. Bez ostentacji, jakże dyskretnie, jednocześnie z wyczuciem rytmu. Jakby melodię skomponowano po to, by ona mogła ją zatańczyć. I ja poddaję się temu rytmowi, przestaję myśleć

O czymkolwiek, toniemy w muzyce. Twarze ludzi zlewają się, stoliki wirują, a my

tańczymy, tańczymy, tańczymy.

Przez krótką chwilę nie czuję nawet strachu. Zamykam oczy.

Otwieram oczy. Ciszę przerywa tylko deszcz. Siedzę w samochodzie. Zastanawiam się nad kupnem hamburgera, ale tylko przez krótki moment; potem myślę już o czymś zupełnie innym.

Niby wszystko już wiem. To Vancouver. Porywacz i prawdopodobnie morderca. Listy gończe już rozesłane, gończe psy spuszczone ze smyczy. Moja rola skończona. Powinienem czuć ulgę. Ale nie czuję. Wiem, że jest jeszcze jedno miejsce, które muszę odwiedzić. I wtedy wszystko się skończy. Dopiero wtedy.

Znana mi już droga. Czuję, jakbym podróżował wbrew rytmowi czasu. Jakbym wiosłował pod prąd rwącej rzeki. Nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki. Nie da się?

Mijam East Village. Sierociniec. Czerwona cegła. Żadne tam płytki ją imitujące. Ogród. Drzewa. Idę po liściach. Wolę, jak są suche. Zapada zmrok. Zimno. Mokra. Znów zatrzymuję się przed drzwiami. Są otwarte, zapraszające. Jeszcze chcę uciec przed nedorzecznnością moich podejrzeń. Ale wchodzę.

Ciemno. Zapalam zapalniczkę, a przy okazji i papierosa. Niewiele widać. Może to i dobrze, myślę sobie bezwiednie. Czuję, że tu byłem. Kiedyś.

Przez szparę pod jakimiś drzwiami sączy się światło. Przez chwilę nasłuchuję. Cisza. Broń już mam w dłoni. Kopię w drzwi

Iwpadam jak burza do środka. Pokój. Kiedyś wydawał się większy, dużo większy. Wydawał się? Kiedyś?

Jakiś ruch za plecami, ktoś się skrada. Ale jest wolny, niezgrabny. Zamach długi jak wieczność. Unikam ciosu pałką. Sam uderzam — kolbą gnata w potylicę. Chyba będzie żył. Obracam bezwładne ciało nogą na wznak. To stary Townsend, były pracownik sierocińca. Jego żona byłaby groźniejszym przeciwnikiem.

Na biurku, niegdyś ogromnym, teraz niezbyt, walają się jakieś papiery. Źródłem blasku jest nocna lampka. Przeglądam — są tu owe ulotki propagujące skuteczność wróżenia. Jakieś profetyczne kawałki. Fragmenty Apokalipsy zwyjątkami podkreślonymi na czerwono i żółto. Na ścianie natomiast wisi fotografia za szkłem — grupa cztero-, pięcioletnich dzieciaków z wychowawcą, nobliwie wyglądającym facetem po czterdziestce. Przyglądam się tej twarzy — znam, nie znam?

Twarze niektórych dzieci wzięte są w czarne obwódki — czy jest tu Veverka? Może Vancouver? Ja?

— Pan Nobody.

Włos jeży mi się na karku. Obracam się powoli. Stoi przede mną starzec. Widzę pewne podobieństwo do tego gościa z fotografii. Tak, to on. Niewątpliwie.

— Szuka pan wyjaśnień, prawda? Gna pana ciekawość. Pan jest z gatunku tych, którzy chcą wiedzieć. Nawet, jeśli ta wiedza ich zniszczy. Chcą wiedzieć. Jakie to

ludzkie.

– Kim pan jest? – pytam.

– Moje nazwisko niewiele panu powie. Jestem trybikiem pewnego mechanizmu. Znaczą niewiele więcej niż pan. Ale wiem więcej. Dużo więcej.

– Więc pewnie pan dostrzegł, że dzierzę w dłoni pewien... atut.

– Broń? To tylko narzędzie, panie Nobody. Pan również jest tylko narzędziem.

Do pokoju wchodzi Vancouver.

– Ty skurwysynu – cedzę. – Nie musiałeś ich zabijać.

– „I rzekł: Niechaj nie gniewa się Pan, proszę, gdy jeszcze raz mówić będę: Może znajdzie się tam dziesięciu. I odpowiedział

Pan: Nie zniszczę miasta ze względu na tych dziesięciu” – starzec recytuje tę frazę z podniosłą intonacją. A ja czuję, jak w miarę wypowiedzanych słów, tracę świadomość.

Kiedy ją odzyskuję, czuję, że cholernie trzęsie. Jestem w jakimś samochodzie, związany, na tylnym siedzeniu. Obok siedzi Vancouver. Prowadzi chyba starzec.

– Dochodzi do siebie – odzywa się Vancouver.

– Proszę się nie martwić, Nobody, za chwilę wszystko się dla pana skończy – mówi starzec. – Pan Vancouver wstrzyknął panu pewien niewykrywalny specyfik. Za jakiś czas ciśnienie pańskiej krwi bardzo się podniesie. Umrze pan na wylew albo zawał serca.

– Dlaczego? – pytam.

– Gotów pan umrzeć, ale najważniejsze to wiedzieć – po co? Dlaczego? Żałosne. Ale taki już pan jest. Żal mi pana, Nobody.

Żal.

– Gadaj, starcze.

– Pan zacierał ślady, Nobody. Ślady pewnego... przedsięwzięcia. Do tego był nam pan potrzebny. Wykorzystaliśmy pana. Takie było pana przeznaczenie. Dlatego torturowano pana w dzieciństwie, zostawiając te wszystkie blizny. Miał się pan czuć kimś niezwykłym, kimś przeznaczonym do wielkich celów. Widzi pan, to była sugestia hipnotyczna. Był pan tak uwarunkowany, że za każdym razem, gdy czytaliśmy panu fragment Pierwszej Księgi Mojżeszowej, wpadał pan w trans i wykonywał nasze polecenia. To był jakby. wyzwalacz. Problem polega na tym, że uwarunkowanie nie może być całkowicie sprzeczne z poglądami czy odczuciami warunkowanego. Dlatego wszczepiliśmy panu, dawno temu, poczucie religijnej misji i głęboko ukryte, lecz bardzo mocne przekonanie o Bożej sprawiedliwości. O tak, był pan przekonany, że porywając tych wszystkich ludzi, ratuje pan Sprawiedliwych z miasta, którego przeznaczeniem jest zagłada. *De facto* działał więc pan w dobrej wierze. To my jesteśmy ci źli. To my ich wszystkich zabiliśmy.

– To nieprawda.

– Lepiej nie wiedzieć, co?

– Ale dlaczego? Jak?

— Jak? To pan porwał Debbie Chinę z jej mieszkania, a potem zjawił się w East Show przebrany za nią. Było ciemno, nikt pana nie rozpoznał. Blond peruka, pamięta pan? To pan wykradł panią Brower z kuchni na pierwszym piętrze.

— Przy mojej drobnej pomocy — wtrąca Vancouver.

— Nie zdążyłem panu podziękować — nie kryję złości. Gdybym mógł, kropnąłbym ich obu.

— Tak. Wszedł pan przez okno po przystawionej drabinie. I tak dalej, i tak dalej. Oczywiście, nie dokonałby pan tego bez pomocy Widzących. Widzących najwyższej klasy. Tych, co przenikają łańcuchy przyczynowo-skutkowe. Mieliśmy dokładne informacje na temat rozkładu dnia ofiar. Nie mogliśmy się mylić. Takich jak pan, uśpionych pensjonariuszy domów dziecka, jest wielu. Niektórzy umrą spokojnie w nieświadomości. Lecz pan miał pecha, Nobody. Pana musieliśmy wybudzić. Użyć. Idealne rozwiązanie — sprawca prowadzi śledztwo w sprawie popełnionych przez siebie czynów.

— Dlaczego?

— Byli zagrożeniem. Nieudane egzemplarze. O krok od wykrycia prawdy na temat sensu swego istnienia. Prawdy o własnej tożsamości. Prawdy groźnej i dla nas, i dla nich. Byli narzędziami jak pan. Zepsutymi narzędziami.

— A więc przewidzieliście wszystko? — pytam.

— Wszystko. Jesteśmy profesjonalistami, Nobody. Nagle wszystko urywa się bez ostrzeżenia.

Moryc ostrzegł mnie, że Skurbyk mnie nie lubi. A jak Skur-byk za kimś nie przepada. Jednak zjawiam się na jego dwudziestych urodzinach. Większość gości porusza się na rżęsach, jestem więc spóźniony. Sam Skurbyk wpatruje się w sufit, można by go podejrzewać o filozoficzną zadumę, gdyby się go nie znało. Podchodzi do mnie Moryc. Przez chwilę rozmawiamy o polityce.

Nagle spostrzegam piękną dziewczynę. Ma kasztanowe włosy i bardzo niebieskie oczy. Siedzi sobie przy oknie i być może liczy liście na drzewach.

— Kto to? — pytam Moryca. Chyba widzi w moich oczach coś dziwnego, bo jest wyraźnie zaniepokojony.

— Nie radzę, Jos. To dziewczyna Skurbyka.

— A o czym ona z nim rozmawia?

I podchodzę do niej, nie zważając na nieme protesty Moryca.

— Cześć. Mam na imię Josef. Przyjaciele mówią do mnie Jos. Przez dłuższą chwilę mierzy mnie wzrokiem i nic nie mówi.

— A ja będą do ciebie mówiła Josef — odzywa się wreszcie.

— Ja już się przedstawiłem. — zawieszam głos. Moje serce to dziurawa łódź na środku rzeki. Więc tak wygląda miłość?

— Joanna — przedstawia się dziewczyna, którą kocham.

— To moje ulubione imię. Tak to się zaczęło.

Natłok obrazów, głosów, twarzy, sytuacji, wrażeń przerasta zdolność percepcji. Wszystko naraz. Ale wciąż wiosłuję. Wiosłuję pod prąd. Ból rozsadza mi czaszkę. Wylew czy zawał?

Aż wreszcie wszystko znika i pozostaje tylko jeden, do bólu bliski obraz.

Znów ten dancing pozbawiony nazwy i smaku. Znów tańczę z Angeliką. Znów wszystko wiruje i staje się odległe i nieważne. NIEDOBRZE!!! WIDZĘ.

Widzę tylko jej twarz. jej twarz.

ZAKRYJCIE MU TWARZ. ZAWIADOMCIE RODZINĘ.

ON NIE MIAŁ RODZINY. TO SAMOTNY GLINIARZ.

Odpowiedź! — przypominam sobie gwałtownie. Tak, trzeba zadać pytanie. Jakie pytanie? Jasnowidząca odpowiedziała: tak. Jakie pytanie? Jakie?

ONI WSZYSCY TAK KOŃCZĄ.

CI Z DROGÓWKI TEŻ?

Co po mnie zostanie? Co? Płaszcz, odpowiadam sobie. Nieśmiertelny płaszcz. Płaszcz mnie przeżyje. A w płaszczu mała niespodzianka. Wszystkiego nie da się przewidzieć.

CO TO JEST? CO ON TU MA?

WYGLĄDA NA MAŁY DYKTAFON, DOŚĆ SPRYTNIE UKRYTY. CAŁA TAŚMA NAGRANA. CIEKAWIE, CO TAM NAGRAŁ?

Pytanie. Szybko. Zaraz koniec. O co zapytać? O sens? O Boga?

O KURWA! SPÓJRZ NA JEGO NADGARSTKI! TO WYGLĄDA JAK...

STYGMATY?

Wiem. Zapytam. Czy Angelika mnie kocha? Czy mnie kocha?

Tak.

Jej twarz. Tylko jej twarz. Aż jej twarz. Wszystko inne spełzło jak zużyty makijaż z oblicza mej pamięci. Jej twarz jest absolutem.

## *Zona cenzora*

*Na początku było Słowo  
(A na końcu cenzor)*

Pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie ów gołąb, który z nonszalancją srał sobie w najlepsze na parapet, i to w momencie, gdy okręgowy cenzor Kornel W. spożywał niskokaloryczne śniadanie, przeglądając jednocześnie trzecią z serii nadesłanych mu anonimowo fotografii, które budziły w nim największe zaniepokojenie. Widniała na nich postać jego ukochanej żony, uwięzionej na dorysowanej niewprawnie czarnym flamastrem smyczy – symbolika dość oczywista; Kornel W. aż się skrzywił na jej dosłowność.

Cenzor podszedł do okna, by przepędzić skrzydlatego intruza, i wtedy właśnie zauważył gigantycznego osobnika wolno przemierzającego zabłocone podwórze. Wprawne oko Kornela W. natychmiast wyłapało niewspółmierności tej postaci – fala nieprawdopodobieństwa podążała za nią nieubłagane. Zdawało się, że rzeczywistość pierzcha na sam widok obcego. Sprawiał wrażenie, jakby go przeniesiono żywcem z marnego i czarnego kryminału – poruszał się kaczym chodem, nosił standardowo (obowiązkowy prochowiec), a kapelusz na ogromnej czaszce wyglądał jak żuk na placu defilad.

Żuk na placu defilad?! Kiepska fraza – skarcił się w myślach cenzor.

– Kochanie – zwrócił się cenzor do żony; w jego głosie nie znać było strachu.

– Tak, kochanie? – uprzejme zainteresowanie żony.

– Mogłabyś z łaski swojej przynieść pieczątki? Wydaje mi się, że są w gabinecie.

– Już pędzę, kochanie.

Nadużywała tego „kochanie”, ale nie była to jej wina.

W tym samym momencie nieznajomy wyraźnie przyspieszył. Wiele wskazywało na to, że jest absolutnie niezniszczalny. Kornel W. – nieco automatycznie – recytował w myślach *Litanie cenzora*, co miało go uodpornić na cud kreacji. W takich razach jednak *Litania* miewała skuteczność szczepionki przeciw grypie aplikowanej umierającemu na dżumę.

Dzień od początku źle się zapowiadał – karaluch napotkany w wannie wprawił cenzora w podły nastrój. Kornel W. obsesyjnie nienawidził insektów i chyba w ogóle owadów; zastosował więc cenzurę prewencyjną. Potem było już tylko gorzej i gorzej.

W chwili gdy drzwi wejściowe wyleciały z zawiasów, a próg mieszkania państwa cenzorstwa przekroczył nieproszony gość o szczęce jakby kutej w granicie (cenzor odnotował ten szczegół anatomiczny z niesmakiem), pieczątki, ciśnięte przez żonę – „Ona jest jednak nieoceniona”, pomyślał Kornel W. – już szybowały w powietrzu, łagodnym łukiem o perfekcyjnie obliczonej trajektorii. Na widok cenzora nieznajomy



uśmiechnął się oszczędnie; gdyby oszczędność uśmiechów przynosiła jakieś profity, niechybnie dorobiłby się fortuny.

Ponura postać brnęła przez przedpokój, zahaczając o zgromadzone tu sprzęty, tłukąc lustro, pamiątkowy wazon po matce (cenzor aż zadrżał), tymczasem Kornel W., kierując się wypróbowaną nieraz taktyką, jął wykonywać pozornie niezborne ruchy, by wprowadzić intruza w konfuzję. W lewej dłoni dzierżył etui z pieczętkami; jak zwykle czuł w palcach mrowienie od intensywności prawdy, a właściwie PRAWDY, w nich skondensowanej.

Intruza postępował w głąb mieszkania jak tornado; cenzor zaś, wykonując skomplikowane piruety, które były unikami (bo czyż nie jest taniec sztuką takiego unikania, by ostatecznie doszło do zbliżenia?), zastanawiał się intensywnie, czy nie zapomniał aby zapłacić ostatniej raty ubezpieczeniowej. Ale pod czaszką, jakby obok, jakby równoległe do tych ekonomicznych przemyśleń, rezonowała mu cenzorska litania albo mantra, nawet jąła chyba swoim życiem żyć, zautonomizowała się, osiągając samodzielność brzmienia, bo przecież nie istnienia.

— Skuję ci mordę, jakbym był mrozem — rzekł przybysz, jego głos nie brzmiał dobrze, Kornelowi W. zdawało się, że dobywa się z jakiejś głębi, może nawet otchłani. Zresztą od jakiegoś czasu rejestrował nieuchwytną niewspółmierność zmysłowego odbioru świata z doświadczeniem, pamięcią. Jakby inaczej pamiętał dźwięki czy widoki od tych rejestrowanych w terażniejszości. Zdawało się, że coś nieuchwytnego filtruje wrażenia zmysłowe, odmieniając je na gorsze.

— Czas na odwilż — odparł cenzor, niezbyt błyskotliwie, ale choć *à propos*.

Uniknął cudem zamachowego ciosu, zanurkował zręcznie pod prawą ręką obcego i już właściwie miał go na widelcu. Mimochodem zarejestrował szczegóły, które nie były dla niego niespodzianką — prochowiec intruza stanowił integralną część jego istoty — wyrastał wprost z ciała, jakby stanowił żywą tkankę ucharakteryzowaną na sztuczność.

Nieznajomy obrócił się niezdarnie (mobilność nie była mocną stroną tej kreacji), by kontynuować starcie, ale Kornel W. już dzierżył w zdrętwiałej od prawdy dłoni pieczętkę. Płynnym ruchem przytknął ją do czoła obcego, szerokiego jak paryskie trotuary. Teraz widniał tam napis: USTAWA O KONTROLI PUBLIKACJI I WIDOWISK Z DNIA... — tu następowała odpowiednia data.

Facet jął puchnąć, a nie wyglądało to na naturalną dolegliwość. W dziesięć sekund niemal podwoił swą objętość i zdawało się, że za chwilę eksploduje, gdy nagle natura procesu odwróciła się — nieoczekiwany gość skolapsował jak umierająca gwiazda, zapadł w sobie, odwrócił na nitce, jeszcze sekunda, jeszcze okiem mrugnięcie, i już go właściwie nie było.

— Cholera. — mruknął Kornel W., rozejrzawszy się po mieszkaniu.

Jeśli nie chciał spóźnić się do pracy, a nie miał takiego zwyczaju, musiał w tej właśnie chwili wychodzić.

— Może uda ci się doprowadzić to do porządku — rzekł do żony na odchodnym. —

I od tej pory niech gołębie srają wszędy i do woli. Mam wobec nich dług wdzięczności.

– Oczywiście, kochanie.

Żona Kornela W. była kobietą idealną.

Po drodze do budynku PC — co było skrótem od Pogotowia Cenzorskiego — Kornelowi W. zdawało się, że miasto puchnie. Był to normalny objaw zaburzenia epistemologicznego po kontakcie z fenomenem Postaci, ale cenzor i tak nie mógł przywyknąć. Często nocami śnili mu się opuchnięci ludzie, którym bezskutecznie przykładął pieczętkę do czoła — puchli z jakimiś ironicznymi uśmiezkami na ustach i nie zamierzali kolapsować. Innym razem pęczniały mu w snach całe budynki, a on próbował miasto ratować okładami z Sienkiewicza; rzecz jasna, daremnie.

Nawet masywny budynek PC, wznoszący się, a raczej rozłożony w centrum miasta, opodal Prospektu Wsiewołoda D., wydawał się Kornelowi W. jakiś bardziej niż zwykle obły, by nie rzec obolały. Zresztą w istocie ogromny był; mieściło się w nim dziesięć tysięcy pracowników na piętrach i około półtora tysiąca w warstwach piwnicznych. Solidne ściany wzmocnione były dętą i drętą literaturą, opasłymi tomami (fundament stanowiły dzieła pozytywistów), które miały stanowić zapórę przeciw zalewom kreacji. Ściany ogromnego zaiste westybulu wyłożono frazą socrealistyczną. W podziemiach budynku zaś mieściła się tzw. Ferma Grafomanów, gdzie praca wre dzień i noc, a grupa wyselekcjonowanych literackich pustaków tworzy — na trzy zmiany — nicość. W tej aurze twardniejącej rzeczywistości, gdzie Prawda intensyfikowała się nad miarę, dojrzewały sobie w najlepsze pieczętki. Nad wejściem do podziemi widniała sentencja: PISAĆ, BY NIE MYŚLEĆ.

Co ciekawe, werbowanie autorów o zwiędłej wyobraźni, dotkniętych atrofią talentu, największe pokłosie przyniosło pośród byłych pisarzy science fiction, choć na pierwszy rzut oka wydawało się, że powinno być zgoła inaczej. Badania wykazały, że zdolności kreacyjne odwrotnie są proporcjonalne do stopnia dziwności fabularnej — w myśl Prawa Horowitza (jednego z klasyków cen-zorstwa): nieprawdopodobieństwa fabuł są unikiem pisarskim, kryjącym zwykle — choć nie zawsze — brak talentu autora. Być może zresztą powody twórczej bezpłodności fantastów kryły się raczej w „niepodległości” rzeczywistości? Otóż kreacje zachodziły wyłącznie w dość ściśle zakreślonych ramach — Postacie ludzkimi być miały; wszelakie maskarony nie zyskiwały odpowiedniej konsystencji i rozplływały się wnet w niebycie. Jakby w całym tym nieprawdopodobieństwie jednak czały się — paradoksalnie — reguły prawdopodobieństwa.

Największą jednak tajemnicą grafomanów był ich rozczulający brak świadomości własnej ułomności. To znaczy wiedzieli, oczywiście, gdzie się znajdują i do czego wykorzystywana jest ich *quasi*-twórczość, ale zarazem wciąż wierzyli w swe talenta — chwilowo rzekomo ukryte — które wyklują się jak motyle z kokonów niemożności. Konkurowali ze sobą na fabularne atrakcje; mierzyli swe możliwości twórcze w walucie

akceptacji kolegów po piórze. Przy czym zarówno akceptację, jak i jej brak uznawali za dobry znak — wszystko dało się odczytywać pomyślnie — raz jako wyraz uznania, innym razem jako niską zawiść. Zawiści chyba nawet wyżej były cenione od entuzjasmów. Fundowali jakieś środowiskowe nagrody, co wiązało się z budowaniem licznych wewnętrznych frakcji, których skład zmienny był jak pogoda i równie przewidywalny. Kornelowi W. paradoksalnie zdawało się, że mimo wszystko skonstruowali jednak, jakby wbrew swej oczywistej ułomności, wewnętrzny świat, alternatywny, rządzony własnymi prawami, głównie stochastycznymi fluktuacjami, w którym zostali obsadzeni nie w roli bogów, czyli autorów, lecz tłumu podrzędnych postaci. Byli jak Morlokowie świata twórczości; byli rewersem kreacji; a ich żmudna dłubanina w materii słowa przynosiła antytwórczość, zatem najdoskonalszy niwelator tego, czemu się poświęcali z takim oddaniem. Na swój sposób tragiczne z nich były postacie.

Kornel W. często oddawał się retrospektywnym rozmyśleniom, rzadziej marzeniom, ponieważ nie przepadał za rzeczywistością zastaną i dolegającą mu ze wszystkich stron. A dolegała, oczywiście, i tym razem. Ledwo przekroczył próg budynku PC, już spostrzegł, że dzieje się tu coś niezwykłego. Senni zwykle o tej porze dnia strażnicy w twarzowych granatowych uniformach z emblematem przekreślonego pióra w okolicach lewej piersi krzatali się bezładnie z niewątpliwą nerwowością, sprawdzając zakamarki westybulu, lustrując przestrzeń za donicami okazałych filodendronów, jakby spodziewali się stamtąd jakiejś napaści albo choć eksplozji.

Wyjaśnienia owych dziwnych zachowań doczekał się cenzor, dopiero gdy dotarł na drugie piętro, gdzie mieścił się WIP, czyli Wydział Identyfikacji Postaci, będący komórką szerszej struktury DPK — Departamentu Przeciwdziałania Kreacjom. Spotkał tu spoconego bardziej niż zwykle Winisława P., młodszego referenta WIP (swoją drogą — dlaczego młodszego; wyglądał na człeka w średnim wieku), który sam swym niekonwencjonalnym wyglądem przypominał zdeformowaną Postać literacką. Łączył w sobie nadmiary z niedomiarami — na przykład ogromne i odstające uszy ztwarzą wąską jak ucho igielne.

Kiedyś odwiedził cenzora w pieleszach w sprawach służbowych wprawdzie, lecz dość nieistotnych, mogli to równie dobrze rozstrzygnąć w miejscu zatrudnienia. Rozglądał się po wnętrznościach domu z łapczywością poznawczą, jakby był pasożytem, który znalazł się w objęciach ulubionego organizmu. Cenzor nie znosił odwiedzin obcych, lecz Winisława P. zaakceptował z nieznanym sobie przyczyn. Może dlatego, że ten komplementował żonę cenzora? A może raczej z tego powodu, że uczynił to tak niezdarnie, z wypiekami na groteskowo uformowanej twarzy? Było to niedawno, chyba w trakcie miodowego miesiąca, spędzanego przez cenzora, rzecz jasna, głównie w pracy.

Referent relacjonował Kornelowi W. zaszłe wypadki. Okazało się oto, że poranna napaść na Kornela W. nie była wyjątkiem potwierdzającym regułę nietykalności cenzorów oraz niewymuszonego społecznego szacunku, jakim ich darzono. Była to

część pełnej rozmachu akcji. Dziesięciu cenzorów zostało rozdartych na sztuki przez emanację czyjejś kreacji; jedenaście Postaci jednak zniwelowano — Kornel W. ocenił starcie na remis, z lekkim wskazaniem na stronę cenzorską; i wiedział, że Departament Propagandy opisze zdarzenie z jeszcze większą dozą optymizmu.

Na trzecim piętrze, gdzie mieścił się WP (Wydział Prewencji), a zatem i gabinet Kornela W., aż wrzało od przypuszczeń. Jedni mniemali, że za terror odpowiada PSL (Polskie Stronnictwo Literackie), podziemna bojówka, której celem jest destabilizacja ładu społecznego. Wskazywać miała na to pobieżna analiza użytych do napaści Postaci — ich nikła mobilność połączona z pozorną nie-zniszczalnością. PSL-owcy stawiali bowiem na skuteczność kreacji literackiej, niejednokrotnie kosztem subtelności środków wyrazu. Postacie odznaczały się całkowitym brakiem mimiki twarzy, jakby przyobleczono je w stężałe maski, nadto niechętnie się odzywały (niektóre miały zrosnięte usta) — wynikało to z ekonomii środków wyrazu. Kornel W. jednak zdyskredytował tę hipotezę, ponieważ intruz w jego domu posługiwał się „chandlerowszczy-zną”, co wskazywało na, nikłe wprawdzie (może maskowane?), ale jednak wyrafinowanie twórcy, a to wykluczało autorów spod znaku PSL. Tym bardziej że raporty pozostałych przy życiu cenzorów wskazywały na pewną różnorodność stylistyczną — a to napastnikiem okazywał się wyrafinowany sadysta posługujący się ni-hilistyczną frazą *à la* markiz de Sade, to znów perwersyjna kobieta zabijająca ofiary zaciskiem ud.

Ktoś wysunął przypuszczenie, że może w takim razie idzie o Sojusz Literatów Destrukcyjnych; ale i to wydało się wątpliwe ze względu na ich chroniczną niewydolność organizacyjną. Programowa destrukcyjność wyklucza bowiem działania społecznie użyteczne, choćby w ramach grupy tak społecznie nieużytecznej. Kornel W. posługiwał się w swych rozmyślaniach paradoksalną frazeologią, wręcz z tego słynał, był to jakby jego znak firmowy. W każdym razie, SLD nie wchodził w grę, bo podobno znów podzielił się na frakcje; członkowie zwalczali się wzajemnie słowem, które stawało się ciałem; i nie mieli czasu na — jakże z ich punktu widzenia nieistotne — społeczne obstrukcje.

Wreszcie podjęto kolegialnie decyzję o rozpoczęciu śledztwa. Działania Kornela W. miały objąć środowisko tak zwanych exów, czyli eks-pisarzy, których (czwarte piętro — Wydział Demencji) w swoim czasie pozbawiono operacyjnie bądź metodą tzw. per-swazji totalnej zdolności kreacyjnych, dla ich dobra rzecz jasna, choć być może w większym stopniu chodziło tu o dobro ogółu. Wciąż mogli pamiętać jakieś dawne kontakty, jakieś pożyteczne dla śledztwa szczegóły.

Kornel W. skierował się, a poruszał się z nawyku krokiem niekonwencjonalnym, to skakał na jednej nodze, to znów przechodził na krok łyżwowy, posuwicie płynny, do Sanatorium pod Klepsydrą, gdzie rezydowali pacjenci Wydziału Demencji. Chciał uciąć sobie pogawędkę z Żorzem (prawdziwych personaliów nigdy nie ustalono), legendą pisarskiego cechu; jego łączność z kreowaną postacią (przed lobotomią, oczywiście)

sięgała odległości około dwóch kilometrów, co było dotąd niepokonanym rekordem.

Cenzora nieustannie kręciło w nosie na skutek wiosennego oddziaływania pyłków traw oraz poezji miłosnej. Emanacja twórczości poetów okazywała się zwykle dość nieszkodliwa, ale z pewnością uciążliwa — były to drobiny o regularnym kształcie, już to gwiazdek, już spiral (niektórzy naukowcy dostrzegali w nich podobieństwo do fraktali), które unosiły się w powietrzu. Przez jakiś czas obawiano się ich wpływu na płuca i inne narządy wewnętrzne; szybko jednak potwierdzono obojętny wpływ poezji na ludzką kondycję.

Po drodze, gdzieś w okolicach Prospektu Prawdy Absolutnej, a może ulicy Twardej, znów zebrało się Kornelowi W. na wspomnienia. Wciąż świetnie pamiętał, jak się to wszystko zaczęło. Zjawisko urealnienia Postaci dotknęło równocześnie kilku, niekoniecznie znanych pisarzy krajowych. Co u zarania swego musiało wyglądać komicznie, wkrótce — ze względu na skalę zjawiska — przemieniło się w tragedię. Przyczyn niezwykłości na dobrą sprawę nigdy nie ustalono. Może szło o magiczną barierę ilości (autorów), która nagle i nieoczekiwanie przeszła w jakość. Ale dlaczego wyłącznie na tym, ściśle określonym, skrawku globu? Osobliwość zdawała się szanować granice — nie wykaczała nawet o milimetr poza.

Znaleźli się natychmiast naukowcy ferujący mętne dość i ryzykowne, bo niemożliwe do zweryfikowania, hipotezy o natężeniu obserwacji, która przeszła w kreację — parafrazowano tu pseudo-teorie rodem z kwantowej fizyki, różne antropiczne nadinterpretacje, wedle których Wszechświat powstał po to, by być obserwowany (w dużym uproszczeniu, rzecz jasna); co się ongiś dokonało na skalę najszerszą z możliwych, teraz powtarzało się na skalę węższą znacznie, tu i teraz, za sprawą pisarzy, którzy, jak wiadomo, intensywnie obserwują rzeczywistość. Ale i to nie tłumaczyło wąskiej reprezentacji geograficznej zjawiska. Przedstawiciele wszystkich religii, wyjątkowo zgodnie, potępili akty niespodziewanych kreacji jako cud bluźnierczy i pozorny. Kreacja wszak, prawdziwa Kreacja, dokonać się mogła za sprawą Jedynego i ściśle określonego Podmiotu; masowość zjawiska urągała świętości. Posypały się ekskomuniki na Bogu ducha winnych pisarzy. Pojawiły się herezje sugerujące, jakoby Bóg był Pisarzem Ostatecznym; szatan jawił się w tych odstępstwach od ortodoksji jako Cenzor lub Krytyk Literacki. Z nieuchronnością klęsk żywiołowych objawili się prorocy dopatrujący się w niezwykłych zdarzeniach mesjanistycznych akcentów — kraj znów miał coś do zaferowania światu. Cóż to jednak miało być — nie bardzo wiadomo.

Ukłucie niepokoju, przesywające jak błąd ortograficzny w dziele genialnym, na moment przerwało jego rozmyślenia. Te fotografie żony. Przy okazji zorientował się przestrzennie — był jakiś kilometr od domu.

Pewien znany historyk literatury wypowiedział słynne zdanie, pod którym i teraz podpisałby się chętnie Kornel W.: „Papier stracił cierpliwość”. Być może był najbliższy prawdy.

Głowę podnieśli nawet marksści, którzy przypomnieli starą maksymę o świadomości będącej przecie niczym innym jak przejawem wysoce zorganizowanej materii. Materialny charakter ducha (o paradoksie!) nie mógł już — ich zdaniem — ulegać wątpliwości.

Pojedyncze przypadki zwiastowały, niestety, prawdziwą pandemię. Natychmiast doszło do — bolesnej dla niektórych twórców — weryfikacji skali talentów, ponieważ Postaci kreowane przez autorów zdolnych odznaczały się większą trwałością, aż do niezniszczalności niemal, a — co gorsza — przejawiały pewną, ograniczoną co prawda, ale jednak autonomię poczyznań. Skale talentu zaraz zyskały oczywisty przelicznik ilościowy — stanowiły iloraz trwałości postaci przez dopuszczalną odległość oddalenia od twórcy (jeśli postać przekraczała barierę, dziś nazywaną „barierą prawdopodobieństwa” albo po prostu „smyczą”, natychmiast dochodziło do znanego „efektu obrzęku”, a następnie kolapsowania). Wielu laureatów nagród literackich okazało się grafomanami w istocie; mnożyły się samobójstwa oraz przypadki obłędu — tzw. syndrom jałowości. Co gorsza, wpływ na jakość Postaci miały przyjęte mody czy też strategie pisarskie. Kreacje neoromantyków puchły od nadmiaru emocji autorów; w rezultacie mobilność ich była żadna; Postacie postmo-dernistów charakteryzowały się wewnętrzną sprzecznością motywacyjną — będącą przedłużeniem eklektyzmu autorów. Krążyły beładnie w kółko, powtarzając jakąś charakterystyczną dla danego autora frazę, zwykle dość nonsensowną.

Natychmiast pojawiły się zadziwiające precedensy obyczajowe i prawne. Oto mąż, będący akurat pisarzem, mordował żonę swą z pomocą bohatera literackiego (specjalnie w celach morderczych powołanego; choć niczego autorowi nie udowodniono — prawo autorskie było wówczas w powijakach). Bohaterowie nadali się również nadzwyczajnie do realizowania zamachów terrorystycznych, na przykład na głowy państw — silne kreacje były praktycznie nie do zatrzymania. Istniało wprawdzie praktyczne ograniczenie — poruszali się bowiem zgodnie z narzuconym uprzednio przez autora programem; tu wyjściem mogły być niekonwencjonalne zachowania polityków, które zbijały Postacie z pantałyku: a to wizyty polityczne nie były zapowiadane, a to program ulegał twórczej dezorganizacji, co prowadziło do politycznej komedii pomyłek oraz wystosowywania licznych not protestacyjnych. W istocie były to półśrodki; zamęt społeczny narastał. W rezultacie Ojczyzna Postaci, jak ironicznie nazywano kraj, poddana została izolacji, zarówno migracyjnej, jak i politycznej; kreacyjnych zdolności miejscowych pisarzy obawiano się wszędy jak najgroźniejszej z możliwych epidemii.

Równolegle prowadzono gorączkowe badania nad fenomenami — okazały się one całkowicie bezowocne. „Materia” składająca się na kreacje była oporna na jakiegokolwiek próby obserwacji; nawet przy pomocy promieniowania przenikliwego; nie mówiąc o konwencjonalnych przyrządach optycznych. Musiał to być budulec niesłuchanie „ściśnięty” na poziomie cząsteczkowym; albo też szło o immaterialny charakter postaci — było to „utwardzone” nieistnienie, byt paradoksalny, bo tak mocno nieobecny, że aż

nadobecny.

Wszelkie konwencjonalne, a więc materialne, próby niszczenia Postaci zawodziły ze zdumiewającą konsekwencją, przyprawiając przedstawicieli przemysłu zbrojeniowego oraz wojskowych o permanentne załamania nerwowe. I w tej populacji jęły się szerzyć samobójstwa, spektakularne pomieszania zmysłów; natomiast statystycznie rzecz biorąc – wyraźnie malały wskaźniki zatrudnienia.

Diabli wiedzą, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie nagłe olśnienie Wsiewołoda D., emerytowanego – zhistorycznej konieczności – cenzora, który sformułował zasady zwalczania immaterialistycznych herezji z pomocą konsekwentnie materialistycznego podejścia – i to na skalę przemysłową, rzecz by można (to jemu przypisywane jest autorstwo słów *Cenzorskiej litanii*, choć nie istnieją na to materialne dowody). I pomyśleć, że Wsiewołod żył i pracował tu, w tym mieście. Gdyby duma rzeczywiście mogła rozpierać, Korneliusz W. rozpuchlby się niechybnie, niczym Postać tuż przed ostateczną kolapsacją. Cenzorzy, owi twardo stąpający po ziemi sceptycy, okazali się nad wyraz skuteczną bronią. Pisarski proceder został – jako działalność antypaństwowa – zabroniony pod groźbą kary głównej. Na wszelki wypadek spalono większość zasobów światowej literatury w krajowych bibliotekach; słupy dymu bijące w niebo omal nie spowodowały katastrofy ekologicznej; sąsiednie kraje wystosowały noty protestacyjne.

Kornel W. sam uczestniczył w Procesji Palenia; był wówczas ośmioletnim dzieckiem. Wspomnienia wciąż budziły w nim żywe emocje – pamiętał podniecenie i namaszczenie, z jakim paradował z *Akademią Pana Kleksa* pod pachą do wznoszących się ku niebiosom (zapewne słup ognia mniejszy był w istocie, niż się to zdawało małemu Kornelowi; dziecięca wyobraźnia wszystko wyolbrzymia) płomieniom; a zarazem trudny do zamaskowania żal – bo uwielbiał czytać bajki. Nawet rodziło się w nim czasem takie głupie podejrzenie, że został cenzorem z tego powodu, by móc czytać – była to część, wcale nie najprzyjemniejsza, rzecz jasna, cenzorskiej profesji – studiowanie stylów pisarskich, przeglądanie twórczych strategii.

Rozrzewnienie, uczucie jakże obce cenzorskiej mentalności, otrzeźwiło go natychmiast; wrócił do rzeczywistości w samą porę – cel był wszak blisko.

Sanatorium Pod Klepsydrą mieściło się na przedmieściach, co mogło mieć swój urok – secesyjne domostwo, tonące w zieleni (ratunek nadchodził jesienią, gdy zieleń rzedła w oczach; zima oznaczała tymczasowe ocalenie). Podobno kiedyś, przed Procesjami Palenia, znajdowała się tu Biblioteka Wojewódzka, co miało w sobie – rozkoszną dla cenzora – aurę ironicznej absurdalności. Akurat kwitły jabłonie – w powietrzu roznosił się zapach lawendy; wszystko to wydawało się Kornelowi W. jakieś tandetne, jakby rodem zkiepskiej powieści. Ocenzowali by te jabłonie albo choć kwiecie, zmienił styl architektoniczny. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nigdy nie był tu wiosną. Co więcej, chyba bywał tu wyłącznie jesienią; gdy park wokół sanatorium tchnął jakąś

adekwatną pustką, drzewa pospiesznie łyślały, by dostosować się do ogólnego nastroju – wtedy wszystko było na swoim miejscu, świat nie wychodził z formy. Nawet obłoki leniwie wędrujące po mdlącym lazurze nieba budziły w cenzorze odrazę.

Drzwi ogromnych rozmiarów, można by powiedzieć wierzeje, rozwarły się z potępieńczym zgrzytem i znalazł się w mrocznym wnętrzu. Wszystkie okna przesłonięte były kotarami, które filtrowały zewnętrzny blask, zmieniając jego radosną naturę w coś innego, coś przeciwnego. Ale wrażenie to złożył Kornel W. na karb epistemologicznych zakłóceń. Cisza tu panująca zwiastowała nieobecność istot ludzkich; cenzor wiedział, że to nie może być prawdą.

Przechadzał się pustymi korytarzami, których ściany upstrzone były malowidłami różnej wielkości, utrzymanymi w różnych stylach, lecz o dość jednostajnej tematyce. Tryptyk *Piekło pisarzy* przywodził na myśl koszmarną poetykę Boscha – dusze artystów symbolicznie przedstawione w postaci obłych („ech, ta obłość”, pomyślał Kornel W.) języków, ukrzyżowane były na gigantycznych wiecznych piórach – a „wieczność” piór symbolizować miała permanentny charakter męki. W mrocznej przestrzeni wiły się liczne demony reprezentowane przez odpowiednie akapity wyrwane wprost z kart dantejskiego *Piekła*.

Na innej reprodukcji książki zwisały „do góry nogami” (sądząc po tytułach), a z nacięć poczynionych na obwolutach sączyła się – jak krew – literatura. Dzieło nosiło tytuł *Strumień świadomości*.

– Dlaczego nikogo nie ma? – mruknął do siebie cenzor. I ku swojemu zdumieniu, doczekał się odpowiedzi.

– W sanatorium zwykle niemal wszyscy śpią – powiedziała pielęgniarka, która jak kwiat nocy wykwitła z półmroku za plecami cenzora; ten aż się wzdrygnął. Była ładna i młoda. Ale dominującą cechą jej oblicza okazała się bladość.

Jakby opalała się w mroku, pomyślał Kornel W.

– Z wyjątkiem personelu, oczywiście.

– Przecież jest środek dnia.

– Tu jest inaczej – odparła i zamilkła, jakby wytłumaczyła wszystko i nie spodziewała się dalszych pytań.

Cenzor nie przebywał w tym miejscu pierwszy raz; nawet bywał w sanatorium częściej niż ktokolwiek inny. Tłumaczył sobie ten fakt zdrową i profesjonalną gorliwością – wsłuchiwał się w majaczenia exów, usiłował łowić w nich sens (nazwiska, adresy), badał sposób ich „myślenia”, krótko mówiąc – nabierał doświadczenia. Ale było to wszystko podszyte niezdrową ciekawością – napawał się widokiem tych produktów Wydziału Demencji, wchłaniał atmosferę degeneracji, jakby ich słabością żył, jakby ich niemoc była jego mocą. Jakby byli – i on sam, i „pensjonariusze” sanatorium – jakościami wprawdzie krańcowymi, lecz mimo wszystko umieszczonymi na skali tej samej wartości.

Ale nigdy dotąd nie było tu tak cicho. Owszem, dostrzegał rzednącą aktywność



stałych bywalców (uśmiechnął się na myśl o tym określeniu, jakże uroczo ironicznym); zdawało się, że z wolna zapadają się w siebie — może wewnętrzny świat zdawał im się od rzeczywistości bardziej interesujący, realny bardziej? Gdzież ten jednostajny szum informacji wypływający źródłem z ich zdemolowanych umysłów?

Jego uwagę przykuł widok drzwi, niepozornych, niemal zawłaszczonych przez ścianę, przez co ledwo dostrzegalnych. Coś pchało go do naciśnięcia na klamkę — poczucie, że za nimi kryło się jego przeznaczenie? Miał przy tym obezwładniające wrażenie, że wie, co się tam znajduje, że już tam kiedyś był (choć doskonale wiedział, że nie był); że zna rozkład pomieszczenia, każdy jego szczegół. Oczywiście, gdy próbował się skoncentrować na domniemanym wyglądzie pokoju, nic konkretnego nie pojawiało się w jego pamięci. Tylko to silne wrażenie pewności, że już się tam kiedyś znajdował.

— Chciałbym zobaczyć się z pacjentem numer siedemnaście — ocenzurował ciszę Kornel W. — Moje uprawnienia.

— Są nam znane, cenzorze. Nie gwarantujemy jednak komunikatywności ze strony naszych pacjentów. — Nie dałby za to głowy, ale odczytał w jej głosie lekką drwinę. — W naszym fachu niewiele można zagwarantować. Wszyscy, którzy akurat nie śpią, są w świetlicy. Tam oddają się ulubionym rozrywkom.

— A więc jednak coś gwarantujecie — mruknął cenzor. Wciąż stali przed tajemniczymi drzwiami.

— To Śmiertelnia — wyjaśniła w końcu pielęgniarka. Szli w milczeniu.

Na ścianach malowidła o wymowie jednoznacznej; i półmrok sączący się przez kotary.

Wreszcie świetlica — cenzor był tu kiedyś. Pamiętał ten stół pingpongowy, zakurzony, bo nikt nigdy z niego nie korzystał. W innym miejscu, na chwiejnym stoliku rozłożona plansza do chińczyka; Kornelowi W. zdawało się, że położenie pionów nie zmieniło się od dwudziestu lat i tak mogło być naprawdę. Cztery krzesła zajęte; trzy osoby przechadzały się po sali pod baczym spojrzeniem barczystego sanitariusza. Z żarówki pod sufitem płynęło światło. Blask tu wydał się cenzorowi czymś nie na miejscu, czymś niezgodnym z duchem tegoż wnętrza. Jakby nie włączano tu światła, a raczej wyłączano ciemność.

Pielęgniarka podeszła do sanitariusza i przez chwilę szeptali ze sobą, a ich szept harmonijnie włączył się w nurt wygłaszanych tu bełkotów; wszyscy mieli wciąż coś do powiedzenia; każdy tu rozmawiał głównie z sobą samym. Ten przenikliwy szept brzmiał dla Kornela W. jak symfonia sfer — sam nie wiedział z jakiego powodu. Może po to tu przychodził, by wsłuchiwać się w ich głosy; i to raczej w ich melodię, nie sens?

— Ma pan trzydzieści dwie minuty — rzekła pielęgniarka. Jeśli miał u niej kiedykolwiek jakiś kredyt życzliwości, to już go utracił. — Potem zabieramy ich na obiad.

— Czy moglibyście nam zapewnić jakieś osobne pomieszczenie?

— Trzydzieści jeden minut.

Ledwo rozpoznawał Zorża — okazał się jednym z siedzących. Zmienił się od ostatniego ich spotkania — schudł, oczy mu zmatowiały. Przez jego czaszkę biegła regularna blizna; przynajmniej ten szczegół nie uległ zmianie.

Zorż wpatrywał się w planszę chińczyka z natężeniem, jakby spodziewał się tam odnaleźć co najmniej sens istnienia. Był jednym z nielicznych tu milczących; reszta gadała nieustannie; on milczał. Cenzorzy nazwali go Zorż, bo wymawiał gardłowo „r” — była to naturalna wada wymowy. Kornel W. pamiętał, że miał kiedyś przyjaciela z podobną skazą — ale to jego „r” było wynikiem głębokich studiów lingwistycznych i żmudnej roboty nad sobą. Pracował w pewnej francuskiej firmie oponiarskiej i w końcu okazał się pospolitym szpiegiem przemysłowym — jego obsesją było wykorzystanie „budulca” postaci jako komponentu opon samochodowych. Niezniszczalne opony... Cenzor uśmiechnął się do siebie. Iluż takich szpiegów, pachółków obcych mocarstw postradało lekkomyślnie żywota.

— Witaj, Zorż — powiedział.

Ale Zorż wciąż milczał. Z kącika ust sączyła mu się ślina. Trudno uwierzyć, że ten człowiek był kiedyś najbardziej kreatywnym ze znanych pisarzy — nikt inny, jeno Kornel W. go zneutralizował, i to po błyskotliwym śledztwie. W pewnym sensie Zorż zapewnił cenzorowi nieśmiertelność — zapisy w annałach; wykłady na metodologii rozpoznania stylu. Kornel W. był sławny. A jego przeciwnik gnił. Przemijał — poprawił się w myślach cenzor.

Przysunął krzesło i usiadł obok Zorża. Przez jakiś czas stosował konwencjonalną metodę wolnych skojarzeń — rzucał hasła, nie spodziewając się jednak odpowiedzi. Czasem umysły exów nieoczekiwanie zaskakiwały jak stare maszyny, w których wciąż tli się energia. Wreszcie dał spokój i po prostu siedział w milczeniu. Wokół snuli się pensjonariusze — wraz ze zbliżaniem się pory obiadowej ich liczba wyraźnie rosła, a szept narastał. Każdy jakby odgrywał jakąś rolę; wydawało się, że są Postaciami — i może w istocie realizowali tłące się w ich umysłach strzępy fabuły?

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że Zorż włączył się w kaskadę słów; coś mówił, zrazu niewyraźnie. Cenzor nachylił się nad nim i próbował wyłowić jakiś sens. Nie było to nieskładne mamrotanie; teraz żałował, że nie zabrał ze sobą magnetofonu, mógłby to nagrać, a potem spokojnie odsłuchać. Głos Zorża to zanikał, to wzrastał, chwilami wybijając się ponad szmer. Reszta mówców zdawała się tworzyć dla niego akustyczne tło, był w tym jakiś niepojęty rytm; cenzor czuł się coraz bardziej nieswój. Z wolna jął rozumieć sedno wypowiedzianych zdań — była to niemal opowieść! Po chwili jednak zdumienie jemu z kolei odebrało głos: otóż Zorż relacjonował wydarzenia dnia dzisiejszego! Gołąb srający, Postać napadająca, Pogotowie Cenzorskie, Sanatorium Pod Klepsydrą, no i wreszcie ukłucia lęku ściśle związane z dostarczonymi cenzorowi fotografiami żony. Wszystko zmierzało jak po sznurku, linearnie, jedność czasu, miejsca i akcji. W cenzorze narastał strach. W tej atmosferze paranoi wydawało mu się, że dominującym słowem w chórze głosów wokół była „smycz”. Smycz, smycz, smycz —

powtarzano z różną intonacją. Kornel W. poczuł gęsią skórkę.

— .cenzor zerwał się i krzyknął — „skąd o tym wszystkim wiesz?!“ — wymamrotał Zorz.

— Skąd o tym wszystkim wiesz?! — krzyknął cenzor. W zapadłej nagle ciszy rozległ się głos sanitariusza:

— Pora na obiad.

Kornel W. próbował skoncentrować swe myśli na czymś, co pomogłoby mu zapomnieć o myślach. Śledztwo zmierzało w dziwnym kierunku, rzec by można, że właściwie metafizycznym. Nie bywał zachwycony, gdy mu coś rozsadzało poukładaną rzeczywistość, nawet rzeczywistość, która już wcześniej zupełnie nieźle eksplodowała. Z cudownością za oknem dawał sobie radę, wrosła wszak w otoczenie, nadto on sam wrósł w nią. Niecodziennosc była mu już codziennością. Na domiar złego, nie mógł się z nikim dzielić swymi spostrzeżeniami, bo oznaczałoby to niechybną utratę stanowiska, może nawet uznano by cenzora za człeka niespełna rozumu, na co nie mógł sobie pozwolić.

Tymczasem, dla nerwów ukojenia, jął czytać zakurzone raporty regularnie produkowane przez SeN (Sekcję Nauki). Oto były entomolog Romuald K., zajął się kwestią, może niezbyt teraz palącą, świadomości Postaci. Choć problem sam w sobie był ciekawy — czy Postacie samo są świadome, czy cokolwiek czują, czy myślą, czy — w związku z tym — należałoby mimo wszystko czuć coś na kształt wyrzutów sumienia w momencie ich dekapitacji?

Autor raportu porównywał Postacie do owadów, co było zrozumiałe, zważywszy na jego wcześniejsze zainteresowania naukowe. Kornel W. pomyślał z przekąsem, że to dobrze, iż Romuald K. nie jest z wykształcenia ornitologiem. Czytał jednak dalej, choć musiał przemóc swą naturalną awersję do owadów.

„Owady, jak wiadomo, utworzyły społeczeństwa tylko trochę mniej skomplikowane od ludzkich, lecz uczyniły to metodami dla ludzi niedostępnymi. Wykształciły monstrualnie swe instynkta kosztem zdolności uczenia się, a przede wszystkim — wynalazczości. Ich ewolucja zmierzała ku wytworzeniu skomplikowanych żyjących automatów przystosowanych do stałego środowiska. Są to zatem istoty, u których maksymalna sprawność łączy się z minimalnym zindywidualizowaniem.

Owady uczą się z trudnością i szybko zapominają, ale w większości wypadków mogą w swym krótkim cyklu życiowym” („Cykl życiowy Postaci też nie jest zbyt długi”, pomyślał cenzor i pierwszy raz tego dnia zarechotał, bezgłośnie co prawda) w ogóle uniknąć konieczności uczenia się, a tym bardziej rozwiązywania nowych problemów. Każda mrówka czy pszczoła dopasowuje się do swego miejsca w społeczności dzięki połączeniu specjalizacji strukturalnej i instynktów. Organizacja fizyczna i psychiczna czyni z niej robotnicę lub żołnierza i nie pozwala funkcjonować w jakimkolwiek innym charakterze. Jej potrzeby indywidualne są minimalne i żadna z

nich nie prowadzi do konfliktu z innymi członkami tej samej społeczności. Krótko mówiąc, społeczeństwa owadów składają się nie tyle z indywidualności, ile ze standardowych, wymiennych jednostek. Walka klasowa nigdy nie rozgorzała w mrowisku (cenzor znów zarechotał). Mrówka przychodzi na świat wyposażona we wszystkie cechy, które najbardziej wymagający dyktator pragnąłby znajdować u swych poddanych”.

Dalej uczony mąż zajmował się już raczej ludzkimi społecznościami — przy czym porównanie z owadami skonstruowane było, oczywiście, na zasadzie kontrastu. Człowiek miał być — w opozycji do owadów — produktem końcowym procesu ewolucyjnego, który zmierzał do wzrostu indywidualizacji. Cenzor pomyślał o swych kolegach, dzielnych funkcjonariuszach Wydziału Prewencji, i wiara w owe „indywidualistyczne” mechanizmy ewolucyjne, rzekomo „lepiące” człeka, zachwiała się.

Ssaki wyspecjalizowały się w zdolności uczenia; z chwilą gdy przodkowie współczesnego człowieka osiągnęli poziom ludzki, utracili większość automatycznych reakcji. Autor podkreślał na przykład ludzką zdolność do zapominania zbędności, jak również rozpoznawania nowych sytuacji.

Romuald K. konkludował, jakoby porównanie Postaci do owadów było w pewnym („powierzchnym”) stopniu uprawnione. Przy czym zastrzegł, że z powodu braku materiału badawczego bardziej opiera się na domniemaniach niż na empirii — wszak nie przeprowadzono, z oczywistych powodów, doświadczeń na społecznościach Postaci, bo takowych nie ma. Gdyby jednak były — zważywszy na ograniczoną autonomię poczynają kreacji, na nikłe zdolności adaptacyjne oraz na wpisany w nie z góry „program” postępowania (na wzór instynktów rządzących owadami) — społeczności takie mogłyby być konstruowane na wzór mrowisk czy kopców termitów.

— Czyli jednak cenzurować bez litości. — samodzielnie doszedł do wniosku Kornel W.

Następnie, kontynuując dzieło autoimpregnacji mentalnej na ukłucia niepokoju, jął przeglądać albumy ze zdjęciami autorów oraz kreowanych przez nich Postaci — mimo oczywistych różnic wprawne oko mogło dostrzec pewne podobieństwa. W zależności od kondycji emocjonalnej czy też usposobienia autora cechy bohatera okazywały się zwykle albo wzmocnieniem, albo osłabieniem cech kreatora. Oczywiście, dawało się to ustalić wyłącznie *post factum*. Przy analizach porównawczych wzorowano się na technikach św. Tomasza z Akwinu, który tak właśnie ustalał właściwości Boga — metodą negacji (czyli likwidacji znanych w przyrodzie cech niepożądanych, nieprzystających do boskości) albo też eminencji (wzmaganie tychże cech). Podobnie, choć zazwyczaj był to proces nieuświadomiony, postępowali pisarze — wzmagając lub całkowicie negując własne cechy w bohaterach.

Kornel W. przyglądał się Postaciom z niesmakiem — wydawały mu się nedorobione, niedoskonałe, autorzy nie potrafili ukryć parodystycznego wydzwisku

własnych kreacji; garby świadomości ciągnęły kreacje w dół, ku kloace śmieszności. Przez co nie okazywali należnego szacunku jemu, cenzorowi z powołania, jego świętej profesji. A gdyby tak, rozmarzył się cenzor, pod tą przekłętą szerokością geograficzną, tu i teraz, żył sobie niejaki Dostojewski? Czy byłby zadowolony ze swego Raskolnikowa, nihilisty z duszą, mordującego lichwiarkę w domu przy ulicy W-wej? A Flaubert, niestrudzenie, paranoicznie cyzelujący frazę? Pewnie zajrzałby, stary świntuch, do owej tajemnej karety, która — z Emmą i Leonem — niby to przypadkiem, przemierzała paryskie zaułki... ulicę Elbeuf, bulwar Cauchoise i tak dalej, i tak dalej.

Oto przeciwnicy godni Kornela W.!

Jeszcze tego samego dnia DAL (Dział Analiz Literackich), zwany niekiedy złośliwie siną dalą, zawyrokował, że wszystkie Postacie uczestniczące w aktach terroru mają jednego autora. Jego przewidywane zdolności kreacyjne wprawiły wszystkich, nie wyłączając z tego grona Kornela W., w popłoch.

Od jakiegoś czasu rzadko przebywał w domu. Niepokojące myśli, przerywane rutynowymi czynnościami śledczymi, pochłonęły go jak niezmierną przestrzeń pochłania cokolwiek. Czuł się samotny w świecie swych rozmyślań.

Poza tym było tu spokojniej. Jakby antytwórczość powstająca w konwulsjach antytalentów pod jego stopami utwardzała cienki lód, po którym przyszło mu stąpać. Pośród cenzorów szerzyła się nerwowość — liczba przypadkowych osób (listonoszów, pracowników gazowni itp.) ugodzonych omyłkowo pieczętkami rosła w postępie geometrycznym.

A Korneliusz W. myślał.

Czy fotografie jego żony (dziś przysłano kolejną) nie łączyły się jakoś ze sprawą terrorystycznych napaści? Był jak pionek na zakurzonej planszy chińczyka, nie swą wolą pchany. Skąd Zorż tyle wiedział o cenzora poczynaniach? Można było oczywiście, nieco wysilając imaginację, rzecz całą przedstawić racjonalnie — oto ktoś pilnie obserwował Kornela W. dnia feralnego, a ściśle przez owego kogoś określonego, znał każdy krok jego, każde jego posunięcie. Wcześniej też nie mogło się obyć bez obserwacji. Jeśli potraktować świat jako deterministyczną maszynkę, można — znając dobrze mechanizmy rzeczywistości — przewidywać ze znacznym prawdopodobieństwem zachodzące wydarzenia. Jeśli kto dobrze znał metody działania cenzora, ten mógł wiedzieć, że — śledztwo prowadząc — uda się Kornel W. do Sanatorium Pod Klepsydrą, bo tak często czynił w kryzysowych sytuacjach. Zorża, oczywiście, dałoby się wcześniej „zaprogramować” na taki właśnie przekaz; znany był fakt, iż niektórzy „nawróceńcy”, mimo swych umysłowych upośledzeń, posiadali znaczne mnemiczne umiejętności; wiernie powtarzali zasłyszane wieści, nawet naśladowując intonację wypowiedzi.

Były to jednak nadinterpretacje i cenzor zdawał sobie z tego sprawę. Męczyło go przecucie, że porusza się po nakreślonych przez kogoś (czy może raczej Kogoś) horyzontach czasoprzestrzennych, fundamentalnie nieprzekraczalnych. Jakby sam był

Postacią, być może nawet udaną, ale mimo wszystko ograniczoną w oczywistym zakresie. Właściwie dlaczego nie? Dlaczego miałby przypuszczać, że zakres Kreacji jest ograniczony; i że on sam i miliardy równych mu w ontologicznym statusie, miałby akurat stanowić granicę w tej piramidzie tworzenia?

Cenzor zostawił pielęgniarzowi z sanatorium (pielęgniarki nie ufał) dwa magnetofony, dla pewności kazał uruchamiać oba, jeśli tylko Zorż przemówi.

Sam zaś jął się doposażać, jakby szedł na wojnę z całą metafizyką świata. Gdzie mógł, tam poupychał pieczętki, a to pod pachami, a to u pasa, nawet w specjalnie spreparowanym obcasie buta. Lewym, bo był praworęczny. Aż cały zdrętwiał od przenikającej go na wskroś Prawdy. I czekał w gabinecie swym — już to na sygnał do działania, już na wieści z Sanatorium Pod Klepsydrą. Przechadzał się nerwowo — i nie były to rozległe przechadzki; dwa metry w lewo, trzy w prawo. Na parapecie spoczywał posąg Wsiewołoda D. odlany w brązie, ciężki, aż odkształcał parapet. Wsiewołod łypał również surowo na cenzora z taniej reprodukcji na ścianie.

— Co ty byś uczynił na mym miejscu? — szepnął cenzor.

— Nie wiem.

Kornel W. zmartwił, bo był przekonany, że to Wsiewołod przemówił, ale to był tylko Winisław P., młodszy referent Wydziału Identyfikacji Postaci, ten o obliczu naznaczonym fundamentalnymi sprzecznościami.

Referent dostarczył analizę Postaci, która zaatakowała cenzora w jego własnym domu. Analiza była o tyle interesująca, że sugerowała, jakoby owa kreacja, tak zjadliwie napastliwa, nie okazała się wystarczająco spójna ontologicznie, w porównaniu z innymi „sprawcami” terrorystycznych napaści. Kornel W. spojrział, zdziwiony, na Winisława P., ten — jak zwykle — wydawał się pożerać cenzora wzrokiem.

— Czy to oznacza — zapytał cenzor — że akurat „moją” Postać napisał. hm. lewą ręką?

— Wskazywałyby na to liczne niespójności — mówił gorączkowo Winisław P. — niedbałości o detale. Płaszcz wrosnięty w ciało. Przykłady można by mnożyć.

— Ale dlacz. — cenzor nie dokończył; przerwał mu dźwięk telefonu.

Dzwonił konfident z Sanatorium Pod Klepsydrą: coś nagrał!

Cenzor odtwarzał oba nagrania po raz któryś — obaj, wraz zmaszynnym sanitariuszem, słuchali w osłupieniu. Stupor sanitariusza osiągnął takie rozmiary, że sam wyglądał jak pacjent, nad którym ktoś winien roztoczyć opiekę. Oba przekazy werbalne zupełnie się między sobą różniły; nagranie z pierwszego magnetofonu (choć numeracja była tu umowna) okazało się bełkotem; Korneliusz W. rozpoznawał głos Zorża i to jego charakterystyczne „r”; rozszyfrować się tego nijak nie dało. Natomiast na drugi magnetofon nagrał się ni mniej ni więcej, jeno chór pensjonariuszy Sanatorium Pod Klepsydrą — śpiewali starą dysydencką pieśń, zakazaną oficjalnym edyktem.

— „Zycie, życie jest nowelą.” — niosło się po pomieszczeniu.

— Nie wiedziałem, że oni potrafią śpiewać. razem. — Sanitariusz rzeczywiście wyglądał na zdumionego.

Ale daleko bardziej zdumiewające było, że jakoby oba magnetofony sanitariusz uruchomił równocześnie, w tym samym pomieszczeniu — świetlicy, rzecz jasna. Przy nagrywaniu zaś asystował osobiście. Nie przypominał sobie żadnych śpiewów. Zorz miał natomiast wypowiadać się jasno, a nawet precyzyjnie. Niestety, sanitariusz nie pamiętał treści przekazu, cierpiał bowiem na chroniczne kłopoty z koncentracją.

— Dlatego właśnie jestem tylko sanitariuszem — rzekł ze smutkiem.

Cenzor mu uwierzył, choć nie pozostawało to w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Zdrowy rozsądek jednak od jakiegoś czasu przestał być narzędziem przydatnym do opisywania rzeczywistości. Podobnie magnetofony, jak się okazało.

Jakby te cholerne magnetofony, myślał rozgoryczony cenzor, rejestrowały alternatywne — akustycznie — światy; jakby były istnym kotem Schrödingera dźwięczności. Właściwie to dobrze, że nie było trzech magnetofonów. Albo ośmiu.

Można było — znów — próbować jakoś tłumaczyć te wszystkie niespójności. Może sanitariusz został przekupiony przez jakiegoś osobnika o makiawelicznej osobowości? A może był po prostu złośliwy i naigrywał się z cenzora? Może wreszcie postradał na moment przytomność umysłu; w tym czasie zaś pensjonariusze cudownie odzyskali w jednej chwili świadomość i na oczekaniu utkali misterną intrygę?

Przez jakiś czas cenzor posiedział jeszcze przy Zorzu, lecz ten nucił tylko cichutko pod nosem znaną powszechnie pieśń. Już wychodził, gdy Zorz nagle przemówił.

— *Epitasis.*

— Ep. — jęknął sanitariusz.

— Proszę nadal nagrywać — zadysponował cenzor. Ponieważ sanitariusz minę miał nietęgą, dodał:

— Ojczyzna w niebezpieczeństwie!

— *Epitasis, epitasis, epitasis...* — powtarzał gorączkowo Korneliusz W. , nateżając jednocześnie pamięć. Wiedział, że termin coś oznacza, że nie jest mu całkiem nieznany. Ze słyszał już gdzieś, kiedyś to słowo.

Kasety dostarczył znajomemu inżynierowi dźwięków — by ten je na wszelki sposób zanalizował, oczywiście żadnych szczegółów sprawy nie ujawnił. Ciągłe stosował konwencjonalne, a zarazem racjonalne metody śledztwa, czyli badania wycinka świata podległego jakiejś deformacji (śledztwo było bezpośrednim skutkiem teje deformacji; znów myślenie w kategoriach skutek — przyczyna). Potem zabrał się za przeglądanie słowników. Pomyślał, że to musiało się w końcu sprowadzić do wertowania jakichś ksiąg.

Znalazł w *Słowniku terminów literackich*. Rzecz jasna.

„*Epitasis*” — czytał — (gr.) „moment szczególnego zawikłania się akcji dramatycznej, zawężenie konfliktów między postaciami poprzedzające perypetię. Por.

punkt kulminacyjny”.

– Punkt kulminacyjny. – mruknął.

Na razie brzmiało to neutralnie. Punkt kulminacyjny oznaczał jakieś rozwiązanie akcji. Ale jakie? W gruncie rzeczy spodziewał się czegoś więcej po wskazówce Zorza. Jakiegoś konkretnego. W chwili, w której nawiedziła go ta myśl – tak jakby los zsynchronizował zegarek z jego myślami – budynek PC aż zadrżał od przenikającego go na wskroś sygnału alarmowego.

W myślach litania, w czynach precyzja. Szybko, szybko. Wyćwiczone ruchy. Przyodziewek, ekwipunek. Schody. Funkcjonariusze w czarnych mundurach, większość to cenzorzy. Wszyscy płasają z przyzwyczajenia, wygląda to na chocholi taniec; niekonwencjonalne ruchy wszak warunkiem przetrwania. Czarne, obcisłe mundury; przedmiot marzeń ambitnych chłopców. Za mundurem panny. Litania! Skoncentrować się na litanii. Korneliusz W. strofuje się w duchu. Nie są to piękne strofy. Na dole pobierają tarcze, lekkie jak puch, wzmocnione drętwą literaturą produkowaną w podziemiach.

Na ulicy już czekały radiowozy, obłożone warstwą antykreacyjną; trudno je zliczyć. Cenzor zdołał zapytać o miejsce akcji; młody, lecz widać dobrze poinformowany kolega po fachu wręcz krzyczy, by przebić się przez tumult:

– Świetlista!

Ulica Świetlista. Cenzor w myślach dokonał obliczeń i wychodzi mu, że nie może. No, nie może! Pięknie zasymulował kontuzję kostki, co przejawiało się arytmia posuwistego kroku. Kilku funkcjonariuszy spojrzało na niego współczująco. Radiowozy odjechały; wkrótce znikły za zakrętem. Taki korowód samochodów na sygnale to jednak wspaniały widok.

Olśnienie dopadło go nagle, ztak wielką intensywnością nieoczekiwanej, może też niechcianej wiedzy, aż czuje się obezwładniony. Tak musi czuć się Bóg, tyle że bez ustanku, o ile oczywiście istnieje.

To przy ulicy Świetlistej (która wówczas nazywała się inaczej, mniej uroczyście), na przedmieściach, stał budynek czynszowy, w którym ongiś mieszkał legendarny Wsiewołod D. Tam objawić się miały światu jego genialne koncepty twórczej antykoncepcji.

Cenzorzy, nieco może sarkastycznie, nazywali to miejsce Punktem Kulminacyjnym.

Gdy coś idzie nie po myśli cenzora, na przykład śledztwo, gdy rzeczywistość staje się niezrozumiała, wówczas – jak głosi Kredo Wsiewołoda D. – winien on niejako „zatrzymać” pęd świata, by mu się przyjrzeć, jakby rzeczywistość znaczkami była albo choć motylem z kolekcji. Oczywiście, relacje są odwrotne – to cenzor jest najczęściej przyszpilonym motylem, lecz złudzenie panowania nad sytuacją, chłodnego namysłu, buduje każdego, a raczej odbudowuje. Bo bywa i tak, że nawet cenzorzy – ni z tego ni z owego – okazują się ruinami.



Kornel W. czuł się tego dnia mniej więcej jak zgliszcza, więc jął się przyglądać rzeczywistości, stosując powszechnie znane w branży techniki kontemplacyjne Wsiewołoda D. Proces subiektywnego „zwalniania” biegu rzeczy był stopniowy; najpierw dźwięki jeły dochodzić do niego jak gdyby z trudnej do precyzyjnego określenia dali; nabierały przy tym głuchego pogłosu, by wreszcie całkiem szczeznąć. Wreszcie, nie tylko dźwięki, ale i cała reszta zdała się cenzorowi odległa, jakby nieistotna, wręcz zabawna. Z dezynwolturą pokawałkował pamięć ostatnich dni niczym tort urodzinowy, by przyglądać się kolejnym „porcjom” rzeczywistości z uwagą badacza. Gdzieś na marginesie świadomości właściwej odnotował heretycką myśl, że to bodaj Schopenhauer utrzymywał, iż powstrzymać pęd świata można poprzez sztukę jeno, która ma właściwości dla rzeczywistości „usztyniające”.

Obrazem, który początkowo wszystko zdominował, była fotografia jego żony zdorysowaną smyczą. „Jakiż dysonans, jakiż de-spekt” — odzywał się w nim uczestnik otoczenia, lecz szybko wygasił te emocje; teraz był wszak obserwatorem, a nie uczestnikiem. Przekaz był, niestety, jasny. Ktoś wiedział.

Postać pisana „lewą ręką” — Kornel W. bynajmniej nie miał zginąć, przynajmniej nie w tym momencie; jego sprawności powszechnie były znane. Czym zatem był w istocie zamach? Ostrzeżeniem? Alibi? Przed kim i w celu jakim? Przed innymi cenzorami — że podlega niebezpieczeństwom w tej samej, co i oni mierze. W takim razie zamach byłby nie tyle czynnikiem destabilizującym życiorys Kornela W., ale wręcz odwrotnie — stabilizującym, sprzyjającym raczej. Ale dlaczego? Niejasności.

Punkt kulminacyjny znajdował się, z oczywistych powodów, poza jego zasięgiem. Poza zasięgiem.

Zorż i jego predykcje, które stawały się zrozumiałe zbyt późno; po fakcie. Zorż-Pytia. Kim naprawdę był Zorż?

Czy te wszystkie ścinki da się złożyć w jakieś puzzle sensu?

I znów alarm przenikający wszystko na wskroś.

Cenzor wyjrzał przez okno — radiowozy wracały. Nie wszystkie jednak. Ledwie trzy. Koniec akcji.

Zieleń i biel, szpitalne kolory, były dla cenzora barwami „flagi kapitulacji”. Patrzył na Mikołaja Z. umieszczonego w bezpiecznym kokonie bandażów i gipsu — wyglądał jak pisklę, które nigdy się nie wykluje. Jeden z nielicznych ocalałych w hekatombie przy ulicy Świetlistej. Jego opowieść była rwana i chaotyczna. Ale przede wszystkim przerażająca.

Od początku stosowali standardowe procedury — po anonimowym donosie dyskretna inwigilacja, która potwierdziła zasadność użycia cenzury istnienia. Rozpoznanie jednak okazało się niewystarczające.

— Gdy tam wkroczyliśmy. — mówił Mikołaj Z. łamiącym się głosem — . o d razu wiedzieliśmy, że coś jest nie tak. Powietrze aż falowało od nieprawdopodobieństwa.

czegoś takiego. nigdy nie widziałem.

W budynku mieściło się od dawna Muzeum Cenzury; pieczołowicie dbano o zachowanie realiów z czasów, gdy mieszkał tam Wsiewołod D. Tymczasem, zdębiali od ogarniającego ich nieprawdopodobieństwa cenzorzy ujrzeli daleko idące ingerencje w kształt wewnętrzny budowli, co samo w sobie było już świętokradztwem. Pierwsze co zobaczyli, to postacie kustosza muzeum i kilku pracowników — jakby zastygłych w bezruchu; wyeksponowanych jak manekiny, zresztą ich ciała wydawały się mieć konsystencję plastiku. Byli martwi co najmniej od kilku dni, proces rozkładu ciał jednak został w tajemny sposób powstrzymany.

Jeszcze dziwniejsze było, że budowla zdawała się teraz być większą niż przedtem. To znaczy na zewnątrz się nie zmieniła, ale jakby rozżyła się w środku, co mogło być subiektywnym, więc błędnym wrażeniem uczestników akcji. W każdym razie Mikołaj Z. zarzekał się, że objętość Muzeum wzrosła niepomierne. Zmienił się też rozkład korytarzy — budynek przeistoczył się w istną płataninę przejść; labirynt; jednemu z cenzorów nasunęło się porównanie zmrowiskiem, którego model obserwował w dzieciństwie w Muzeum Naturalnym (Kornelowi W. przypomniał się nagle „entomologiczny” raport Romualda K., lecz odrzucił skojarzenie jako absurdalne). Dominowało wrażenie mroczności — nawet, jeśli akurat przez okno wpadało światło, to wydawało się jakby przefiltrowane przez mrok — choć niby wszystko było w normie — i szkło okienne, i poziom jasności. Mikołaj Z. nie potrafił wytłumaczyć tego optycznego fenomenu. W ogóle jego opis wydarzeń był niezborny; często szukał słów adekwatnych do wydarzeń i rzadko je znajdował.

Znów ukłucie niepokoju — tym razem zareagował tak cenzor na uwagę o tej dominującej mroczności. Miał wrażenie, że mrok towarzyszy mu od jakiegoś czasu — jak tło obrazu; wyciszone, ale zarazem konieczne — trudno wyobrazić sobie obraz bez tła.

— Czułem się obco. — kontynuował ranny. — Jak nigdy przedtem. A przecież mój współczynnik normy jest w normie. — Chyba nie dostrzegł tej jawnej tautologii. — Jestem elementem świetnie poukładanej struktury. — prawie płakał. — Ale tam. tam wszystko było. inaczej. Na odwrót.

Kornel W. rozumiał jego rozpacz, do pewnego stopnia oczywiście. Sam miał niski współczynnik normy; ale w jego profesji bywało to akceptowane. Czuł się źle w tym mieście. Czuł, że miasto go nie chce, a on nie chce miasta. Nienawidził ludzi z wzajemnością. Nie było w tym niczego patetycznego czy pretensjonalnego, nie była to poza. Była za to wściekłość i poczucie, że jest się w złym miejscu o nieodpowiedniej porze. Ze gdyby przyszedł na świat wcześniej lub później i może trochę bardziej na północny zachód, to mogło być trochę lepiej. Ale było, jak było — pech. Z drugiej strony to poczucie niespełnienia stare było jak ludzkość. Realizowane marzenia rychło stawały się koszmarami; nierealizowane — doskwierały palącą tęsknotą, ot, paradoks istnienia. Brał to wszystko z dobrodziejstwem inwentarza; złość wzmagająca skuteczność;

wszechogarniające wyobcowanie oznaczało brak przywiązania do czegokolwiek. A zatem brak sentymentów. Naraz przyszło mu do głowy, że może w tym przeobrażonym monstrualnie budynku było właśnie jego miejsce? Tymczasem Mikołaj Z. rwał nadal swą opowieść.

Pierwszy atak Postaci został szybko odparty, bez strat własnych, więc — mimo oczywistej aury nieoczywistości otoczenia — cenzorzy nabrali, zgubnego jak się miało okazać, poczucia pewności siebie. Im bardziej zagłębiali się w przepastne korytarze budynku, tym mocniej potęgowało się wrażenie, że są pochłaniani przez monstrualny organizm.

— Ten budynek żył. — szepnął Mikołaj Z.

Kornel W. wymienił znaczące spojrzenia z innymi obecnymi na sali cenzorami.

Ataki były jak przyływy — następowały jeden po drugim, w ściśle określonych odstępach czasu, można by na podstawie pe-riodyczności tych przyływów przepływ czasu regulować; pojawiły się pierwsze ofiary. Zdecydowali się wycofać dopiero na trzecim piętrze (mieszkanie Wsiewołoda D. mieściło się na piętrze szóstym; i tam spodziewano się tutejszego „jądra ciemności”). Powrót okazał się jednak znacznie trudniejszy.

Gdy ranny cenzor o tym opowiadał, zdawało się, że blednie wprost proporcjonalnie do postępującej opowieści, jakby fabuła była mu krwią, a jej upływy miały żywotne znaczenie.

Przeszkody, które objawiły się podczas ucieczki, były czymś do tej pory nigdzie niezarejestrowanym, czymś nowym, obcym, jedynym w swoim rodzaju. Ich występowania nic nie zwiastowało; żadna regularność nie zapowiadała, że pojawią się akurat „tu i teraz”. Mikołaj Z. naliczył dwa rodzaje pułapek, ale mogło ich być więcej. Po pierwsze, cenzorzy znajdujący się w sferze oddziaływania zasadzek tężeli — w sensie dosłownym — jak wcześniej personel Muzeum. Spotkało to bliskiego przyjaciela Mikołaja Z., ramię przy ramieniu uczestniczyli w niejednej akcji; ta jednak okazała się ich ostatnim wspólnym występem. Ten rodzaj zasadzek ochrzczono rychło jako „miny wieczności” — bo „uwieczniały” one ofiary; czyniły z nich pomniki; jednak była w tym niewątpliwa drwina, ponieważ wieczność dopadała swe ofiary w pozach niewystudowanych, bywało, że komicznych (semantyczna dwuznaczność terminu „mina” okazała się podwójnie adekwatna, bo pułapki przyprawiały swym ofiarom gombrowiczowskie „gęby”).

— Skamieniał. — rannemu nie było do śmiechu. — Próbowałem go pociągnąć za sobą. Poruszyć choć. Ale nie mogłem.

Inni, ni ztego, ni zowego, przeobrażali się w znanych bohaterów literackich — wygłaszali fundamentalne dla literatury frazy i przechadzali się po korytarzach, niepomini, gdzie są. Nie rejestrowali rzeczywistości, ich sytuacja była chyba gorsza od kondycji ślepców, bo ci ostatni mieli przynajmniej świadomość własnych ograniczeń.

— Najwięcej było Martinów Edenów — rzekł Mikołaj Z. Mutacją tego zagrożenia

okazała się reorganizacja cenzorów

w podmioty liryczne – recytowane wiersze były prawdopodobnie przez nich wizualizowane wewnętrznie (a może sielskie obrazki w niepojęty sposób „pompowano” im wprost do umysłu; jakby byli mamieni przez kartezjańskiego demona); oni naprawdę widzieli akermańskie stopy, czy ojczyźniane Litwy.

Wtedy dopiero Mikołaj Z., a pewnie i inni pozostali przy życiu (i zdrowych zmysłach), pojęli całą grozę sytuacji. Do tej pory Postacie stanowiły niezbyt trwałą anomalię, osobliwość w realności. Tu natomiast znaleźli się w autonomicznej przestrzeni, gdzie rządziły nie prawa fizyki, lecz literatury. Tu oni sami byli anomalią o cechach pewnej nietrwałości.

– To coś nas trawiło – powiedział dramatycznie Mikołaj Z. On sam okazał się jednym z nielicznych „niestrawnych”. Nim

jednak, poturbowany, opuścił budynek, przeżył dziwną, o ile jeszcze cokolwiek mogło go zdziwić, przygodę. Mianowicie ujrzał nadbiegającą Postać, o niezbyt imponujących parametrach, przy tym wyraźnie „niedopisaną”, naprędce skleconą – konstytutywną jej cechą było fundamentalne niedopasowanie poszczególnych elementów, jakaś wewnętrzna sprzeczność, dialektyka bez syntez. (Opis ów poruszył jakąś strunę w duszy Kornela W.; wiedział, że właśnie usłyszał coś istotnego, ale skąd brała się ta pewność – nie miał zielonego pojęcia). Mimo licznych kontuzji Mikołaj Z. bez trudu podszedł napastnika i płynnym sztychem zapieczętował go na amen. Jakież było jego zdumienie, gdy spostrzegł, że Postać nie puchnie, by następnie naturalną kolejną rzeczy kolapsować, lecz istnieje sobie w najlepszej!

– To był człowiek – powiedział z jakimś nienaturalnym spokojem. – Być może ten, którego szukamy. Autor. Sądziliśmy, że znajdziemy go w epicentrum kreacji, a on obsadził siebie sam w roli podrzędnej postaci, i w ten sposób nas zwiódł.

Napastnik wraził osłupiałemu cenzorowi nóż w bok i umknął.

Po wycofaniu tego, co pozostało z zasobów ludzkich, natychmiast zastosowano ciężki sprzęt – tarany sensu oraz naloty z powietrza pigułami prawdy. Długie zmagania zwieńczono sukcesem, ale i tak długo jeszcze nawożono skażony teren ekstraktem z grafomanii, by w okolicy – Boże broń – nie doszło do odrodzenia fikcji.

Wiadomość zastała go jeszcze w pracy: rozszyfrowano zapis magnetofonowy! Pędził na spodziewane słuchowisko z nadzieją – może jest na tej nieszczęsnej taśmie cudowne rozwiązanie wszystkich zagadek mnożących się ostatnio przez pączkowanie? Wszystkie elementy poukładają się, a lepszemu trzymającym wszystko w ryzach jakiegokolwiek bądź sensu okaże się głos Zorża z tym jego gardłowym „r”.

Inżynier dźwięku zakomunikował mu, że rozszyfrowanie przekazu było banalnie proste, a trwało tyle, bo spodziewano się zadania skomplikowanego; i zastosowano najnowocześniejsze metody oczyszczania dźwięku. Tymczasem okazało się, że Zorż wypowiada sensowne zdania, tyle że na odwrót, czyli do przodu tyłem – stąd wrażenie bełkotu.

Cenzor zamknął się w pomieszczeniu nazywanym przez dźwiękowców przewrotnie ciemnią dźwięków, by tam usłyszeć kwintesencję wszelkich znaczeń; by go oświeciło słowo, by się nawrócić na żorżyzm, jeśli taka zajdzie potrzeba.

Zorż powtarzał jedno zdanie: „Narratorem jest Winisław P. Narratorem jest Winisław P. Narratorem jest...”. Wyglądało na to, że ciągnie się tak w nieskończoność, a cenzor mimo wszystko nie był bogiem, nie mógł sobie pozwolić na taką stratę czasu.

— Winisław P. — mruknął cenzor. — Ale dlaczego narrator, a nie autor. I to jaki autor.

Iluminacji ciągle nie było. Ale kulminacja zbliżała się nieuchronnie, cenzor, przecież wytrawny znawca dobrych opowieści, przeczuwał to nieomylnie.

Winisław P. mieszkał skromnie, jak przystało na młodszego referenta WIP. Cenzor minął wejście do piwnicy, nad którym wisiało ostrzeżenie o trutce używanej tu, jak wszędzie, przeciw szczerom. Na schodach ktoś rozlał ciecz, która mogła być wszystkim (światło, rzecz jasna, nie działało i cenzor nie rozpoznawał barw). Przy wysiłku wyobraźni plamy układały się w znajome kształty — ta właściwość, wyłącznie ta, upodabniała je trochę do obłoków na niebie. I przypominała cenzorowi cechę człeczego rozumu — poszukiwanie we wszystkim regularności, choćby w całkowitej niezborności, przypadkowości; doszukiwanie się wszędy sensu, jakby to on był zasadą regulującą przyrodę i wszystko inne.

W zastałym powietrzu wznosił się ponad wszystkim innym fetor, udzielny władca okolicy, który był złączeniem zapachów różnej maści — od przypalanych obiadów po fekalia wyprowadzanych wprawdzie regularnie, ale i tak za późno zwierzątek.

— Ojczyzna, dom, rodzina — mruknął szyderczo cenzor, ale nawet jego głos nie brzmiał tu lepiej od szumu wiatru w rynnie czy bulgotu cieczy w kanale ściekowym; tak, akustyka drwiła sobie zcenzora.

Kiedy stanął przed drzwiami mieszkania Winisława P., sądził, że jest przygotowany na wszystko. W cholewie pieczętka, za pazuchą nóż — nic i nikt, bez względu na ontologiczny status, mu się nie wywinie. Ale bardziej od sprawiedliwości łaknął wiedzy. Zrozumienia.

— Niech pan tam nie wchodzi — kobiecy głos powstrzymał cenzora w ostatniej chwili; problemat metodologiczny — raczej zapukać czy drzwi wyważyć — zdążył rozstrzygnąć na rzecz drugiej opcji. Przez uchylone drzwi obok sączyło się światło. Ujrzał również nalaną twarz właścicielki głosu. — Tam straszy.

Zignorował ją.

Napał na drzwi ramieniem, te ustąpiły z jakąś niespodziewaną lekkością, jak na drzwi była to wręcz zwiewność. Jakby wcale ich nie było. Jakby zapraszały.

Winisław P. czekał. Poza tym czytał książkę.

— „Przeze mnie droga w miasto utrapienia» — recytował. — «Przeze mnie droga w

wiekuiste męki». Ble, ble, ble... «Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją”<sup>1</sup>.

– Wątpa aluzja – rzekł cenzor.

– Trafna. Nie wyważa się otwartych drzwi. Ani uchylonych bram. Witaj w Piekło.

Milczeli, wpatrując się w siebie. Winisław P. odłożył księgę. Wyglądał na zmęczonego, a raczej na śmiertelnie znużonego.

– Kim jesteś? Kim naprawdę jesteś? – zapytał Kornel W.

– Uspokoję cię. Nie mam praw autorskich do tej rzeczywistości. Jestem tylko narratorem.

– Narratorem?

– I jestem zmęczony. – Winisław P. zapalił papierosa. – Szczerze mówiąc, mam dość. Nie panuję już nad tym. Ale to naturalna kolej rzeczy.

– Naturalna kolej rzeczy?

– Nie sądzisz chyba, że jestem pierwszym narratorem?

– Kim jest narrator? – przerzucali się pytaniami.

– Narrator... dobry narrator... rozumie postaci. Nie ocenia ich, lecz opisuje. Z definicji wiadomo, że jest nadawcą wypowiedzi, w której rodzi się i kształtuje świat przedstawiony utworu.

– Narrator to postać fikcyjna. – rzekł cenzor. – To konstrukt autora.

– Wiesz o tym. – szepnął Winisław P. – Albo przynajmniej to przeczuwasz. Borges pisał, że jest coś niepokojącego w don Kichocie, który czyta książkę o sobie samym. Albo w Hamlecie, który w trakcie opowieści ogląda sztukę o sobie. Dlaczego tak nas to niepokoi? Może dlatego, że istniejemy w niewiele większym stopniu niż te nieszczęsne Postacie.

– Jesteś szaleńcem – stwierdził cenzor.

– Nie oceniaj. Spróbuj zrozumieć. Przez ten pokój codziennie galopują jeźdźcy Apokalipsy. Sąsiedzi są lekko zniecierpliwieni. Niektórzy trochę się boją.

Rzeczywiście, była w nim sprzeczność – Kornel W. widział to teraz wyraźnie: rozpacz kolidowała z szyderstwem, zmęczenie z nagłymi przybojami energii. W rogu pokoju coś jęło się formować. „Coś” to dobre określenie; takiej kwintesencji bezkształtu cenzor jeszcze nie widział. Kłęby bezmaterialnej materii wiły się jakby w paroksyzmach bólu. Mógł to być ból narodzin.

– A gdybyś ty mógł codziennie przyjrzeć się swej duszy. – szeptał młodszy referent – poprzyglądać się jej bebeciom. Kuszące? Znów się formują. Kończmy z tym!

– Kim jest narrator?

– Kim jest narrator, kim jest narrator! – zirytował się Winisław P. – Tym, kim być musi. Istotą przeklętą i uprzywilejowaną. Dialektyczna sprzeczność. Narrator musi być zarazem twórczy i destrukcyjny – taka jest natura tego świata. Może każdego

ze światów. „Ja jestem tą Siłą” \_\_\_ i tak dalej. On zrozumiał to

---

<sup>1</sup> Dante, *Boska Komedia. Piekło*, Warszawa 1975, przekład Edwarda Porębowicza.

pierwszy.

— On. Kto? — wzrok cenzora powędrował za spojrzeniem Winisława P. I teraz obaj spoglądali na portret. — Nie. To. nieprawda.

Portret Wsiewołoda D.

Nóż oczyścił po drodze. Do domu. Wciąż miał w pamięci uśmiech umierającego Winisława P. Jak można się uśmiechać w chwili śmierci? No, jak tak można? Jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie ma światła”. Jakby oczekiwał spełnienia tych konwencjonalnych oczekiwań ludu — tuneli, światłości. Tymczasem cenzorzy powinni umierać w mroku i zapomnieniu. Przede wszystkim w mroku. Mrok.

Mrok.

Roześmiał się. Po raz pierwszy wiedział, co ma robić, miał jakiś plan.

— Sztafeta pokoleń, psia ich mać!

Co za słownictwo, ocenzurował się w myślach.

Wsiewołod D. pierwszy zadbał o równowagę. Tacy jak on zdarzali się rzadko, raz na kilka dziesiątków lat. Wybrani. Przez kogo? Łączyli w sobie potencjał ujemny z dodatnim — zdolności kreacji i niszczenia Postaci. Kornel W. był jakoby jednym z takich ludzi. Jednym na miliard. No, w każdym razie jednym na trzydzieści osiem milionów. Narratorem.

Winisław P. odgadł to szybko. Obserwował cenzora; wiedział o wszystkim. O wszystkim. Na swój sposób nim manipulował. Hodował mnie, pomyślał Kornel W., troskliwie hodował.

Nie wiedział tylko o jednym — nie wiedział nic o Zorzu, o jego zdolnościach przewidywania zdarzeń. Nie wiedział z całą pewnością, bo zapytany o to w minucie, a właściwie sekundzie śmierci, wyraził gasnącym wzrokiem zdziwienie. To się cenzorowi nie zgadzało; o jedną niewiadomą za wiele w równaniu jego życia.

Zona cenzora — rzecz jasna — nie spała, ale nie była to jej wina.

Przywitała go z kapturami w dłoniach, tą samą co zawsze banalną formułką. Ale i za to nie mógł jej winić.

Była piękna jak dzieło sztuki i tyleż miała w sobie życia. Choć odpowiedzialność za taki stan rzeczy nie była po jej stronie.

Gdy przytknął pieczętkę do jej czoła, zdawało mu się, że coś czuje. Tkliwość?

Lecz kiedy kolapsowała i w nim wszelkie uczucia zapadły się gdzieś bardzo głęboko.

Stopniowo zatarł większość śladów — pielęgniarza aresztowano za współudział w akcji Kreacji; wkrótce zresztą został pensjonariuszem w byłym miejscu pracy.

Nigdy więcej nie odwiedził Zorza, choć co jakiś czas troskliwie dowiadywał się o jego zdrowie — jakby miało ono znaczenie dla ciągłości świata.

I jeszcze jedno. Kiedy po raz ostatni, tuż po akcji zatrzymania pielęgniarza, opuszczał mury Sanatorium Pod Klepsydrą, znów przystanął przed drzwiami Śmiertelni. Powróciło poczucie *deja vu*, myśl prześladowcza, że już tam kiedyś był.

Wiedział, że to niemożliwe.  
Stamtąd przecież się nie wraca.



## Ósmy dzień

*W tym kraju nieprędko będzie dobrze.  
Wszyscy czekaliśmy na dzień, który  
jeszcze nie nadszedł. I nie nadejdzie  
prędko. Jest poza tygodniem, poza  
miesiącem i rokiem. Trzeba czekać.  
A najważniejsze: trzeba żyć mądrze,  
o wiele mądrzej niż się żyło dotychczas.  
Nie dać się oszukać, walczyć, bronić się  
przed świństwem.  
M. Hłasko, Ósmy dzień tygodnia*

**W roku 2136 misja statku kosmicznego Mayflower 1 zakończyła się pełnym sukcesem: założono pierwszą w historii ludzkości kolonię pozaziemską, którą nazwano - oczywiście - Nową Ziemią. Podobnych misji miało być więcej; pierwszym kolonistom jednak nigdy nie udało się ustalić, czy kiedykolwiek do nich doszło. Z powodu znacznych odległości jakkolwiek komunikacja z Ziemią była niemożliwa. Dzień lądowania na Nowej Ziemi ustanowiono Dniem Przybycia i miał on odtąd funkcjonować w kalendarzach jako ósmy dzień tygodnia. Jak wiadomo, doba na Nowej Ziemi trwa około 2112 minut, czyli nieco ponad 35 standardowych godzin. Postanowiono jednak, że doba nowoziemska trwać będzie 24 godziny, co oznaczało, że każda godzina to mniej więcej 88 standardowych minut.**

*Historia Nowej Ziemi w zarysie, wyjątek ze wstępu do drugiego wydania autorstwa J. P. Asha*

+

Pułkownik John Stith pokonywał długi korytarz, rozjaśniany — w ramach energetycznych oszczędności — stopniowo i wprost proporcjonalnie do pokonywanej przez człowieka przestrzeni. Stith czuł, jakby dyskretne światło deptało mu po piętach. Z pewnej perspektywy musiał wyglądać jak jądro pęcherza światłości pełgającego przez czarne korytarze.

— Kontrola głosu — zatrzymał go w pół kroku głos dochodzący zewsząd, czyli znikąd.

Pułkownik zachnął się — to już czwarta kontrola, odkąd zjawił się — na pilne wezwanie — w masywnym budynku służącym za siedzibę Siłom Bezpieczeństwa

Plymouth. Jakby delikwent mógł się zmienić między kolejnymi kontrolami w innego człowieka. Z irytacją intonował onomatopeje, które kontroler mógłby uznać za wulgarne, gdyby dysponował akurat świadomością.

— Dziękuję. — Nie dysponował.

Stith mógł przemieszczać się dalej. Do tej pory nie spotkał żadnego człowieka. Nic. Tylko puste korytarze.

Myślał o tym, co mogło skłonić bezpiekę do gwałtownego ściągania go z prowincji? Do czego mógł im być potrzebny emerytowany pułkownik SP? Chyba się domyślał. Zaklął pod nosem. Kiedyś zajmował się seryjnymi mordercami. Nie było ich wielu — bezstresowa architektura kolonii robiła swoje, tak przynajmniej utrzymywali psycholodzy społeczni. Stith im nie ufał — morderców mało, bo ludzi niewielu. Statystyka. W każdym razie, pułkownik uchodził za fachowca. Nieco na wyrost, co tu dużo gadać.

Wyrosła przed nim sylwetka człowieka, tak nagle, jakby wyodrębniła się z cienia. Delikatny blask oszczędnie sączący się ze ścian nie postępował za tą postacią — widać posiadała inny status niż pułkownik. Decydowała o intensywności światła. Miała tu wolną wolę.

— Pułkownik Stith, jak mniemam? — w jego (bo okazał się mężczyzną) głosie nie było niepewności. Nie mniemał.

Wysoki mężczyzna, chorobliwie blady, jakby jego skóra obcowała wyłącznie z tutejszym oszczędnym blaskiem. Miał na sobie wdzianko z futer pustynnych królików, co świadczyło o jego zamożności. Albo też o sporym draństwie właściciela. Choć to się właściwie nie wykluczało. Stith go nie znał, a wydawało mu się, że zna wszystkich w branży.

— Jesteśmy niemal w komplecie. Nazywam się Janidis. Ale może pan do mnie mówić po imieniu.

Nie podał go jednak. Pułkownik docenił dowcip.

— Kiedy usłyszę jakieś wyjaśnienia? — zapytał.

— Za chwilę, pułkowniku. Proszę za mną.

Pęczek światła nieco się rozszerzył, by objąć ich obu. Po jakimś czasie ściana po lewej stronie korytarza zdeintegrowała się w dramatycznym geście. Znaleźli się w dość obszernym, jak na standardy Służby Bezpieczeństwa, pomieszczeniu. Półmrok tu panujący należał do łagodnych, wyteżając wzrok, można było odróżnić szczegóły. Przy centralnie położonym stole w kształcie półksiężyca zasiadało pięciu mężczyzn, z tego grona Stith znał dwóch. Na widok naczelnego dowódcy Sił Porządkowych, generała Mladko Radaka, prawie że wyprężył się odruchowo w postawie zasadniczej. Tymczasem ściana za jego plecami niechętnie, jakby z ociąganiem zmartwychwstała i odcięła zgromadzonych od świata.

W sumie było ich siedmiu. Szczęśliwa liczba. Ale jedno zmiejsc stało puste.

— Witaj, George. Jest i pan pułkownik. Siadajcie, panowie. Zaczynamy — odezwał

się Radak ciężkim głosem. W ogóle wszystko było w nim ciężkie i masywne, jakby grawitacja planety uwzięła się akurat na niego. Stith obserwował go bez przyjemności — była to jedna z tych twarzy, o których miał nadzieję zapomnieć na zasłużonej emeryturze. — Inspektorze Marinelli, proszę o krótkie podsumowanie.

Pułkownik zajął miejsce między dwoma nieznanymi. Trzecim był bardzo młody i bardzo zadbany mężczyzna. Każdy szczegół jego twarzy wydawał się w jakiś osobliwy sposób miękki. Ale skomponowana z miękkich szczegółów całość wyglądała Stithowi na dziwnie twardą.

„Makaron” Marinelli podniósł się sprężysto. Gdyby Stith go nie znał, pomyślałby, że wydatkuje energię życiową z niepotrzebną rozrzutnością. Przez lewy policzek „Makarona” biegła nieregularna blizna odcinająca się zdecydowanym *votum separatum* od śniadej skóry. Pamiątka po spotkaniu z Billem „Scyzorykiem” Snac-kiem, który potem znikł nigdy już się nie spotkał.

— Chodzi o morderstwo, panowie — zaczął Marinelli.

— Jedno morderstwo? — Stith zaakcentował liczebnik.

— Będzie więcej, Stith — Marinelli zmiażdżył nazwisko pułkownika zniesmakiem i Stith przypomniał sobie, że tak właściwie to się nie lubili. — Mord został dokonany blisko siedem godzin temu.

Szybko działają, przemknęło przez myśl pułkownikowi.

— .ofiara jest niejaki Plasko Goluza, eks-Dziwka.

— Sprowadzacie mnie z drugiego końca świata z powodu jakiejś Dziwki? — zapytał lodowato człowiek siedzący na lewo od

Stitha.

— Sprawa jest. niezwykła — wtrącił Janidis, pełniący chyba (taka była hipoteza Stitha) funkcję sekretarza Radaka.

— Tak — potwierdził Marinelli — niezwykła.

Wykonał jakąś nieskomplikowaną operację na podręcznej konsolce. Nad stołem wykwitł trójwymiarowy obraz.

— Oglądacie, panowie, miejsce zbrodni. Dystrykt Zachodni. Średnio zamożna dzielnica.

Niewielkie budynki, japońskiej podobno, konstrukcji, o dachach wykładanych bateriami słonecznymi.

— Japońska architektura bezstresowa. — mruknął Stith.

Sąsiad z prawej zerknął na pułkownika z ciekawością, ale nie odezwał się.

Obraz przeskoczył nagle i znaleźli się w mrocznym pomieszczeniu.

— Dlaczego tak mało światła? — zapytał Stith.

— Spozstrzegawczy, co? — mruknął Marinelli.

— Skąd ta ironia, Makaron? Kłopoty żoną czy żołądkiem? — Stith pomyślał, że to ryzykowna teoria na temat źródeł ironii Marinellogo. W każdym razie, zakresowo dość wąska. Marinelli był rozwodnikiem.

– Byłbym wdzięczny – przerwał wymianę opinii Radak – gdybyście panowie skoncentrowali się na czymś ważnym, niekoniecznie na sobie. Dla dobra sprawy.

– Tam nie było żadnych źródeł światła. Okna pozabijane. Znaleźliśmy ledwo kilka świec. – Marinelli wrócił do monotonii wykładu.

– Propaganda przynosi rezultaty – chłodny głos z lewej. – Obywatele jednak oszczędzają energię.

– W mieszkaniu ofiary nie odnaleziono niczego podejrzanego – kontynuował inspektor. – Nic, co mogłoby wskazywać na motyw morderstwa. Ani na przestępczą działalność ofiary.

Płynęli z wolna przez mieszkanie. Wątle światła latarek przebijały się przez mrok niemal z trudem – jak zmęczony pływak przez wodę, która miała niezwykłą właściwość gęstnienia. Po podłodze walały się jakieś kartki. Pułkownik wpatrywał się w nie znamię-niem – chyba rysunki. Sąsiad po prawej również zwrócił na to uwagę, bo odezwał się:

– Chciałbym obejrzeć te rysunki. O ile to możliwe.

– Oczywiście, doktorze.

Doktorze. „Lapiduch?” , zastanawiał się Stith. Głos ciepły, nieśmiały. Wzbudzający zaufanie pacjentów.

I znów wolny najazd. Najpierw ujrzeni stopy. Bose. Obraz przesunął się stopniowo w górę, jakby operator dozował napięcie, odsłaniając coraz to nowe partie nieruchomego ciała. Ofiara była naga.

Wychudzony tors. Ręce rozrzucone na boki i palce zakrzywione w przedśmiertnym gęście, jakby umierający chciał wyszarpać jeszcze trochę życia.

Głowa, przemknęło przez myśl Stithowi, rozbita głowa.

Skrzywił się na banał tej śmierci.

Wreszcie szyja. Wydawała się nienaturalnie długa, jakby ciągnęła się w nieskończoność, stopniując niechcący napięcie.

Głowa. To nie była zwyczajna śmierć. Na czole, niemal idealnie na wysokości szeroko otwartych, oczu widniał niewielki otwór o dość regularnym kształcie.

Lekki szmer na sali. Ktoś nerwowo poprawiał się w krześle, które usiłowało nadażyć z adaptacją do nieoczekiwanej zmiennej geometrii ciała siedzącego.

– Broń palna. – mruknął pułkownik.

Było to rzeczywiście niezwykle, bo posiadanie broni palnej na terenie Kolonii uznawano za zbrodnię objętą surowymi restrykcjami. Wprawdzie wachlarz kar był szeroki, ale warunki brzegowe określono jasno – od obcięcia prawej dłoni (mańkutom – lewej) po usunięcie łąba. Procedury zgodne były z doktryną nieuchronności kary – ktoś kiedyś, jeszcze na Starej Ziemi, miał naukowo stwierdzić, jakoby zawieszanie wykonania wyroku lub odwlekanie finalizacji restrykcji wpływało na zwiększenie ilości czynów przestępczych. Stith nie ufał tak jednoznacznym wyrokom nauki gdy szło o delikatną strukturę człecznych zachowań. Nie wątpił, że istniały wyniki badawcze

potwierdzające dokładnie przeciwstawne tezy, tyle że zastrzeżone klauzulą SDD – Sekret Dyktowany Dobrobytem. Rzecz jasna, nie ufałby bezgranicznie i bardziej liberalnym stwierdzeniom. Osobowość człeczka to stany nieoznaczone, a naukę uprawiają ludzie.

– Już sam sposób zadania śmierci wydaje się. niezwykajny – powiedział Marinelli. – Ale jest jeszcze to.

Obraz przesunął się nieznacznie i wtedy zobaczyli krzyże, a właściwie niewielkie krzyżyki, ułożone koncentrycznie wokół głowy ofiary. Chyba drewniane.

– Krzyże? – jęknął ktoś z obecnych.

– Osiem krzyży – uściślił Marinelli.

– To jeszcze nie wszystkie rewelacje związane z nagłą i tajemniczą śmiercią pana Plasko Goluzy – wtrącił Radak sarkastycznie. Pułkownik nie pamiętał go takim. Zawsze była w nim jakaś fundamentalna niewzruszoność, skutecznie niwecząca emocje. A sarkazm to mimo wszystko przejaw szczególnego poczucia humoru.

Wizualizacja miejsca zbrodni wsiąkała w półmrok.

– Morderca zostawił nam. upominek. – A jednak poczucie humoru Radaka podlegało powszechnie uznawanym prawom. Prawu grawitacji na przykład. – Dysk z nagraniem głosu. Przypuszczamy, że głosu mordercy.

– No, to jesteśmy w domu! – ucieszył się „doktor”.

– Daleka droga do domu – sparafrazował znaną pieśń Mari-nelli.

– Nie rozumiem. Przecież System ewidencjonuje w pamięci głosy wszystkich żyjących obywateli Kolonii.

– Około pięciu milionów ludzi werbalnie skatalogowanych. Oczywiście można głos elektronicznie zanieczyścić, ale w tym wypadku nic podobnego nie zaszło. A jednak tego głosu nie udało się zidentyfikować.

– To by znaczyło. – Stith urwał. Wszyscy wiedzieli, co to może oznaczać.

– Powstrzymaj się z wnioskami, pułkowniku. Najpierw wysłuchajmy nagrania – powiedział Radak.

Słuchali w skupieniu, jakby to słuch miał okazać się radarem motywów obcego, jakby intonacja jego głosu układała się w czytelne wzory intencji. Cichy, spokojny głos.

– Zaczęło się ponad czterysta lat temu. Grupa szaleńców popierana przez wpływowe grupy nacisku zorganizowała i wykonała niezwykle przedsięwzięcie. Określenie „szaleńcy” jest, rzecz jasna relatywne, z ich punktu widzenia bowiem to świat raczej był dość szalonym miejscem. Świat lokalnych wprawdzie, ale konfliktów. To zresztą eufemizm, za którym kryją się nagrobki i nekrologi. Świat chaotycznych wahań, społecznej entropii, karuzeli rozmaitych „-izmów”. Świat stojący nad przepaścią.

Zapis urwał się nagle.

– To wszystko? – zapytał sąsiad z lewej.

– Wszystko – potwierdził Marinelli.

— Dość banalne — mruknął „doktor”. — Szaleństwa Starej Ziemi są powszechnie znane; jakby czytał z kart podręczników historii. Po co?

— Może ztego powodu, że dla niego to nie jest żadna historia — rzekł powoli Stith.

— To chyba rzeczywiście seria. Będzie przekazywał swoje przesłanie przy okazji kolejnych zabójstw. Chyba mu zależy na dobitności.

— Taaa. — westchnął ciężko Radak. — Legenda jest żywa.

— Pielgrzym — szepnął Janidis i jakby skurczył się w sobie. „Miękki” spojrzął na niego z niesmakiem.

Milczeli; każdy zmagął się z myślami. Legendarni Ojcowie--Pielgrzymi, czyli załoganci Mayflowera 1, nie powinni pozostawać pośród żywych od kilku już stuleci. Ich potomkowie należeli teraz do elity Kolonii. Większość mieszkańców Nowej Ziemi pochodziła z puli genetycznej przewiezionej w komorach prze-trwałnikowych. Nie mieli przeszłości, a także — i przyszłości. Niektórzy potrafili wprawdzie przebijać się przez mozolnie wznoszone bariery społeczne, ci odznaczyli się zdolnościami przystosowawczymi. Nie oznaczało to, że byli ludźmi wybitnymi; byli natomiast z całą pewnością ludźmi plastycznymi. Stith należał do społeczności tzw. zarodników; określenie miało, rzecz jasna, pejoratywny wydźwięk, a może i nawet pogardliwy. Jego rodzice byli potomkami osobników, którzy zostali powołani do życia na mocy programu Siewca — pochodzili w prostej linii z kriogenicznych pojemników. Była w tym wszystkim jakaś gorzka ironia — ci, którzy wyrwali się z piekła starych stosunków społecznych, stworzyli nowe — gorsze jeszcze, oparte na ostrej stratyfikacji.

Pośród społeczności Kolonii krążyła od stuleci legenda, jakoby kilku Ojców-Pielgrzymów, anabiotycznie uspiomych, wciąż żyje i co jakiś czas budzi się z wiekowego letargu, by — *incognito* — doglądać rozwoju Kolonii. Stith, urodzony sceptyk, nie wierzył w ich istnienie. Teraz też podejrzewał mistyfikację. Tylko kto i po co? — pytał siebie.

— Czy. Dobroczyńcy wiedzą? — przerwał milczenie „doktor”.

— Nasze problemy nie są ich problemami — odparł wymijająco

Radak.

„Miękki” nie odezwał się do tej pory. Stith przyglądał mu się uporczywie, aż ich spojrzenia splotły się. Tak. Ta jego miękkość nie miała wiele wspólnego ze słabością. Była to raczej zwodnicza miękkość moczarów wciągających bezlitośnie swe ofiary.

*Odkąd pamiętał, Leonardo zawsze się bał. Był to lęk nieokreślony i codzienny, a jednak Leonardo nie potrafił przywyknąć. Próbował myśleć o lęku jak o towarzyszu podróży. Wiecznej podróży. No, może i nie wiecznej, ale i tak długiej. Nawet jeśli żyjesz tylko trzydzieści trzy lata, to jednak jest to całe życie.*

*Czasem myślał, że jest chory. Dusza chorowała, stąd ta nieokreśloność, ten brak umiejscowienia bólu, strach znikąd. Starzy rybacy gadali, że nie ma duszy, że tylko rozum dzieli człeka od ryb. Ale Leonardo wiedział swoje. Rozum tak nie boli.*

Szedł w stronę plaży, dźwigając maszt łodzi. Miał kłopoty — znów nie mógł znaleźć środka ciężkości i maszt rozkołysał się niebezpiecznie.

Leonardo był bardzo wysoki, ale garbił się, jakby prócz masztu dźwigał coś jeszcze. Inni jego rówieśnicy poruszali się sprężysto, a on szedł powoli, ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach jak owad w bursztynie. Raz w życiu widział bursztyn — niezwykle eksponat z odległego świata. Wydało mu się wtedy, że słyszy krzyk uwięzionego owada. Leonardo często słyszał głosy; nawoływania, rozmowy urywane w pół słowa, jakby niewidzialni rozmówcy nagle zrozumieli, że ktoś ich podsłuchuje.

Wschodziło słońce. Podobno pierwszych kolonistów przerażały rozmiary korony słonecznej. Leonardo przystanął, bo widok był piękny. Łagodny blask, który za chwilę spróbuje przeniknąć najgłębsze otchłanie morza. Był jak choroba Leonarda — łagodny, niemal nieśmiały początek i druzgocące intensywnością zwieńczenie. Tak, czuł, że koniec jest bliski. I właściwie cieszył się z tego.

Cisza. Była jak otulina, jak łono, którego nie trzeba opuszczać. Koloniści nienawidzili milczenia planety; powściągliwości werbalnej świata zwierzęcego, bardzo skądinąd ubogiego; Leonardo lubił ciszę. Był inny.

— Szczęśliwych łowów, Leonardo! — krzyknął wesoło stary Ju-stio, który oddawał właśnie mocz w kierunku wschodnim, z wiatrem, jasna rzecz. Justio lubił Leonarda i nie było w tym nic dziwnego, bo lubił wszystkich. No, prawie wszystkich.

Leonardo mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi. Spojrzał na toń. Jego oczy wydawały się starsze od morza.

Justio patrzył za młodzieńcem. Żaden z niego rybak, myślał, nawet masztu nie niesie porządnie. Morze nie było dla niego, ale Leonardo nie pasował nigdzie, był jak obcy element w układance świata, tego świata. Starzec w jakiś sposób wyczuwał to, i współczuł. Nie odradzał młodemu tych wypraw — skoro nie pasował nigdzie, to równie dobrze mógł żeglować po morzu. Mógł robić cokolwiek, a i tak nie czułby się szczęśliwy — taki już był.

Justio skrzywił się nagle z bólu — to jego dłonie, poznaczone śladami linek obciążanych okazami włóczników. Doliny blizn, jakby po miniaturowych rzekach, które wyparowały w jednej chwili. Ręce Justia były jak mapy nieistniejących krain.

Ale po chwili uśmiech wrócił na jego twarz. Wielu rybaków dziwiło się, skąd brała się w nim radość życia. Justio rechotał nieustannie, jakby zaklinał los, jakby oczekiwał, że śmiech okaże się zaraźliwy — i świat cały przyłączy się do niego. Tylko wspomnienie śmierci syna i żony sprawiały, że radość zamierała. Pamiętał, że miał wtedy dziwne przecucie, żeby nie wypływać, zostać. Ale musiał utrzymywać rodzinę przy życiu — i właśnie dlatego ją stracił. Potem już nigdy nie wypływał. Nie mógł. Jakby bał się, że jego nieobecność w osadzie sprowokuje znów jakieś nieszczęście.

Wreszcie i inni rybacy podjęli codzienną wędrówkę w stronę morza. Niezmiennie od dwustu lat, jak ich przodkowie. Byli niczym rzeka kierowana obiektywną koniecznością koryta.

Leonardo zawsze wypływał pierwszy i wracał ostatni — kiepsko znosił towarzystwo. Dotarł do łodzi i rzucił na pokład zwoje linek, harpun i osęk. Potem przymocował maszt.

*Niebo było czyste; od strony morza wiała lekka bryza, przyprawiając wodę o zmarszczki.*

*Przerwał na moment robotę, by się rozejrzeć. Inni wyptywali w morze, by łowić ryby — z tego w końcu żyli. Ale nie on; Leonardo nie musiał zarabiać na chleb; egzystencję zapewniało mu Państwo. Za zasługi. Był przecież Dziwką.*

*Nie, Leonardo szukał na morzu czegoś innego.*

++

Właściwie nie uważał się tak do końca za mordercę, choć fakty mówiły co innego. Jak ktoś to ładnie ujął — nie fakty się liczą, lecz ich interpretacje. Mordował, bo musiał to zrobić. Musiał zakończyć sprawę, która miała swój początek w dość odległej przeszłości. Trzydzieści trzy lata. Właściwie, to nie był tak do końca przekonany, że czyni właściwie. Niewiele w nim było nadziei, wiary mniej jeszcze. Być może kierował się litością. Być może. Jedno nie ulegało dla niego wątpliwości — Plan legł w gruzach.

Był Strażnikiem Całości. Ostatnim. I czuł się współwinnym zbrodni.

— Kontrola głosu — mechaniczny głos automatu policyjnego. Strażnik nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia — regres kolonialnej technologii, podobnie zresztą jak erozja struktur społecznych, postępował. To była istna dewolucja — zrazu Strażnikom wydawało się, że proces jest nieunikniony, ale odwracalny. Teraz, gdy został już sam, myślał czasem, że mogli się mylić i w tej kwestii.

— Ósmy dzień tygodnia — powiedział.

Tajna procedura zaszczepiona Systemowi blisko dwieście lat temu zadziałała bez zarzutu. Został zidentyfikowany jako Miles

Johnson, zamieszkały w Dystrykcie Południowym, wdowiec od dwóch lat. Rzecz jasna, ze względów statystycznych, za każdym razem System identyfikował go inaczej. Któregoś dnia informatycy Kolonii zidentyfikują wirus, ale Strażnik potrzebował już niewiele czasu. — Dziękuję.

Gmachy śródmieścia Plymouth próbowały bić w niebo, ale nie sięgały chmur. Strażnik pomyślał, że ludzie nie potrafią uwolnić się od swego — ponurego właściwie — dziedzictwa; gdzie by się nie wybierali, wszędy towarzyszył im garb zaszłości. I może nawet był w tym jakiś sens — przecież to najgorsze, z punktu widzenia moralisty, cechy zapewniają przetrwanie gatunku. Ot, taki altruizm to cecha jak najbardziej recesywna.

Na ulicach roiły się niewielkie samochodziki o napędzie elektrycznym — chińskie Mao. Wyglądały jak ruchliwe owady, lecz ich mobilność nie miała w sobie znamion jakiegokolwiek celowości. Strażnik pamiętał wielką aferę zprzetargiem na linię produkcyjną aut, które miały być używane w Kolonii — wygrali Chińczycy, w niejasnych okolicznościach. Samochody uchodziły za ekologicznie „poprawne”, a ekonomicznie — oszczędne, ale psuły się zniewątpliwą regularnością.

Nagle wokół Strażnika zrobiło się biało. Przez chwilę zatęsknił za śniegiem, ale to



były ulotki, drukowane na jakimś prymitywnym powielaczu. Złapał jedną w locie.

OJCOWIE-PIELGRZYMI WRÓCĄ – bił w oczy tłusty nagłówek. Reszty nie czytał.

Nie minęło pięć minut, a ulicę uprzątnięto, choć sam akt czyszczenia umknął uwadze Pielgrzyma; dyskretni „wymiatacze” połknęli wywrotową „literaturę”, zdawało się, że tłum, jak żarłoczny organizm, wchłonał przez naskórek nieprawomyślną informację. „Naskórek tłumy” – spodobało mu się to określenie agentów rządowych. Tymczasem przechodnie gorliwie umykali przed ulotkami; dochodziło nawet do zabawnych sytuacji – pewien nobliwie prezentujący się pan uciekał przed pędzonym wiatrem papierzyskiem; zdawało się, że kartka wyprzedza zamiary uciekiniera. W jego oczach był wyraz jakiegoś zaszczucia – i to już nie było zabawne. Pielgrzym odwrócił wzrok.

Drugą ofiarą miała być niejaka Joan Multivitch; czekała go zatem wyprawa do Południowego Dystryktu, dwugodzinny marsz, bo nie korzystał ze środków komunikacji. Dzielnica była biedna, wszędy wałały się śmiecie i Strażnik pomyślał, że warto by umieścić na tych opakowaniach i papierzyskach jakieś wywrotowe hasła – natychmiast ulice załśniłyby czystością.

Budynki nie przypominały w niczym tzw. „bezsresowej architektury” bogatszych dzielnic; wyglądały jak wymarli przedstawiciele tutejszej fauny, których szczątki wciąż odkrywano, a kształty rekonstruowano; przestraszone monstra, obce organizmy wyrosłe w niecodziennych warunkach. To ja jestem obcy, pomyślał Strażnik. Może ten efekt nieoznaczoności, to wrażenie obcości dyktowała ciemność. A może zmysły Pielgrzyma rejestrowały rzeczywistość z dawną epistemiczną rutyną – przywykły do innych parametrów, innej ziemi pod innym niebem; i stąd owo uczucie nieustannego przekłamania?

Drzwi były otwarte – jeszcze jedno ułatwienie. Czwarte piętro. Odbezpieczył broń – zaprogramowane czynności, związki przy-czynowo-skutkowe, oplatające go jak pajęczyna niemożliwych do uniknięcia zdarzeń. Zapukał. Czekał długo. Niespodziewana nieobecność panny Multivitch mogła go zmusić do zmiany planów, ale w końcu drzwi stanęły otworem.

Jakiś czas temu mogła być naprawdę piękna; ale dłuto losu wykonało swą robotę – karykatura doskonałości stworzenia. Wyglądała jak Mona Lisa bez uśmiechu.

– Jesteś... aniołem śmierci – powiedziała drżącym głosem.

A zamierzał przedstawić się inaczej.

Litość walczyła w nim o lepsze z podziwem – intuicja podpowiadała jej trafnie, choć był w tej interpretacji jakiś metafizyczny nadmiar. „Na tej planecie wszystko przesiąkło mistyką, jak jakimś trudnym do pozbycia się smrodem”, pomyślał. Zamknął za sobą drzwi. Patrzyła na niego z jakąś drażniącą bezradnością. Może nawet wołałby, żeby walczyła, opierała się. Była w niej owa mądrość daremności – świadomość nieuniknionego. Pielgrzym widział kiedyś, jeszcze na Starej Ziemi, dzieci z hospicjum dla nieuleczalnie chorych – w ich oczach był ten sam wyraz.

— Przepraszam — rzekł, nim pociągnął za spust.

Nie przeproszał za śmierć. Raczej za życie.

Tym razem siedem krzyży. Nie bardzo wierzył w tę religijną hucpę, ale może choć jego przeciwnicy uwierzą.

Potem zasiadł w fotelu, który nie chciał przystosować się do sylwety ciała Strażnika Całości. Pomyślał, że jego ukryta sadyba sprzed wieków jest prawdopodobnie najlepiej wyposażonym miejscem na Nowej Ziemi.

Próbował nie patrzeć na spoczywające opodal zwłoki, ale wzrok wciąż kierował się w ich stronę, jakby bez udziału woli.

Cisza mieszkania przytłaczała go, więc zaraz podjął nagrywanie przestania.

*Leonardo wioślował uparcie, lecz niezbyt rytmicznie. Zapach łądu powoli, jakby z ociąganiem, pozostawał za nim. Przyjmował to z ulgą. Zapach łądu to zapach dzieciństwa; gnijących ryb. Morze pachniało życiem.*

*Leonardo był znajdą — rzadki wypadek na Nowej Ziemi, zarządzanej policyjnie, ze ściśle ewidencjonowaną liczbą ludności, odgórnie określonym losem jednostek składających się na społeczność. To Państwo określa obywatela; obywatel zaś swym istnieniem konstytuuje Państwo.*

*Leonarda adoptował pewien stary rybak, który — sam sobie się dziwiąc — odnalazł w sobie skłonności opiekuńcze. Może nawet Leonardo bardziej potrzebny był starcowi niż odwrotnie?*

*Dobrze pamiętał dzień, kiedy w ich chacie zjawił się Naganiacz. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza: mały Leonardo został wytypowany na Dziwkę. Zadziałał niezrozumiały mechanizm stochastyczny lub biurokratyczny — tego nikt do końca nie wiedział, zresztą, jakie to miało znaczenie? Jego przybrany ojciec, twardy rybak od trzech pokoleń, przeżył to zdarzenie dość mocno. Niespodziewanie mocno. Trzy lata później umarł.*

*Leonardo nie tracił swego arytmicznego rytmu. Chciał popłynąć jak najdalej w głąb morza; zostawić za sobą łodzie rybackie i nie tylko. Inni trzymali się raczej brzegu, na wypadek niespodzianek pogodowych. Choć żyli na Nowej Ziemi od trzystu lat, wciąż nie potrafili wyczuwać zmian aury. Może byli tu za krótko. Może byli tu obcy...*

+++

Stith rozglądał się wokół z wystudiowaną obojętnością, która była, rzecz jasna, maską. Sięgając po chusteczkę, zerkał na „doktora”, którego twarz przypominała preparat zanurzony w formalinie — była w niej jakaś aseptyczność, jego życie emocjonalne wyglądało pułkownikowi na krainę jałowo równinną. Choć mógł się mylić. Noszenie masek stawało się z wolna czynnością powszechną, sankcjonowaną obyczajową poprawnością. Stith wiedział już, że „doktor” w istocie jest doktorem — do tego specjalistą od zachowań psychopatycznych. Nazywał się Dafoe i od czterech lat był etatowym konsultantem Służb; a nie znali się wyłącznie z powodu emerytury Stitha. Przedwczesnej. Choć i tak spóźnionej.

Dafoe z uwagą wpatrywał się w rysunki odnalezione w mieszkaniu pierwszej ofiary Pielgrzyma. Bo były już trzy ofiary. Pielgrzym, jak porządny obywatel, zaczął robotę w poniedziałek, a teraz była środa. Codziennie jeden trup.

Na kartkach, w różnych częściach płaszczyzny, widniały wyłącznie rysunki twarzy, śmiertelnie z jakiegoś powodu przerażonych. Mogły to być, przy pewnej dozie przychylności ze strony odbiorcy, autoportrety Plasko Goluzy. Dafoe manipulował rysunkami, jakby układał puzzle.

Rysunków było osiem, oczywiście.

George Janidis istotnie okazał się sekretarzem generała Rada-ka. Przeszłość tego, dość przecież młodego, człowieka musiała być nieszczególna. „Ludzie teraz wcześniej dojrzewają do drań-stwa”, przemknęło przez myśl pułkownikowi. Ustalił z pomocą dawnych swych kontaktów, że Janidis zdążył już odbyć staż jako specjalista Służb w zakresie przesłuchań dysydentów. I to akurat w momencie, kiedy kurs uległ „zaostrzeniu”. Przesłuchania bywały widowiskiem odległym od estetycznych kanonów, Stith widywał efekty i wciąż próbował zapomnieć. Niektórzy przesłuchujący nazywali siebie „kolorystami”, nieco może ironicznie. „Królicza” marynarka Janidisa musiała mieć swoją niewesołą historię.

„Lodowatym” okazał się Kat Kolonii. Wykonywał trudną profesję od ponad dwudziestu lat, lecz Stith ujrzał go po raz pierwszy. O człeku tym krążyły legendy — jakoby znał wszystkie metody stosowania tortur, począwszy od czasów starożytnych. Stosował je jakoby z umiarem, zachowując się przy tym jak dobry rzemieślnik. Dostosowywał intensywność męki do parametrów psychofizycznych ofiary, tak jak dobry sprzedawca butów na pierwszy rzut oka odgaduje rozmiar stopy klienta.

Nikt nie znał jego nazwiska, może z wyjątkiem Radaka albo samego Gubernatora. Charakteryzował się przeciętnym wzrostem; szpakowaty pan o chłodnym wejrzeniu. Wypowiadał się rzadko i precyzyjnie. Precyzja — zaryzykował hipotezę Stith — była cechą konstytutywną tego człowieka.

Obecność Kata w gronie tego szczególnego konsylium wydała się pułkownikowi zagadkowa. Może chodziło o zgromadzenie w jednym miejscu grupy ludzi, którzy często miewali styczność ze śmiercią?

O ile Kat Kolonii wypowiadał się oszczędnie, o tyle ów zwodniczy „mięczak” milczał zakłęcie. Ich spojrzenia czasem się krzyżowały; pułkownik czuł wówczas przechodzące go dreszcze obrzydzenia. Karciał się za to w duchu, ale nie potrafił pozbyć się odruchu. Stith zorientował się, że w gruncie rzeczy nikt nie zna tego młodego człowieka, być może nawet Radak. Skoro Radak niewiele o nim wiedział, a musiał akceptować jego obecność, to kim on był właściwie? Kim, do cholery?!

Ostatnim, ósmym członkiem sztabu (nikt zgromadzenia sztabem nie nazywał, ale w pułkownikowi odezwały się wojskowe nawyki) okazał się aktualny szef Służb Porządkowych, czyli *alter ego* Stitha — pułkownik Feller. Wyglądał niestosownie młodo, ale musiał już przekroczyć „smugę cienia”, zważywszy na piastowaną funkcję. Stith

odbierał go jako młodszą wersję siebie samego i zrozumiał, że nie polubiłby swej młodszej wersji, gdyby doszło do niemożliwego spotkania.

Feller spóźnił się, bo wciąż odczuwał skutki niedawno przebytej szczególnej odmiany miejscowej grypy, którą nazywano grypą fanatyczką. Objawy zewnętrzne przypominały ziemską odmianę — gorączka, bóle stawów itd. Niezwykłość choroby polegała na tym, że jednocześnie stymulowała obszary ludzkiego mózgu odpowiedzialne za uczucia religijne. Objawiało się to różnie — niektórzy zarażeni stawali się gorliwymi wyznawcami znanych religii, inni siebie uznawali za bogów albo choć świętych. Wizje towarzyszące dolegliwościom były podobno ekstatyczne i kiedy objawy ustępowały, chorzy z trudem dostosowywali się do rzeczywistości; reakcją uboczną były długotrwałe depresje. Istniała hipoteza, że wirus fanatyczki w istocie pochodzi z Ziemi, a w nowych warunkach prawdopodobnie zmutował, nabierając nowych, jakże nieoczekiwanych właściwości.

— I cóż pan sądzi o tych rysunkach, doktorze? — Stith zagadnął siedzącego obok Dafoe.

— Bardzo interesujące.

— Strach w różnych odmianach i stężeniach.

— Strach i cierpienie, pułkowniku. Strach i cierpienie na osiem różnych sposobów.

— Pan też dostrzega tę zbieżność?

— Ma pan na myśli zmniejszającą się liczbę krzyżyków przy głowach ofiar? — Doktor potarł zaczerwienione oczy. — Od ośmiu w dół. Tak. Będzie osiem ofiar, ostatnia w Dniu Przybycia. Jest osiem rysunków. Nas jest ośmiu.

— Magia liczb?

— Zapewne. Ale z drugiej strony... — Dafoe zawahał się. — Czy jest pan człowiekiem wierzącym, pułkowniku?

— Na tej planecie to łatwe. Ale nie, nigdy nie zapadłem na fanatyczkę, jak nasz przyjaciel. — Obaj spojrzeli na pułkownika Felle-ra, który szeptem odmawiał różaniec. — Dlaczego pan pyta?

— Sam nie wiem. Ale czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że w chrześcijańskim myśleniu symbolicznym liczba osiem oznacza „ósmą dzień stworzenia”, czyli nowe stworzenie człowieka? Ze jest ona symbolem powtórnego zmartwychwstania Chrystusa i zarazem nadziei na zmartwychwstanie ludzkości?

— Chyba pan w to nie wierzy?

— Mam już tyle lat, że nauczyłem się jednej rzeczy: w nic nie wierzyć i nikomu nie ufać. Z pewnymi wyjątkami, rzecz jasna. Bo władza z definicji ma rację. A Dobroczyńcy, jak sama nazwa wskazuje, czynią dobro. To wszystko. Poza tym nie ma już nic, pułkowniku. Nic. — Po chwili milczenia dodał jednak. — Ale.

— Słabo pana znam, doktorze, wydaje mi się jednak, że u pana zawsze jest jakieś „ale”.

— Rzeczywiście — Dafoe uśmiechnął się oszczędnie, jakby radość była czymś

podległym reglamentacjom, czymś, co można zaoszczędzić na lepsze czasy. — Ale kiedy nasi przodkowie powołali do istnienia Dzień Przybycia, ów „ósmy dzień tygodnia”, to jakbyśmy sami prowokowali pewne. siły do odpowiednich działań, nie sądzi pan?

— Ma pan na myśli... fanatycznie wierzącego człowieka — Stith zamyślił się.

— Niekoniecznie. Pytał mnie pan o rysunki, pułkowniku — Da-foe niemal szeptał.  
— Proszę spojrzeć na to.

Ułożył na blacie dzieła Płasko Goluzy. Ale zestaw nie był przypadkowy; zestawiony w ściśle określony sposób tworzyły sensowny zarys, kształt. Kształt krzyża.

— Puzzle — mruknął drwiąco Kat Kolonii.

— Raczej krzyżówka — rzucił George Janidis.

Zaśmiali się wszyscy z wyjątkiem Dafoe. Nawet „Miękki” uśmiechnął się lekko.

— Panowie. Podsumujmy fakty — zagaił Mladko Radak. — Mamy trzy ofiary zamordowane w analogiczny sposób, każda z nich była Dziwką. Czy nie jest celem tego. — zawahał się — psychopaty. sprowokowanie Dobroczyńców do działań. gwałtownych? Nie wiemy, na czym mogłyby polegać gwałtowne działania Dobroczyńców, ale może to jest jeden z tych nielicznych przypadków, gdy ignorancja okazuje się wartością samą w sobie?

— To nie jest psychopata — powiedział Dafoe.

— Słucham?

— Uważam, że to nie jest psychopata — powtórzył głośniejszym głosem doktor.

— Dlaczego pan tak myśli? — zainteresował się Marinelli.

— Po pierwsze: fakt, że ktoś w coś wierzy, nie sytuuje go jeszcze pośród obłąkanych. Po drugie: jego działania nie mają w sobie piętna okrucieństwa, tej bezduszności charakteryzującej zbrodnie popełniane przez psychopatów. Wręcz przeciwnie, morderca zadaje śmierć szybko i możliwie bezboleśnie, jakby wręcz litował się nad ofiarami.

— Poza tym to Pielgrzym — wtrącił sarkastycznie Stith. — A Pielgrzym w żadnym razie nie może być wariatem.

— Jakies wnioski, panowie? — Radak rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Widok musiał być przygnębiający, bo generał wyraźnie się zasępił.

Ciszę przerwał Stith ku uldze większości.

— Morderca wie, że zostanie ujęty. W tak ściśle kontrolowanej społeczności nie ma dużych szans — to jasne. Zatem jest to typ straceńca działającego dla dobra sprawy. Wyraźnie sprzyja szybkiemu ujawnieniu miejsca zbrodni: wszędzie zostawia uchylone drzwi mieszkań; dalej działa już ciekawość sąsiadów. I poczucie obywatelskiego obowiązku, oczywiście. Zależy mu głównie na przekazaniu przesłania. I nagłośnieniu.

— Właśnie: nagłośnienie — podchwycił Radak. — Absolutna dyskrecja, panowie. Musimy schwytać tego. Pielgrzyma bez hałasu.

— Mamy całe pięć dni — powiedział Dafoe.

— A co z naszym wyśmienitym jakoby Systemem? — zapytał Stith. — Z jakiego powodu Pielgrzym nie został jeszcze namierzony?

— Pracujemy nad tym — wtrącił Feller. — Zdaniem informatyków jest to jakiś wyrafinowany wirus. — przerwał, jakby próbował postawić tamę słowom; długo jednak nie wytrzymał. — .wprowadzony do Systemu Bóg wie kiedy.

— Bez niepotrzebnej metafizyki, pułkowniku — warknął Radak. — To na tym globie tani towar, wciska się drzwiami i oknami, wychodzi z butów. Szanujmy się. Co możemy zrobić, panowie?

— Patrole na ulicach — odezwał się Marinelli. — Sprawdzać każdego przechodnia nietypowo odzianego, zachowującego się dziwnie.

— Dyskretnie osłaniać Dziwki. — wtrącił Feller, jakby chcąc zatrzeć złe wrażenie. Aż się zrobił czerwony z wysiłku, zapewne znów cisnęła mu się na usta jakaś religijna fraza. Wytrzymał.

— Dyskretnie osłaniać Dziwki. — powoli powtórzył Radak. — Marinelli?

— Tak, generale?

— Ile mamy zewidencjonowanych Dziwek w Plymouth? Marinelli zerknął na ekran laptopa.

— Około trzydziestu tysięcy.

— Teraz pan rozumie, pułkowniku, na czym polega trudność?

— Tak jest, panie generale.

— Marinelli.

— Generale?

— Proszę odtworzyć dysk z trzecim fragmentem tego. hm, hm. przesłania.

Po raz trzeci było im dane wysłuchać spokojnego, miarowego głosu. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że nagrania dokonywane były w mieszkaniach ofiar. Stith wyobraził sobie, jak to morderca siada spokojnie na fotelu (obok leży trup) i przemawia do dyktafonu. Sam robił w życiu gorsze rzeczy, a jednak wstrząsnął nim dreszcz. „Może jednak psychopata” — pomyślał.

— Po głośnej aferze w Chinach, gdzie tamtejszy reżim pseudo-komunistyczny podjął dyskretną decyzję o produkcji artykułów spożywczych przyprawionych narkotykiem intensyfikującym stany depresyjne i tendencje samobójcze, oraz kilku podobnych. — mówiący zawahał się — incydentach klimat dla międzygwiazdnej, wielopokoleniowej wyprawy stał się dość sprzyjający. Oficjalna propaganda dużo mówiła o „sięgnięciu po nowe obszary życiowe”, o „wyzwaniach”, „przeznaczeniu ludzkości” i tym podobnych. Naprawdę chodziło o wstrząs, o cel dla degenerującej się ludz. — w tym momencie, nagle, morderca przerwał nagrywanie, a wszyscy członkowie sztabu usłyszeli wyraźnie jakiś dźwięk. Przypominał dzwonek do drzwi wejściowych.

— Tak, ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych ofiary — rzekł Marinelli. — Próbuje ustalić kto.

*Nagle — jak zwykle nic tego nie zapowiadało — objawiła się Choroba. Była jak morze — niosła zagładę i nowy wymiar istnienia zarazem. Przeistaczał się w anioła i jednocześnie umierał; im bardziej zdawał się sobie doskonalszy, im więcej dostrzegał, tym mocniej płonął, tym mniej go było. Czuł się jak ptak cierpiący na lęk wysokości.*

*Zmieniała się perspektywa oglądu rzeczywistości — rzeczy ważne nie miały znaczenia; zyskiwały te, na które nigdy nie zwróciłby uwagi.*

*Morze było od wieków symbolem pogrążenia się człowieka w Bogu. Bóg jest na swój sposób jak morze — niepojęty w swej złożoności, a zarazem bliski, osiągalny. Leonardo od dawna był pewien, że jeśli złowi TEGO włócznika, na którego polował od lat, to dotrze tym samym do Boga i postawi swoje warunki: szczęście i miłość dla wszystkich. Jak leci. Naiwne, ale naiwność Leonarda miała w sobie jakąś prawdę. Kto poznawał go bliżej, ten sobie to uświadamiał. Kłopot w tym, że prawie nikt nie znał blisko Leonarda.*

*Jak zwykle, preludium wizji okazał się ból, trudny, może niemożliwy do opisanego; jakby cierpienie śmierci albo narodzin — potworny, ale zarazem święty, o ile ból może być święty. Choć uświadamiał sobie ów majestat zawsze po, nigdy w trakcie męki.*

*Jakby gwiazda eksplodowała mu przed oczami. Światło, które powinno zabijać. Ale nie zabija. Światło jak wir, jak pułapka na duszę. Kiedyś próbował opowiedzieć o swoich doznaniach Justio, ale zaraz pojął — to jak mówienie głuchemu o Mozarcie. Ból. Zwinął się w kłębek na dnie łodzi. Ból. Zwykle nie odczuwał bólu. Kiedyś trzymał linkę z uwięzionym włócznikiem tak długo, że nieomal odpiłowało mu palce — i nic nie poczuł. Ale teraz, tak, teraz wiedział, że jest jądrem cierpienia, sednem bólu. Przeczekać. Przeczekać. Przeczekać. Co dziś ujrzy?*

++++

Czwartek. Dzień czwarty.

Wyległ, z wyraźnym trudem, na ulicę, o tej porze dnia zatłoczoną, gwarną, żyjącą — jakby tłum w połączeniu z infrastrukturą miasta stanowił jakiś na poły tylko biologiczny organizm. Wirus wynajmował dla niego wciąż nowe mieszkania w różnych częściach miasta i na różne nazwiska.

Rozejrzał się wokół. Zdziwiająca wciąż niewspółmierność: jednolitość i swojskość — w najgorszym tego słowa znaczeniu — architektoniczna wgryzała się w obce środowisko, nieustanna kolizja estetyczna. Tyle stuleci minęło, a dysonans wciąż był odczuwalny. Z kolei w oddali, na granicy horyzontu, wznosiły się obłe, powykręcane pod dziwnymi kątami kształty Burdeli. Nie pasowały ani do środowiska, ani do kolonialnej architektury — wybudowane? wyhodowane? — jakby wapienne, choć znacznie od wapiennych wytrzymalsze struktury.

— Dobro czyniący — zmiął w ustach jak przekleństwo.

Ruszył — miał trzy godziny czasu.

Opodal czarnoskóry mężczyzna zamiatał ulicę. Wciąż kolorowi obywatele Kolonii okazywali się tańsi i wydajniejsi od automatów.

Historia lubi się powtarzać, pomyślał Strażnik, ale zawsze powtarza to, co najgorsze.

Pamiętał te jałowe dyskusje, jeszcze ze Starej Ziemi. Już pod koniec XX stulecia dwaj naukowcy — Murray i Herrstein — udowodnili empirycznie niższy przeciętny iloraz inteligencji przedstawicieli rasy czarnej. Przyczyny takiego stanu rzeczy — kulturowe, środowiskowe czy biologiczne — miały w gruncie rzeczy drugorzędne znaczenie. Dość, że potencjał rozrodczy Murzynów okazał się odwrotnie proporcjonalny do wskaźników inteligencji. W połowie XXI wieku biali mieszkańcy stanowili mniej niż połowę populacji Stanów Zjednoczonych. Wciąż jeszcze — niewątpliwie za sprawą swoistej inercji społecznej — okupowali większość istotnych stanowisk.

Tuż przed rozpoczęciem misji Mayflowera 1 okazało się, że skład osobowy wyprawy stanowią w ogromnej większości biali; w czym nie było przypadku — zadziałał „biały lobbing”. Kolorowa większość, też przecież wewnętrznie podzielona i pokawałkowana, jęła domagać się „sprawiedliwości dziejowej”, czyli parytetów. Ruchy feministyczne były usatysfakcjonowane — kobiety stanowiły połowę składu osobowego wyprawy. Inna sprawa, że dotyczyło to wyłącznie białych feministek. Pikietom i demonstracjom nie było końca. Wreszcie doszło do wiążących i satysfakcjonujących strony konfliktu ustaleń: pośród trzystu tysięcy przetrwalnikowych zarodników, jakie miały być „aktywizowane” po dotarciu do celu, jedną piątą (czemu akurat jedną piątą? — nie mógł zrozumieć Pielgrzym) stanowić miał „czarny” genotyp. Zaraz zaczęły się demonstracje posiadaczy alternatywnej pigmentacji, a także preferencji seksualnych. Przepychanki zostały ucięte przyspieszonym rozpoczęciem misji.

Już na Nowej Ziemi — „naturalną koleją rzeczy” — biała większość doprowadziła *de facto* do nawrotu niewolnictwa. Był w tym wszystkim jakiś grymas historii.

Gwałtowny ból głowy wprawił jego ciało w dygot. Ataki stawały się coraz częstsze i coraz gorzej dawał sobie z nimi radę. Dłonie drżały, mięśnie wykonywały spastyczne, niekontrolowane ruchy. Zmącony wzrok rzeczy postrzegał tak, jakby spowijała je czerwona mgła, z wolna pozbawiająca przedmioty konturów. Nie do końca przewidziane skutki długotrwałej anabiozy. Cóż, westchnął, był niewątpliwym rekordzistą.

Kolejne zadanie miało być trudniejsze; nie chodziło o zamordowanie ofiary w jej mieszkaniu. Musiał tego dokonać w innym — ściśle określonym — miejscu.

Dzięki seansom hipnomnemicznym świetnie pamiętał twarze i wszelkie możliwe dane swych ofiar, łącznie z profilem osobowości, upodobaniami, schorzeniami.

Michael Swift, pisarz *nomen omen*. Rysy twarzy ostre, jakby wycięte w kryształ. Ale jego wejrzenie miało w sobie trudną do uchwycenia, lecz jednak łagodność. Uszy groteskowo odstające, oczy ciemne, niemal czarne; przeziera z nich lęk, nieokreślony bliżej. Pamiętał dziecięce fotografie Swifta — tam też znać strach, być może wychowawcy (rodzice wszak nieznani) myśleli sobie — lękliwe dziecko. I próbowali przewyciężyć w nim coś, co było jego istotą. Równie dobrze mogli próbować go zabić.

Swift przypominał kogoś Strażnikowi i nawet wiedział — kogo. Czytał kiedyś stare



wydanie *Listów do Mileny* Franza Kafki; na obwolucie widniała fotografia autora – podobieństwo było uderzające.

Był Dziwką przez osiem lat. Niby niedługo, ale wystarczyło. Ludzie różnią się między sobą – przede wszystkim odpornością, giętkością, skalą przystosowania. Swift nie był przesadnie odporny; okazał się typem twardym i łamliwym. Prędeziej by się skruszył, niż dał wpasować w formę jakiegokolwiek nietypowej sytuacji. Niby przetrwał, ale nie czuł się ze sobą dobrze. Został pisarzem, też jakby wbrew sobie, traktował to terapeutycznie, nie należał do wąskiego grona artystów natchnionych, dotkniętych przez Pana Boga; jeśli już był jakikolwiek kontakt z boskością, to raczej kopniak.

Nigdy nie próbował wykorzystać swych doświadczeń w twórczości – i nie chodziło wyłącznie o ingerencje cenzury. Dziwki po prostu nie lubiły wspomnień; ich receptą na istnienie było zapomnienie. Chyba nawet nie chodziło o upokorzenie; szło o coś zupełnie innego. Choć nikt dokładnie nie wiedział, o co. Nikt nie pytał. Wystarczyła sama świadomość faktu, że gdyby nie Dziwki, diabli wiedzą, co mogłoby stać się z Kolonią.

Do tej pory opublikował tylko jedną powieść, nawiasem mówiąc, wydaną dzięki finansowemu wsparciu biura Gubernatora Kolonii. Książka okazała się czarnym kryminałem, którego akcja rozgrywała się w staroziemskich realiach (zapewne takie były wymogi cenzury – kryminalna intryga w dekoracjach Nowego Wspaniałego Świata – nie, to niedopuszczalne).

Wcisnął guzik domofonu; po krótkiej chwili zniecierpliwiony głos:

– Proszę mi nie przeszkadzać.

– Jestem agentem literackim, panie Swift.

Chwila ciszy. Słysząc ciężki oddech zniekształcony jeszcze trzaskami domofonu. Wreszcie:

– Niech pan wejdzie.

Pnąc się po stromych schodach, Pielgrzym rozmyślał, w jaki sposób wywabić Swifta z tej nory i doprowadzić na nabrzeże. Większość pomysłów wydawała mu się absurdalna, ale zarazem ich niedorzeczność uspokajała go. Wczoraj ktoś zadzwonił do mieszkania trzeciej ofiary – wpadł w panikę; chciał strzelać przez wizjer. Było osiem dzwonek. Nie mniej i nie więcej. Osiem. Listonosz? Listonosz zawsze dzwoni osiem razy. Zarechotał cicho. Stare skojarzenia, konteksty wyrwane z ziemskich realiów sprawiały mu coraz większą radość.

Otwarte drzwi; wszedł bez pukania. Od razu uderzył go w nozdrza zapach starego papieru, jakby znalazł się w antykwariacie albo bibliotece. Lubił ten smród. Nie lubił czytać książek, lubił je wachać, ot, taka zmysłowa niewspółmierność w odbiorze rzeczywistości. Pokój – jedyny w mieszkaniu – zawałony był książkami; przypominało to klęskę żywiołową – powódź słów. Michael Swift, spoczywający na starej kanapie niczym jakiś eksponat muzealny, był tu bardzo *à propos*, bardzo na miejscu.

– Naprawdę jest pan agentem literackim? – spytał.

– Owszem.

— Nie wierzę.

Rozszyfrował mnie, przemknęło przez myśl Strażnikowi, ale wydało mu się to mało prawdopodobne.

— Reprezentuję pewne... hm... niszowe wydawnictwo, które...

— Proszę sobie darować te bzdury. Może rzeczywiście jest pan agentem, ale z pewnością nie literackim.

— Nie literackim. — powtórzył powoli Strażnik.

— Pan jest ich agentem.

— Ich agentem?

— Śledzą mnie, podpatrują, przekazują sobie informacje. Nawet obłoki. — urwał nagle.

— Obłoki? — zainteresował się uprzejmie Pielgrzym, po czym dodał obojętnie:

— Proszę coś na siebie narzucić. Już wieczór. Robi się chłodno.

— Wybieramy się gdzieś?

— Na krótki spacer. Spokojnie omówimy warunki naszej umowy. Pan wspominał coś o chmurach.

— O obłokach! — znieoczekiwaną irytacją sprostował Swift; równie nagle uspokoił się. — Pokazują się na niebie ze ściśle określoną częstotliwością. To jest kod. Przekaz.

Szaleniec, pomyślał Strażnik Całości.

— No i drzewa — kontynuował Swift. — Czy przysłuchiwał się pan drzewom, ich szumowi? Liście pocierające o liście...

— Kod? — zaryzykował Pielgrzym.

— One przemawiają. Szeptem.

— Szeptem.

— Czasem wydaje mi się, że ten szept jest wszędzie, czasem, że tylko w mojej głowie. Cały czas coś przekazują, na granicy słyszalności. Słyszę co drugie, trzecie słowo. jakieś strzępy, urywki rozmów. Wiem, że mówią o mnie. Ale co?! Co mówią?

„Co uczyniliśmy”, pomyślał Pielgrzym.

— Chodźmy. Opowie pan o wszystkim po drodze. Potem porozmawiamy o pańskiej najnowszej książce.

— Od czterech lat niczego nie napisałem. Już chyba nie potrafię.

— To przejściowy kryzys. Znam pisarzy, to delikatne ptaki. Pańska rozpacz na pewno jest przedwczesna. A poza tym można z niej uczynić paliwo twórcze. Pan potrzebuje tylko bodźca, zachęty. Od tego ja jestem. Chodźmy. — delikatnie popchnął Swifta w stronę drzwi.

Zeszli po schodach. Pisarz milczał, Pielgrzym zaś gadał nieustannie, zalewał Swifta potokiem gładkich słów. Czuł się w tej sytuacji coraz gorzej, ale krył się z tym dobrze.

Kilkanaście minut później byli nad morzem. Opodal wznosiły się, a właściwie warowały przy ziemi chaty rybackiej osady, klecone z drewna i wikliny, podszyte wiatrem. Pisarz wciąż milczał, Strażnik też — od jakiegoś czasu. Kiedy jednak zobaczył,

że po niebie płyną rozmyte, jakby mgliste obłoki, diabeł go podkusił, by zapytać:

– O czym teraz mówią?

– Co? — nie rozumiał Swift.

– Obłoki.

Swift spojrział na Pielgrzyma z pogardą.

– Pieprzą! Pieprzą bez sensu! — krzyknął. — Bez ładu i składu! Znów milczenie.

– Pan nie jest agentem literackim, prawda? — zapytał Swift. Był w jego głosie smutek, bardzo rozległy.

Dwadzieścia pięć lat temu przeprowadzono tajne testy na kilkorgu z nich. Badania nie przyniosły jasnych rezultatów, lecz Gilmore sformułował *ad hoc* hipotezę, jakoby niektórzy posiadli zdolność poznania nadzmysłowego, intuicyjnego. Był to czynnik nieoczekiwany, wyrastający poza ramy Planu, niezamierzony efekt. Mogła mieć na to wpływ innoplanetarna biosfera. Strażnicy nazwali zjawisko syndromem Pytii.

– Prawda — odparł Pielgrzym; byli na miejscu.

Ostra woń ryb, zupełnie inna niż zapachy, jakie zapamiętał z Ziemi; dla Swifta zapewne smród trudny był do zniesienia — chorzy mieli niezwykle wyczuloną percepcję, również zmysłową.

W oddali, niemal zlewając się z linią horyzontu, żeglowały łodzie rybackie. Byli sami.

Strażnik wiedział, że tym razem zadanie śmierci przyjdzie mu z większym trudem — z nikim dotąd nie rozmawiał tak długo, nie patrzył mu w oczy. Oczy. Był niemal pewien, że nigdy nie zapomni oczu Swifta. Nigdy.

– Pustynne króliki — powiedział nagle Swift.

Pamięć usłużnie i natychmiast podsunęła Strażnikowi Całości informacje; działało się to właściwie bez udziału woli — jego umysł był jak encyklopedia. Pustynne króliki: przedstawiciele ubogiej fauny planety, zamieszkujące wyłącznie obszary pustynne, nazwane tak, a nie inaczej z racji śladowego podobieństwa do ziemskich protoplastów. Wyposażone w zmysł empatyczny. Odkryte w roku.

– Pustynne króliki są ważne — rzekł Swift.

„Pustynne króliki? Dlaczego właśnie teraz?“, zdziwił się Pielgrzym.

Nadszedł czas. Owiał ich lekki, chłodny wiatr, jakby zapowiedź bardziej dolegliwego zimna. Krótki strzał. Oczy Swifta wpatrzone w obłoki. Może wreszcie zrozumiał?

*Choroba przeniosła go w jakieś miejsce. Zdarzało się to często, lecz nigdy nie odczuwał wizji z taką intensywną realnością. I od razu wiedział, gdzie jest. Golgota. Agresywny tłum, kwaśny zapach potu; wszystko odczuwał z większą intensywnością niż w realności. Ale co to jest realność?*

*Trzy krzyże na wzniesieniu. Rejestruje wszystko na raz, jakby wiedział, że ma mało czasu. Bardzo mało czasu.*

*Wydaje się, że pod spojrzeniem człowieka wiszącego na środkowym krzyżu wszystko się rozplywa; tłum staje się mgłą. Jakby formował rzeczywistość na nowo, interpretując ją swą obserwacją. Wszystko stawalo się na nowo, świat był od tej pory inny, a to oznacza, że bez wątpienia lepszy, choć trochę lepszy...*

*Nie przedmiot określa podmiot, lecz odwrotnie.*

*Co oznacza ta wizja?*

*Cierpienie na twarzy cieśli. Leonardo czuje, że dzieli z nim to cierpienie. Że ból, codzienny ból, upokorzenie jego, Dziwki, jest drobną częścią bólu Zbawiciela. Cierpienie jest kluczem do wszystkiego. Do wszystkiego.*

+ + + + +

Doktor Dafoe przywiódł ze sobą kolegę po fachu. Dopuszczenie dodatkowej osoby do, jakże ścisłego i elitarnego, gremium wprawiło Radaka w podły nastrój; tajemnica nieuchronnie przesiąkała do coraz to szerszych kręgów. Radak — jako strażnik sekretów — musiał się czuć jak twórca tamy skleconej wyłącznie zdiurawych elementów.

Przyjaciel doktora Dafoe odznaczał się niezwykłą wåtłością sylwetki, typ jego urody określiłby Stith jako „ascetyczny”; na podobną ocenę zasługiwał też urok osobisty przybysza. Przez jakiś czas pułkownik zastanawiał się, w jaki sposób nieznajomy zjednuje sobie kobiety, ale doszedł do wniosku, że widywał już bardziej dramatyczne przypadki — taki Marinelli.

Od jakiegoś czasu Stith wrywkowo czytał kryminał napisany przez czwartkowego trupa — niejakiego Swifta. Uznał, że autor nieźle znał staroziemskie realia; scenografia wyglądała na wiarygodną, atmosfera była sugestywna. Ani się spostrzegł, jak ją zgłębiać fabułę dla czystej przyjemności.

— Pięć trupów — zagał Marinelli, od kilku dni, pięciu — w podobny sposób. Zmieniał się tylko liczebnik.

— Mój Boże. — westchnął Feller; Radak spiorunował go wzrokiem.

Generał zapalił papierosa. Liczba wypalanych przez Radaka papierosów zdawała się rosnać wprost proporcjonalnie do zwiększającej się liczby ofiar. Stith dostrzegł tę prawidłowość i natychmiast ją uogólnił — świat opiera się na prawach i dlatego trwa. Wydało się to pułkownikowi pocieszające, ale zarazem spostrzegł coś straceńczego w tej radości: to tak, jakby skazaniec cieszył się, że jest wieszany w zgodzie z wszelkimi procedurami.

— Ciało zostało znalezione.

— Jeżeli mógłbym panom przerwać — wtrącił Dafoe. — Mam kilka interesujących informacji. Mój przyjaciel, doktor Hollbach, podzielił się ze mną. sensacyjnymi faktami.

Hollbach z namaszczeniem skinął głową, jakby był przedstawiany na jakimś seminarium naukowym, gdzie jego dorobek powszechnie jest znany.

— Zobowiązuje się pana Hollbacha do absolutnej dyskrecji — wtrącił bezosobowo

Radak.

— Nim oddam głos doktorowi Hollbachowi, pozwolę sobie zwrócić uwagę panów na intrygującą zbieżność. Otóż wszystkie dotychczasowe ofiary. Pielgrzymy miały trzydzieści trzy lata. Zgaduję, że dzisiejsza również, inspektorze?

Marinelli zerknął na ekran laptopa i potwierdził bez słowa. Zbladł nagle, aż blizna na jego twarzy niemal wtopiła się w tło.

— Chryste Panie! — jęknął Feller; Radak tym razem nie zareagował.

„Mięczak”, milcząc rzecz jasna, uśmiechnął się zdawkowo.

— Nie muszę panom przypominać, co oznacza ta liczba — mówił spokojnie Dafoe. — Morderca wydaje się przywiązywać szczególną wagę do symboli.

— Zaraz, zaraz. — przerwał mu Marinelli. — Trzydziestotrzy-letnie Dziwki. To zawęża krąg naszych poszukiwań!

— Proszę wydać odpowiednie dyspozycje, pułkownik — Radak wyraźnie się ożywił. — Coś jeszcze, doktorze? Przyznaję, bardzo pan nam pomógł.

Feller wyszedł pospiesznie; cud dezintegracji i ponownej kreacji ściany dokonał się raz jeszcze. To chyba technologia Dobroczyńców, pomyślał Stith.

— Tak, coś jeszcze — Dafoe schował twarz w dłoniach. — W tym wszystkim chodzi o ofiarę, panowie. O odkupienie. O wybawienie.

— Czy to coś zmienia w naszym śledztwie? — zapytał Marinelli. Praktyczny umysł, zakpił bezgłośnie Stith.

— Śledztwo. Śledztwo ma znaczenie niewielkie — Dafoe otarł chusteczką twarz, choć wentylacja działała bez zarzutu. — Ten człowiek, Pielgrzym. On rzuca wyzwanie. Bogu. Prowokuje. Jeśli się myli, przegra — tak czy inaczej. Ale jeśli jest choć minimalna szansa. Słyszeliście o Zakładzie Pascala. Widocznie uznał, że mimo wszystko się opłaca. Nie wtrącamy się w to, panowie. Ostrzegam was.

— Taaaak. Wysłuchaliśmy z uwagą pańskich sugestii, doktorze. — Stith wyczytał w głosie Radaka wyrok skazujący: kopalnie we wschodniej części kontynentu. Pięćdziesiąt stopni Celsjusza. I brak wentylacji. Tam się dopiero spocisz, biedaku, pomyślał. — Pański kolega znalazł się tu chyba nieprzypadkowo?

— Owszem. Doktorze Hollbach, proszę.

— Jestem z zawodu psychiatrą — zagaił Hollbach. — Jakies dwa lata temu natknąłem się, nie ukrywam, że przypadkowo, na pewną prawidłowość.

O tak, pomyślał Stith, świat składa się zpraw. Nawet, jeśli odkrywa się je przypadkowo.

— Miałem okazję zbadać, w dość krótkich odstępach czasu, kilkoro pacjentów o dość. specyficznych objawach chorobowych. Co ciekawe, wszyscy zmuszeni byli do uprawiania procederu mentalnej prostytucji.

— Proszę się łaskawie streszczać. Byli Dziwkami — zniecierpliwiał się generał.

— Nie tylko to ich łączyło. Wszyscy byli w tym samym wieku. Tak, nie mylicie się panowie, teraz mieliby po trzydzieści trzy lata.

— Cholera — mruknął Marinelli.

— Początkowo wiązałem objawy z uprawianym przez nich procederem, lecz ta hipoteza niczego właściwie nie tłumaczy. Objawy były dość różnorodne, a jednak, stwierdziłem, że chodzi prawdopodobnie o jedno schorzenie. Cóż, objawy. Moi nieszczęśni pacjenci okazywali się często wyznawcami tak zwanych teorii spiskowych. Byli głęboko przeświadczeni, że ktoś ich bez ustanku bacznie obserwuje, że są śledzeni. Takie manie prześladowcze. To świadczy, być może, o pewnej, niewątpliwie chorobliwej, tęsknocie za sensem świata. Świat poukładany, nawet kiepsko i w złej intencji, jest jednak światem sensownym. Nadto, mimo nieustannego wrażenia własnej bezsilności wobec złożonych mechanizmów rzeczywistości, łatwo mogli sami siebie ekspediować na Dobrą stronę lustra... — Hollbach uśmiechnął się, rzecz jasna oszczędnie. — Byli słabi, ale dobrzy, nieskuteczni, lecz i niezbrukani. Mogli samych siebie ustawić w wewnętrznej hierarchii jako tzw. moralnych zwycięzców. Łączyło ich również to, że dość słabo znosili wszelkie przejawy kłamstwa, obłudy, czyli tego, co wszyscy nazywamy powierzchnią życia. Oni nie pływali po owej powierzchni, raczej nurkowali, bijąc przy tym rekordy głębokości. Proszę mi wybaczyć te metafory. poruszam się po nieznanym obszarach; jak wszyscy, próbuję określić nieznaną poprzez znane — stosując niewydolne z samej natury analogie. Chodzi mi o to, że chorzy za wszelką cenę dążyli do prawdy, do głębi, do istoty rzeczywistości. Wytwarzali przy tym dość obłądne teorie filozoficzne, którym pozostawali wierni, bez względu na okoliczności. Rzeczywistość społeczna wypełniona kłamstwem jest niezgodna z ich idealizacją i być może (mówię być może, materiał badawczy bowiem jest ubogi, a większość konkluzji opiera się na, rzekłbym, chybotliwych przesłankach), zatem być może owa niezgodność właśnie prowadzi do zaostrzenia objawów chorobowych. Wszyscy wszak wiemy, na czym w gruncie rzeczy polega nasze dojrzewanie psychiczne?

Pytanie zawisło nieruchomo w powietrzu. Chyba wiedzieli, Stith wiedział na pewno, ale jakoś nikt się nie odezwał. Pułkownik wpatrywał się w dłonie Kata Kolonii, który od jakiegoś czasu zaplatał i rozplatał palce, jakby zawiązywał i rozwiązywał szubienicze pętle.

— Oczywiście na akceptacji zakłamania — odpowiedział sam sobie Hollbach. — Kiedy dojrzewamy, następuje u nas, no, u większości z nas — poprawił się patrząc na Radaka, Stith natychmiast poczuł do niego nić sympatii — okres buntu przeciw załganemu światu. Wydajemy się wówczas sami sobie, a także zewnętrznym obserwatorom, niedostosowani do rzeczywistości; i tak w istocie jest. Ale po jakimś czasie, stopniowo, choćby dla psychicznej higieny, akceptujemy zastany stan rzeczy. Otóż chorzy najwyraźniej nie przechodzą fazy akceptacji. W żywionych przez siebie uczuciach i przekonaniach są skrajni, bezkompromisowi. Dobro i zło. Czerń i biel. Żadnych subtelnosci, niuansów, żadnych szarych stref moralnych, w których wszyscy, jak tu siedzimy, egzystujemy. Kiepski z nich materiał na dyplomatów, choć można by wymienić jeszcze kilka innych profesji. — w tym miejscu zerknął na kata. — Wydaje się,

że choroba dzieli się na kilka wyraźnie wydzielonych etapów. Jest faza olśnienia, kiedy chory bywa przekonany, że odkrył na przykład tajemnicę istnienia. Potem następuje nieunikniona degradacja osobowości, rozpad funkcji myślowych, otępienie uczuciowe. Oni cierpią, panowie. Bardzo cierpią. Zdarza się, że dochodzi do samookaleczeń. Są przeświadczeni, że ich ciała są zdeformowane, może w ten sposób próbują dokonać korekt, sam nie wiem. Niezwykle są również, choć tu wypowiadam się z dużą ostrożnością, ich zdolności prekognicji.

— Co takiego? — zainteresował się Stith.

— W pewnym, ograniczonym zakresie być może potrafią przewidywać pewne aspekty dotyczących ich przyszłych wydarzeń. Ale to zbyt niejasne, chyba nie powinienem o tym wspominać.

— Czy te zdolności. — zawahał się Radak — mogłyby okazać się przydatne Służbom Informacyjnym?

— Nie sądzę.

— Pan nie sądzi. A my i tak sprawdzimy. Coś jeszcze, doktorze?

George Janidis uśmiechnął się paskudnie.

— Cóż. — westchnął ciężko Hollbach. — To nieznaną nam choroba. Większość schorzeń psychicznych ma swoje podłoże genetyczne, a członkowie załogi Mayflowera byli obierani pod kątem, że się tak wyrażę, poprawności genetycznej. Materiał zarodnikowy transportowany w kriogenicznych komorach też był raczej czysty. Wnioski nasuwają się same. Albo doszło do skaz genetycznych, w końcu minęło już ponad trzysta lat. Ale temu przeczy zastanawiająca zgodność wiekowa chorych. Zatem. — Hollbach urwał, jakby obawiał się tego, co i tak musi być wypowiedziane.

— Wykrztuś to wreszcie, Hollbach! — warknął Dafoe.

— Manipulacja. Inżynieria genetyczna. Ale to tylko hipoteza. Milczenie, jakby każdy w pomieszczeniu trawił informacje

przeciążające percepcję. Stith, właściwie po raz pierwszy od wielu lat, był przerażony. Wyglądało to na spisek na niewyobrażalną skalę; plan szalony, zakrojony na dziesięciolecia, jeśli nie stulecia, pełen rozmachu i wyobraźni. Ktoś zaangażował ogrom środków, wyprodukował niewiadomą liczbę szaleńców, a wszystko po to, by osiągnąć jakiś obłąkany cel, jakiś abstrakt zupełny!

Tymczasem powrócił Feller, zagłębiony w myślach, recytujący coś bezgłośnie, najpewniej litanie. Dopiero chrząknięcie Radaka przywróciło biedaka rzeczywistości.

— Zabezpieczamy potencjalne cele mordercy, panie generale.

— Ile mamy tych. celów?

„Dobrze, że nie zapytał: ile mamy cel?” — przemknęło przez myśl Stithowi.

— Dwadzieścia osiem trzydziestotrzyletnich Dziwek, panie generale.

— No. — westchnął zulgą Radak. — Jednak jesteśmy w domu. Dyskretna inwigilacja, pułkowniku. Dobrze byłoby dostać tego szaleńca żywcem. Choć, jeśli inaczej się nie da.

Radak był rozluźniony; Dafoe przeciwnie — spięty. Kat skoncentrowany na swych dłoniach, jakby dzierżył w nich los ludzkości (no, los kilku ludzi — jednak dzierżył); „Miękki” — obojętny. Własnego stanu Stith nie potrafił określić.

*Znów był na łodzi. Ocean był dziś dla niego łagodny.*

*Czasem zdarzało się, że rozmawiał z Chorobą — personifikował ją wówczas, postrzegał pod postacią kobiety. Za każdym razem wyglądała trochę inaczej; była zmienna jak objawy jego cierpienia.*

*Teraz też ją widział — siedziała na rufie, w niedbalej pozie. Uśmiechała się. Nie potrafił określić koloru jej oczu ani włosów — jak we śnie, gdzie podobne szczegóły umykają uwadze śniącego. — O czym myślisz? — pyta jak zwykle.*

*Leonardo wie, że kobieta-niekobieta zna odpowiedź, czyta w zawartości jego umysłu, ale to pytanie pozwala mu zebrać i uporządkować impulsy biegnące przez umęczony mózg. I nagle znajdował się w miejscu, o którym myślał; zwykle były to miejsca i zdarzenia z jego przeszłości, ale zdarzały się i z przyszłości.*

*Był w... szkole? Tak. To jego klasa. Siedzi, milczący, zamknięty w sobie jak w klatce. Oczywiście nienawidził szkoły. Każdego dnia musiał przystosowywać się od nowa do innych dzieci, do warunków, które dla niego były nieustanną zmienną. Nieustanną. Obok Leonarda siedzi chłopiec, już nie pamięta jego imienia. Kiedyś nawet go lubił. Kiedyś? Teraz. Wszystkie porządki czasoprzestrzenne mieszają się z sobą. Czas nie miał (ma) znaczenia. Przeszłość, terażniejszość, przyszłość — wszystko to równoprawnie i równocześnie funkcjonuje w percepcji Leonarda.*

*Ile mogą mieć lat? Dwanaście? Są na Lekcji Przystosowawczej. Nauczycielka, młoda kobieta o surowym wejrzeniu, zabawnie kontrastującym z piegami rozsianymi po całej twarzy, opowiada o faunie Nowej Ziemi, zaskakująco ubogiej i — co bardziej zaskakujące — jakby niepodległej darwinowskiemu mechanizmowi doboru naturalnego. Jedyne kontynent planety, zalewany zewsząd wodami Oceanu Wielkiego, tchnie pustką. Nauczycielka mówi o pustynnych królikach. Pustynia stanowi margines powierzchni kontynentu, a króliki są jednym z niewielu gatunków przystosowanych do morderczych warunków. No właśnie — przystosowanych. Na czym ma polegać owo przystosowanie? Czym się żywią? Czym kosztem żyją? Ich niezwykłość polega jednak na czymś innym jeszcze. Największą mianowicie tajemnicą, perorowała pani nauczycielka — jest empatyczny zmysł królików, pozwalający im rozpoznawać uczucia, a także zamiary innych istot. Z powodów oczywistych zatem polowanie na króliki jest czynnością najeżoną trudnościami.*

*W gruncie rzeczy, tylko człek o duszy nieskalanej mógł się do nich zbliżyć. Ale jeśli już się zbliżał, to przecież nie z zamiarem ich schwytania, bo taki natychmiast by wyczuły. Pułapki też nie zaskakiwały skutecznością (schwytano ledwie kilka sztuk) — jakby nosiły w sobie cząstkę empatycznego brudu wykonawców.*

*Było to jak legenda o jednorożcu i dziewicy; jak baśń.*

*Nieliczne schwytane osobniki próbowano wykorzystać w przesłuchaniach, na przykład*



dysydentów, zresztą równie rzadko jak króliki występujących na tej planecie. Jeśli przestuchiwany kłamał, króliki reagowały gwałtownie. Problem polegał jednak na tym, że znacznie gorzej znosiły obecność samych przestuchujących.

Naukowcy bezskutecznie zastanawiali się nad mechanizmami ewolucyjnymi, które wiodły do wykształcenia się u królików tak wyrafinowanego narzędzia przystosowania. Po co? Przecież nie miały właściwie na terenach pustynnych naturalnych wrogów. A może naturalni wrogowie wyginęli na długo przed przybyciem na planetę ludzi? Faktem jest, że co jakiś czas odnajdywano szczątki monstrualnych organizmów. Albo paradygmat ewolucyjny tu akurat nie obowiązywał.

Leonardo miał, rzecz jasna, własną odpowiedź: króliki są próbą. Próbą, na którą wystawieni zostali ludzie. Czekają na ich przybycie, być może całe tysiąclecia.

Znów był na łodzi. Sam.

Zarzucił przynętę. Jedną opuścił na głębokość sześćdziesięciu sążni. Inne — znacznie głębiej. Przynętą były niewielkie rybki, jakoby przypominające sardynki ze Starej Ziemi. Tak też je nazywano.

+++++

Był bardzo zmęczony. Znużenie rozpełzło się po ciele, zawłaszczyło co się da, jak najeźdźca, który eksploatuje pokonanych bez umiaru, nieekonomicznie, rabunkowo. Co jakiś czas, periodycznie, nawiedzało go na domiar złego zwątpienie — nie uda się, może lepiej trochę odpocząć albo wręcz się zamrozić, przeczekać, to wszystko i tak nie ma sensu, Gilmore się mylił. I tak dalej, i tak dalej.

Gilmore. Geniusz. Wizjoner. Irytujący bałaganiarz. Właściwie on to wszystko zaplanował. Przedostatni z Ostatnich. Pielgrzym uśmiechnął się do siebie, bo to on sam był podwójnie ostatni. Gil-more. Brakowało mu Gilmore'a. Tych rozmów. On sam zawsze był sceptyczny, a Gilmore z lekkim uśmieszkiem zbijał cierpliwie jego argumenty, jakby podzielili się rolami w nieustannie odgrywanej sztuce. Nie uda się? Skąd wiesz? Mamy inne wyjście? Kto nie próbuje, ten nie wygrywa. Zbrodnia? Nie, mniejsze zło. Metafizyczne brednie? Zobaczymy.

Ale Gilmore już nie zobaczy.

Straszliwie się pocił; minipakiet medyczny sygnalizował zagrożenie odwodnieniem organizmu, ale już się tym nie przejmował. Mało czasu.

— Jeszcze trochę. — szepnął.

Zachodni Dystrykt, późne popołudnie. Ruch niewielki, spokój — trochę zwodniczy. Rozejrzał się wokół. Był na miejscu. Najgorsze, że znów musiał wieść ofiarę w ściśle określone miejsce.

Domofon wyrwany; zwiślał smętnie na bebeczach kabli. Drzwi otwarte — jak czarna jama. Dzięki Bogu, nie musiał się wspinać po schodach — parter.

Zapukał. Głuchy, jakby przytłumiony pogłos, zdawało się, że dochodzący z wielkiej dali.

Pierwszy z ukrytych w cieniu tajniaków popełnił błąd. Zamiast z bezpiecznej odległości szachować Strażnika bronią, zbliżył się i próbował go legitymować. Otrzymał cios w krtań — bardzo nieprzyjemny. To było jak odruch bezwarunkowy — Pielgrzym nawet nie zdążył się zastanowić nad trybem działania, a już działał. W prawej dłoni dzierżył broń, pojawiła się tam płynnie, jakby wy-kwitła zciemności.

Drugi napastnik już się nie zastanawiał; wypalił, mierząc w głowę Pielgrzyma — znów błąd — kula utkwiała w ścianie. Strażnik Całości spokojnie wymierzył i strzaskał tajniakowi kolano.

Podszedł do wijącego się po posadzce (wyglądał w tym półmroku jakoś nieludzko, jak insekt wykonujący niezborne ruchy), wyjął mu z dłoni pistolet i odrzucił precz.

Strażnik ponownie załomotał do drzwi. Miał niewiele czasu, więc naparł mocno ramieniem; drzwi ustąpiły.

Ktoś ukrywał się w mniejszym z dwu pokoi.

— Proszę się nie obawiać — powiedział spokojnie Strażnik. — Prawie opanowaliśmy sytuację.

Akustycznym tłem dla jego przemowy były jęki pokonanych.

— Istnieje jednak możliwość dalszych incydentów. Muszę pana stąd zabrać w bezpieczniejsze miejsce, Wright.

Miał nadzieję, że wpisuje się swoją historią w jakieś spiskowe manie gospodarza, co mogło, choć nie musiało ułatwiać zadania.

Dłuższa chwila wahania. Wreszcie przygarbiona postać mężczyzny wyłoniła się zza szafy.

— Powiada pan, że sytuacja jest opanowana? — drżący głos.

— Prawie. Musimy stąd wyjść.

Znów klatka schodowa. Na widok leżących agentów Wrightowi musiało zrobić się nieswojo.

— Spokojnie. Czy jest stąd jakieś inne wyjście?

— Przez piwnicę. — szepnął Wright.

Niebo już szarzało, z wolna zapalały się gwiazdy. Biegli w milczeniu, co jakiś czas zwalniając, bo Wright tracił oddech.

Wreszcie przedmieście: ciemne uliczki i oślepienie architektonicznie zaułki. Niemal puste domy o koślawych kształtach.

— Dlaczego chcieli mnie zabić? — zapytał Wright.

— Pańska śmierć to już nie pańska sprawa, Wright. Zresztą, kto może o sobie powiedzieć, że trzyma własną śmierć w garści? — rzekł Strażnik, niechący sentencjonalnie. I strzelił.

Strzały mają w sobie beznamiętną lakoniczność; są jak celna riposta, argument nie do odparcia. Ostateczna odpowiedź na pytanie, które boimy się zadać.

Pielgrzym przysiadł na kamieniu i jął nagrywać szósty fragment przesłania. Ostatni, jak postanowił przed chwilą. Opodał spoczywało w pokoju szóste ciało, trzy krzyże

były koncentrycznie ułożone wokół głowy.  
– Zmusiliście mnie do zmiany planów.

*Wracał na przystań dopiero wieczorem. Włócznik, TEN WŁOCZNIK, znów zignorował przynęty. Dla innych ryb przynęty były zanurzone o wiele za głęboko — dlatego od dawna niczego nie złowił.*

*Z mroku nocy wyłaniały się wciąż nowe i nowe gwiazdy. Jednym z tych punktów było Słońce.*

*Kiedy ludzie pojawili się na Nowej Ziemi, musieli jakoś nazwać konstelacje gwiazd. Przez chwilę Leonardo szukał Włócznika na zachodnim nieboskłonie. Jest! Ryba wyskakująca nad powierzchnię oceanu nocy, wokół unoszą się krople. Krople gwiazd.*

*Gdy wracał do chaty, dzierżąc maszt, stary Justio, jak zwykle, pomachał mu ręką. Już u siebie Leonardo ciężko opadł na sparcia-ty fotel; czuł potworne znużenie. Był tak zmęczony, że aż nie mógł zasnąć.*

*Przez okno zaglądały gwiazdy — jedną z nich był Mayflower, krążący wokół planety po orbicie stacjonarnej.*

*W końcu jednak zasnął. O dziwo, śniły mu się lwy. Stare ziemskie lwy, których nie mógł zobaczyć w naturze, a które — najpewniej — zdążyły już jako gatunek dawno wymrzeć.*

++++++

– Wiedziałem, że nie jest pan zbyt rozgarnięty, Feller — rzekł Mladko Radak — ale żeby aż do tego stopnia. Dwóch, kiepsko, jak się okazuje, przeszkolonych agentów.

– Kolejnych pięciu było przed budynkiem — słabo tłumaczył się Feller.

– Milczeń. Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy.

– Tak jest.

– Milczeń. A nie powtórzy się dlatego, że od tej pory działania prewencyjne koordynuje inspektor Marinelli.

Dziecinne rozczarowanie w spojrzeniu Fellera. Mimo wszystko, dobry znak — zawyrokował Stith. — Objawy fanatyczki wyraźnie ustępowały.

Stith wciąż czytał książkę Swifta. Fabuła może i nie była przesadnie wymyślna: nawiedzony rasista morduje Żydów w pewnej staroziemskiej metropolii według ściśle ustalonego harmonogramu. Miejsca dokonania mordów układały się na mapie miasta w kształt Gwiazdy Dawida.

– Za chwilę otrzymamy dysk z szóstym fragmentem przesłania — odezwał się Marinelli. I dodał tytułem wyjaśnienia: — Nie korzystamy z sieci z powodu potencjalnych przecieków informacji.

Stith odłożył książkę. Myślał o Pielgrzymie. Nie znaleziono żadnych danych na jego temat — ani w starych plikach, ani w Księdze Pokładowej Mayflowera. Kim mógł być? Dlaczego jego tożsamość była taką tajemnicą? Stith próbował przeniknąć kierujące tym

człowiekiem motywy. Ale jak tu zrozumieć osobnika z innego świata, starszego o całe stulecia; mógł być mentalnie odleglejszy od kolonistów niż Dobroczyńcy nawet. To, że mordował dla jakiejś sprawy, nie było dla pułkownika zaskoczeniem; przecież i jemu się to zdarzało. Zabijał, zawsze, rzecz jasna, w majestacie prawa, które bywa — mylnie, teraz o tym wiedział — utożsamiane ze sprawiedliwością. Był pomysłodawcą, a bywało, że wykonawcą kilku „niewyjaśnionych” zniknięć dysydentów. Dlaczego to robił? Bo okazał się oportunistą? Bo widział nonsens stawiania oporu wobec technologicznej wszechmocy Dobroczyńców? W takim razie okazałby się realistą, w opozycji do opozycji — zawsze śniącej, nigdy niemyślącej. Teraz, kiedy był już stary, kiedy Sprawa okazała się jednak tylko sprawą, jedna myśl nie dawała mu spokoju — a jeżeli ci szaleńcy, wywrotowcy i terroryści zbożej łaski byli bliżsi prawdy? Może lepiej stawiać opór, płonąć krótko, ale jasno, niż trwać, zachowywać *status quo*, czekać. na co? Bo przecież warunki dyktowane przez „najeźdźców” okazały się umiarkowane, w gruncie rzeczy żadne: wyselekcjonowana grupa ludzi sprzedaje swe dusze w Burdelach Mentalnych, reszta po prostu ma święty spokój. Mniejsze zło. Mniejsze zło dla czyjegoś dobra.

Teraz, na emeryturze, mógł sobie pozwolić na komfort zwątpienia. Ale — jak zwykle — wszystko miało swoją cenę: wątpliwości go rozbroiły. Nie wiedział już, kto ma rację, a kto się myli. Z wolna rodziło się w nim straszne podejrzenie, że lata swej życiowej aktywności zainwestował kiepsko. Łapał się na myśli, że być może wcale nie chce, by schwytano Pielgrzyma; było w tym coś niestosownego: jakby pojmano legendę.

— ...cej nagrań już nie zostawię. Postaram się mówić krótko. Najkrócej jak można.

Stith skoncentrował się na treści przesłania.

— Jestem tak zwanym Strażnikiem Całości, co brzmi być może komicznie, ale za to wystarczająco tajemniczo. Wszystkie spiski, by były skuteczne, opierać się muszą na pewnych rytuałach. Ale dość tych dygresji. W każdym razie, jestem ostatnim Strażnikiem. Tworzyliśmy tajną, niezłe przeszkoloną grupę specjalną, której zadaniem była koordynacja — dyskretna oczywiście — rozwoju Kolonii na przestrzeni całych stuleci. Jedynie wybrani załoganci May-flowera — zobowiązani do milczenia — wiedzieli o naszym istnieniu. Naszą siedzibę zainstalowano — tuż po lądowaniu — pod tonami skał, na pustyni. Jest praktycznie nie do wykrycia. Co ściśle określony czas jeden z nas budził się z anabiotycznego snu. Mieliśmy działać wyłącznie w sytuacji kryzysu — ściśle zdefiniowanego na wiele różnych sposobów w regulaminie. Rzecz jasna, tego najpoważniejszego kryzysu, jaki nastąpił sto kilkadziesiąt lat po lądowaniu, nikt nie przewidział i w żadnym regulaminie nie ujął. Mianowicie, o czym wszyscy wiemy, pojawili się Obcy, których wasi przodkowie, panowie — mam nadzieję, że ironicznie — nazwali Dobroczyńcami. Przewaga technologii była miażdżąca; opór został zdławiony błyskawicznie, bez zbędnych ofiar zresztą. Paradoksalnie, dramatyczne to wydarzenie nadało naszemu istnieniu niespodziewany sens — byliśmy wszak szkoleni do działania w warunkach kryzysu. Jakies sto pięćdziesiąt lat temu opracowaliśmy Plan, który wprowadzony został w życie dokładnie trzydzieści cztery lata temu.

Obecni spojrzeli po sobie. Stith schował twarz w dłoniach. Miejsce doktora Dafoe było puste.

— Byliśmy, w każdym razie niektórzy z nas, potrzebni Obcym w charakterze mentalnego mięsa. Doszliśmy do wniosku, że ich „obcość” musi być pojęciem względnym. Niewątpliwie coś nas z nimi łączy — fizjologicznie i psychicznie obie rasy mogą być sobie bliższe niż się to powszechnie uważa. Plan, przy minimum odpowiedniej technologii, nie był trudny do zrealizowania, przynajmniej technicznie. — Pielgrzym urwał; był wyraźnie zmęczony. — Oparliśmy się na analogii historycznej. Na Starej Ziemi podczas wojen podsuwano agresorom, gdy inne metody zawiodły, kobiety skażone chorobami wenerycznymi, ówczesnie nieuleczalnymi. Mieliśmy do swej dyspozycji pewną pulę zarodnikową i doprawdy niezłe wyposażone laboratorium genetyczne. Dokonałiśmy manipulacji. Nie jestem specjalistą, ale wiem, że chodziło o geny na szóstym, dziewiątym i dwudziestym chromosomie. Doprowadziliśmy do tego, że część „powołanych do życia” trzydzieści cztery (od momentu „poczęcia”) lata temu była chora na schizofrenię. Nazwa ta brzmi panom obco, choroba nie jest znana waszym specjalistom od dusz. Wszelkie dane na jej temat udało nam się usunąć z Systemu blisko sto pięćdziesiąt lat temu. Dziś stwierdzam, że plan owej — zaśmiał się gorzko — .mentalnej dywersji zawiodł. Ze był zbrodnią... Kończę sprawę po swojemu, bo musicie wiedzieć, wierni słuchacze, że na Starej Ziemi, w starym życiu byłem najemnikiem, jednym najlepszych. Misja Mayflowera miała być dla mnie odkupieniem win, a okazała się ich mnożeniem. Zabijam, by im ulżyć w cierpieniu, ale także, by pokazać, jak wielką ofiarę ponieśli za was. za nas. ci biedacy. Mam też nadzieję, że jeśli Bóg istnieje, to nie okaże się głuchy.

— To wszystko — rzekł Marinelli. — Koniec.

— Stek bzdur! — warknął Radak, ale zabrzmiało to tak, jakby bardzo chciał przekonać samego siebie. — Szaleniec i tyle. Teraz pozostaje nam już tylko czekać. Oby na dobre wieści.

Stith podjął przerwana lekturę, ale nie mógł się skoncentrować na treści, jakby spłoszone czymś litery umykały przed jego spojrzeniem. Coś nie dawało mu spokoju, coś nieuchwytnego, szczególnie jakiś.

— Gwiazda Dawida. — szepnął.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, by dobyć stamtąd podręczny plan Plymouth. Starannie, choć dłoń mu drżała, nanosił na plan miejsca kolejnych mordów Pielgrzyma. Nim naniósł połowę, wiedział już, że się nie myli. Gdy skończył, ujrzał następujący widok:

X  
X X X  
X  
X

Brakowało dwóch punktów — centralnego oraz współtworzącego prawe ramię krzyża. Przez chwilę, krótką chwilę, chciał podzielić się z innymi olśnieniem, iluminacją. Nie uczynił tego jednak. Sam do końca nie wiedział dlaczego.

— Są wiadomości o siódmej ofierze — powiedział Marinelli. Nie rozstawał się z mikrosluchawką w lewym uchu; tak dopasowaną, że zdawała się częścią jego organizmu; adaptacyjnym nadmiarem.

— A więc jest i siódma. — Radak powoli podniósł się z fotela i oparł dłonie na blacie.

— Tym razem strzelał z dystansu. Prawdopodobnie posłużył się karabinkiem optycznym — dzielił się informacjami Marinelli. — Nie dopełnił rytuału z krzyżykami, nie zostawił przesłania. Nie miał na to szans.

— To pocieszające, Marinelli — powiedział Mladko Radak. — Bardzo pocieszające.

Stith dyskretnie naniósł na mapę miejsce kolejnego morderstwa — prawe ramię krzyża zostało uzupełnione. Brakowało tylko centralnego punktu.

*I tym razem wyłynął znacznie wcześniej od innych — było jeszcze ciemno. Za każdym razem było coraz trudniej, jakby coś, coś w nim samym, w jego wnętrzu, stawiało opór. Nie mógł pozbierać się do kupy, podjąć prostej decyzji. Rozpadał się na drobne cząstki, a każda chciała czego innego.*

*Nie mógł widzieć Justia, ale wiedział, że stary za nim patrzy.*

*Gwiazdy bladły na niebie; wkrótce znikną.*

*Wiosłował z taką zawziętością, jakby nie ląd chciał za sobą zobaczyć, ale życie. A przede wszystkim pamięć. Jednak — w którym by nie płynął kierunku — pamięć już tam była.*

*Był już około dwóch mil od brzegu, gdy zaczęło się dziać coś dziwnego — rzeczywistość stała się (nie miał na to lepszego określenia) czymś na kształt starego, zużytego, przetartego materiału — jęła jakby „prześwitywać”. I Leonardo ujrzał na wskroś starej rzeczywistość nową, rysującą się ostrzej, bardziej „rzeczywistą”. Wydawało mu się, że znajduje się w dwóch miejscach na raz. Zarazem na morzu i w obszernym pomieszczeniu, gdzie wisiał, rozpięty na „uprzęży”, jakby pajęczynie, delikatnej z pozoru, ale w istocie niezwykle wytrzymałej. Jego czaszka opleciona była czymś na kształt wapiennego kokonu, liczne, na połę organiczne wypustki wpijały się w jego głowę, sięgając aż do jaźni samej...! Już wiedział. Pamięć. Zawsze pamięć. Wiedział, gdzie jest.*

*— Wymyka nam się.*

*— Jeszcze trochę... Fascynujący egzemplarz. Zupełnie szalony...*

*Leonardo wiedział, że mówią o nim. Nie dostrzegali rozmówców.*

*— To niebezpieczne.*

*— Niebezpieczne? Dla kogo? Dla nas? Dla klientów?*

*— Dla niego. Eksploatujemy go bez umiaru.*

*— Warto, przyznaj.*

*— Warto.*

*I znów ocean, jakże rzeczywisty. Co jest rzeczywistością? Czuł ból w dłoniach zaciśniętych kurczowo na wiosłach. I chłód wzmagającego się wiatru na twarzy. Widział niebo, coraz bledsze i*

*bledsze.*

+++++++

Przy życiu trzymała go jeszcze chyba tylko nadzieja rychłej śmierci. O tak. Cel był blisko. Ósmy dzień tygodnia. Wszystko to z każdym dniem, z każdą mijającą chwilą wydawało mu się coraz bardziej absurdalne. Dlaczego to zrobili? Od początku do końca bzdura. Zaraza mentalna. Zmiał w ustach przekleństwo.

I wtedy właśnie spostrzegł to. Błyskająca, diabli wiedzą od jakiego czasu, czerwona dioda na zegarku, który stanowił zarazem wejście do Systemu. Czerwony kod.

– Niemożliwe... – szepnął.

Wzywał go inny Strażnik Całości. Albo ktoś złamał zabezpieczenia. Nie był pewien, która z tych ewentualności bardziej była oddalona od prawdopodobieństwa. Włączył odczyt. Na niewielkim ekranie pojawiła się dobrze znana twarz – Gilmore'a. Wyścieńczony, ale uśmiechnięty.

– Nie martw się, ja naprawdę nie żyję – zaczął Gilmore. – W chwili gdy mnie słyszysz, nie żyję od jakichś dziesięciu lat. Zakodowałem tę wieść dla ciebie. Zostanie odtworzona w momencie, gdy znajdziesz się o krok od zrealizowania naszego, obłądnego jak zwykłeś mówić, planu. Widzisz, jest coś, o czym nie wiesz. O czym nigdy ci nie powiedziałem, bo mogłeś uznać mnie za szaleńca. Może zresztą i jestem szalony. To prawda, że nasz pierwotny plan nie powiódł się – nie zarazimy mentalnie Obcych; to prawie pewne. To, co czynisz teraz, te mordy na – naszych, powiedzmy to sobie otwarcie – ofiarach, nie jest być może do końca pustym rytuałem ani nawet ciosem miłosierdzia. Nie chodzi wyłącznie o to, by wystraszyć władzę Kolonii, by dać impuls do stawienia oporu. Nie, nie tylko o to idzie. Wiem, że podchodzisz do tego sceptycznie, że uważasz to za puste hokus-pokus, blagę. Ale jest, niewielka wprawdzie, szansa.

Gilmore umilkł, widać było, że przemowa sporo go kosztuje.

– Nie jesteś naukowcem, będę mówił prosto i w miarę możliwości krótko. Już niektórzy XX-wieczni fizycy kwantowi, przeprowadzając eksperymenty na mikroobiektych, stwierdzali, że realne istnienie materii nie jest bynajmniej oczywiste. Tak, wiem, spirytualizm, hocki-klocki, ale posłuchaj przez jakiś czas, zawieś niewiarę. Stwierdzono za pomocą metod stosowanych w fizyce doświadczalnej, że świat składa się z cząstek elementarnych, które zachowują się jak konkretne obiekty o dobrze określonych właściwościach tylko wtedy, gdy są rejestrowane przez aparaturę pomiarową zdolną do ich wykrywania. Jeśli jednak nie są obserwowane i rejestrowane, to znaczy, gdy są „w drodze”, mają bardzo specyficzny sposób istnienia, nieznan w świecie makro. Są wtedy tylko zbiorami, a ściślej: liniowymi superpozycjami potencjalnych możliwości stanów do zaistnienia w momencie pomiaru, który jakby „wybiera” jedną z możliwości i rejestruje w aparaturze pomiarowej. Na pewno słyszałeś o tzw. kocie Schrödingera? – Przez jakiś czas jakby czekał na odpowiedź. – Zatem

teoria kwantów nie opisuje bynajmniej przemieszczania się mikroobiektów w czasoprzestrzeni, ale ewolucję w czasoprzestrzeni potencjalnych możliwości prowadzących do takiego czy innego zachowania się mikro-objektu w trakcie obserwacji. W momencie pomiaru zachodzi nagle i bezprzyczynowe przejście od tego, co możliwe, do tego, co rzeczywiste. Jak u Arystotelesa — akt i możliwość. Streszczam się. Czasu coraz mniej. Mam wrażenie, że nie tylko mnie zostało mało czasu, prawda? — uśmiechnął się z wysiłkiem. — Zatem podstawowym „faktem” mikrofizyki jest odnotowywany przez przyrząd wynik pomiaru, na przykład tyknięcie licznika Geigera lub błysk światła oznaczający przybycie elektronu do ekranu detektora. Skoro jednak urządzenia pomiarowe są również zbudowane z elektronów, atomów i innych obiektów kwantowych, powstaje pytanie: dlaczego urządzenia te nie mają być opisywane w tych samych kategoriach, co obiekty kwantowe? Rozumiesz? Licznik Geigera można w gruncie rzeczy opisać jako falę prawdopodobieństwa; istnieje on jako superpozycja stanów: „tyknięcie” lub „brak tyknięcia”, tak długo, aż zostanie wykonany na nim pomiar. Wyobraź sobie, że superpozycja możliwości detektora jest zredukowana przez drugi monitorujący go detektor, który — oczywiście — również jest superpozycją stanów, które należałoby zredukować poprzez pomiar — i tak bez końca. W rezultacie wydaje się logicznym wniosek, że czynnik powodujący ostateczną redukcję funkcji falowej mieści się w mózgach inteligentnych obserwatorów. Tak zwana koncepcja von Neumanna... powoli zbliżamy się do sedna. Własności naszego Wszechświata możemy wytłumaczyć na dwa sposoby: albo przyjmując, że istnieje lub istniała realnie praktycznie nieskończona liczba niezależnych wszechświatów, wśród których znalazł się i ten, który obserwujemy, albo zakładając — uwaga! — że istnieje jakiś czynnik immaterialny (nieopisywany teorią kwantów) dokonujący celowego wyboru (w domyśle — takiego, a nie innego wszechświata). Koncepcję von Neumanna podjął niejaki Wheeler — w jego opinii człowiek nie jest biernym obserwatorem procesu pomiaru kwantowego, ale aktywnie w nim uczestniczy; nie jest zatem obserwatorem, lecz raczej partycypatorem. Redukcja liniowej superpozycji możliwości w momencie pomiaru zachodziłaby zatem w świadomości obserwatora, który w przeciwieństwie do innych układów fizycznych ma świadomość stanu, w jakim się znajduje. Pamiętasz słynną trzcinę myślącą Pascala?

Stith nie pamiętał. Poczł się niezręcznie.

— Według Wheelera Wszechświat jest swego rodzaju samowzbu-dzającym się konturem, który na pewnym etapie swojego istnienia stwarza świadomych partycypatorów. Akty obserwacji wszystkich partycypatorów generują zmożliwości aktualność, którą my potocznie nazywamy realnością. Ale jest inna możliwość. Otóż kosmologia kwantowa w ogólnym zarysie tłumaczy dzieje Wszechświata. Przy określonym wyborze warunków brzegowych stworzenie Wszechświata można interpretować jako bezprzyczynowy, kwantowy proces kreacji znicności (*ex nihilo*). Wyobraź sobie model Wszechświata oparty się na konstrukcji urządzeń



wytwarzających tak zwaną rzeczywistość wirtualną; byłbyż to immaterialny model rzeczywistości. Kwantowy proces przejścia od liniowej superpozycji możliwości do aktualności, przypominałby w takim ujęciu proces myślenia i podejmowania decyzji przez człowieka, który rozważa „w myśli” różne możliwości, a następnie podejmuje decyzję o wyborze jednej z nich. Trudno to nazwać naukową hipotezą, ale przypuśćmy, że kwantowy proces przejścia od tego, co możliwe, do tego, co rzeczywiste, odbywa się w myśli jakiegoś Intelaktu Absolutnego, nazwijmy go IA. określenie „bóg” przechodzi przez gardło naukowca jak przez ucho igielne. Ów IA celowo wybiera zsuperpozycji potencjalnie możliwych wszechświatów jeden — ów realnie istniejący. Zgodnie z tym przypuszczeniem, to, co rzeczywiste, jest tylko ideą w umyśle IA, który podjął decyzję i przekazuje ją każdemu człowiekowi zadającemu mu pytanie za pomocą aparatury pomiarowej. W dalszej konsekwencji oznacza to, że Wszechświat cały ma charakter immaterialny, a zatem i my, ludzie, jesteśmy tylko (a może aż?) intelektami, samoświadomymi substancjami duchowymi. Nie jest to, rzecz jasna, idea nowa; kilkaset lat temu podobną ideę sformułował Berkeley. Można ciągnąć dalej analogie komputerowe — porównując relacje IA ze zbiorem inteligencji ludzkich ni mniej, ni więcej, jeno do komputerowej gry. Rola integralnej jednostki centralnej przypada — oczywiście — IA, natomiast graczami są intelekt ludzki, przy czym każdy intelekt posiada manipulator czy joystick, którym jest wola, pozwalająca w jakimś stopniu wpływać na przebieg gry. Rolę wyświetlaczy pełni przekaz idei przez IA każdemu intelektowi. To dość dziwna gra, w której hardware ma naturę duchową, a software to reguły gry ustalone przez IA. W takiej interpretacji istnienie materii, substancji nieświadomej nie jest konieczne. Poszedłbym jeszcze trochę dalej. Otóż joystickiem nie jest wola (jak chciał tego na przykład św. Augustyn) , a raczej nie tylko wola. Joystickiem, manipulatorem wpływającym na rzeczywistość jest, być może, cierpienie, ofiara. Wiedzieli o tym święci i prorocy, wiedzieli przedstawiciele wszystkich niemal pierwotnych kultur — tylko autentyczne cierpienie wyrywa świat z ustaleń, zmienia aktualizację. Jak powiadał Clive Staples Lewis, cierpienie jest megafonem, którym Bóg wyrywa nas z odrętwienia. Ale dlaczego nie miałyby to działać w drugą stronę — komunikacja jest procesem zwrotnym. Taki kształt świata stawiałby jego Twórcę być może w niekorzystnym świetle, gdyby nie jedno ale. A jeśli i Bóg cierpi, i to niewyobrażalnie? Jeśli cierpienie jest uniwersalnym kodem świata? Wszak Wysłannik Boga umarł, cierpiąc. Więc, jeśli zrealizujesz do końca nasz zamiar, może skutki. — Gilmore mówił już zduszonym szeptem — naszego przedsięwzięcia nie będą miały wymiaru wyłącznie symbolicznego? Może to, co czynimy, jednak ma jakiś głębszy sens?

Koniec przekazu. Pielgrzym chętnie odtworzyłby to raz jeszcze, choćby po to, by popatrzeć na twarz Gilmore'a, posłuchać jego głosu, ale czas naglił. Strażnik Całości zrozumiał, że Plan był szerzej krojony, niż początkowo sądził; że on sam nie był podmiotem zdarzeń, lecz przedmiotem zamysłów Gilmore' a, który okazał się,

przynajmniej we własnym mniemaniu, demiurgiem; być może od razu wiedział, że pomysł ze schizofrenią nie ma szans powodzenia, traktował intrygę jak zasłonę dymną. Z drugiej strony, owe cierpiętnicze wywody nie przekonały Pielgrzyma; to nawet nie była hipoteza, raczej prorocza wizja. Tak czy siak, nie było już odwrotu.

Pułkownika Stitha tymczasem trawiły dylematy moralne. Przechadzał się nerwowo w okolicach domu, w którym wszystko miało się sfinalizować; po raz pierwszy od lat uzbrojony.

Kamienica wyglądała jak bokser po ciężkim nokaucie. Nokautującym był czas.

Stith zlustrował już budynek — piętro po piętrze, pomieszczenie po pomieszczeniu. Był opuszczony, ani żywej duszy. Pielgrzym prawdopodobnie przyprowadzi tu swą ostatnią ofiarę.

*Świat znów rozpadł się na dwie połowy. Leonardo wiedział, że musi podjąć jakąś ważną decyzję. Nie wiedział tylko — jaką.*

Pół godziny, pomyślał Pielgrzym. Czuł niemal ulgę.

Stith coraz bardziej się niecierpliwił; znów zerknął na zegarek. Pół do ósmej. Nagle dostrzegł „Miękkiego”, nawet poruszał się z jakąś zwodniczością, płynął jak przemieszczające się bagno. Kierował się wyraźnie w stronę feralnej kamienicy po przejściach.

„Co on tu robi”, zastanawiał się gorączkowo. Chętnie by to sprawdził, póki co jednak ukrył się w cieniu pobliskiego budynku.

Strażnik Całości dotarł na miejsce. Stara, opuszczona, a mimo to i tak młodsza od niego kamienica. Tuż za nim, niezauważony, wsunął się do klatki schodowej emerytowany pułkownik Służb — Stith.

Strażnik ciężko oparł się na poręczy schodów. Jął mozolnie pięć się na górę. Na pierwszym piętrze od razu skierował swe kroki ku konkretnemu pomieszczeniu. Bez wahania wszedł do środka.

Stith dobył broń. Podszedł do drzwi i miał już wchodzić za Pielgrzymem (choć nie wiedział jeszcze, co właściwie, u licha, zamierza uczynić), gdy usłyszał głosy.

— Dobry wieczór — powiedział młody człowiek, którego Pielgrzym oczywiście nie znał. Stał przy oknie i był piękny jak śmierć; doskonałość jego urody aż ocierała się o niedoskonałość. Zwykle tak bywa z nadmiarami, że przeistaczają się niepostrzeżenie w niedobory; tak na oczach zdumionego Pielgrzyma nastąpiła oto inflacja doskonałości.

— Chyba pomyliłem adres... — rzekł powoli Strażnik.

— Oczywiście, że pan nie pomylił. Mieszkanie numer osiem. Ósmy dzień tygodnia.

No i zbliża się ósma godzina. Wszystko się zgadza, panie. Strażniku Całości. Ta magia liczb. Te rytuały.

A skoro już jesteśmy przy liczbach, z ulgą pana zawiadamiam, że nie jestem agentem numer 666. Proszę, aby nie próbował pan używać broni. Jestem dość szybki. Jak na pańskie standardy — bardzo, bardzo szybki. Widzi pan, mój organizm nieco udoskonalono. Dawniej takich jak ja nazywano cyborgami.

— Kim pan jest? — zapytał spokojnie Strażnik. Był to zwodniczy spokój, czuł bowiem, jak pot rozlewa się po jego ciele.

— Ależ, pan jest zmęczony! Gapa ze mnie — obcy podał Pielgrzymowi krzesło. — Widzę, że drżą panu ręce. Proszę sobie wyobrazić, że mnie nigdy nie drżą. To po prostu niemożliwe.

— Kim pan jest? — powtórzył Pielgrzym. Nie usiadł.

— Przecież pan się domyśla. Pan nie prowokował żadnego Boga, ani też tych błaznów, czyli panów i władców Kolonii. Pan prowokował nas. Musiał się pan domyślać, że rozszyfrujemy tę pańską groteskową. krzyżówkę. Pamięta pan osiem dzwonek? To byłem ja.

— Pan jest.

— Tak. Czynię dobro, ale sobie samemu, a nie bliźniemu memu. Jestem Dobroczyńcą. I Jestem człowiekiem. Ale to jeszcze mnie do końca nie definiuje. Bo przede wszystkim jestem przedsiębiorcą. Reprezentuję tu akcjonariuszy pewnego świetnie prosperującego interesu, panie Pielgrzymie.

— To niemożliwe.

To niemożliwe — szepnął Stith.

*Leonardo już wiedział. Wiedział, co ma robić.*

— Ale... dlaczego? — zapytał Pielgrzym.

— Pan się dziwi, że okazaliśmy się ludźmi? Wolałby pan jakieś oślizgłości, obcości, niezrozumiałości, bo to by się łatwiej dało znieść, tak? Podchodzi pan do tego zbyt emocjonalnie. Tymczasem, rzecz jest prosta i racjonalna. Od pewnego czasu kosmos stoi przed ludźmi otworem, ponieważ wynaleziono nowe sposoby pokonywania niezmiernych, zda się, przestrzeni. Wykorzystuje się do tego technikę tak zwanych „robaczywych dziur”, pewnie pan o tym słyszał? Panowie Morris i Thorn zajmowali się tym — teoretycznie oczywiście — jeszcze w XX stuleciu. Nadto marzenie średniowiecznych filozofów wreszcie zostało ziszczone — w znacznej mierze ludzkość pozbyła się balastu materii i rozwija się, że tak powiem, raczej duchowo. Przy cielskach pozostali hobbyści, pośród których statystycznie często spotykani są sadyści; albo profesjonaliści mojego pokroju, którym ciało wciąż się do czegoś przydaje. Wiele

problemów, przeludnienie choćby, mamy już właściwie za sobą. Tworzymy wyrafinowane formy rozrywki. Choć muszę panu powiedzieć, że wirtualna rzeczywistość, tak popularna w czasach pańskiej młodości, właściwie szczyła naturalną śmiercią. Jest za to ogromne zapotrzebowanie na prawdziwe emocje, na autentyczność bebeczków psychicznych. Tylko skąd je brać? Oto jest pytanie. Wszyscy żyją w cieplarnianych warunkach, wszyscy „przeżywają” mniej więcej to samo, wręcz powiada się, że niebawem ludzkość stopi się w jeden Nadrozum i wszyscy będą wszystkimi, czyli nikim. Problem tym większy, że dobywanie czystych emocji łączy się czasem ze szkodą dla dawców. Prawdę mówiąc, spadłście nam znieba. Wasz status prawny jest żaden, nikt się o was nie upomni, nikogo wasz los nie interesuje. Natomiast wasze życie emocjonalne to prawdziwy rarytas! Pomysł ze schizofrenią okazał się przebojem rynku. Szalone, wspaniałe. Rozpacz, nadzieja, dramat i komedia. Taak. To było dobre.

— Co my zrobiliśmy. — wyszeptał Pielgrzym.

— Z pańskiego punktu widzenia to była oczywiście zbrodnia. Ale są i inne opinie. Na przykład ja i. — zawahał się — ludzie, których reprezentuję, uważamy, że przyczynił się pan, niechcący, ale jednak, do powstania wielkiego interesu. Zostałem upoważniony do zaproponowania panu pewnego udziału w zyskach.

— Udziału w zyskach? Pan jest kusicielem.

— Niechże pan nie będzie melodramatyczny.

Trzy błyskawiczne kroki i Pielgrzym był przy Dobroczyńcy. Atak był niesygnalizowany i szybki. Nie dość szybki. „Miękki” wykonał błyskawiczny unik, właściwie poza zasięgiem percepcji starca; Strażnik wylądował pośród nędznych szczątków koślawego krzesła.

— Otwarte złamanie. — powiedział Dobroczyńca z udanym współczuciem. — Jestem równie otwartym człkiem, jak pańskie złamanie.

— Po co tu przyszedłeś? — Pielgrzym prawie nie czuł bólu; przed oczami czerwona mgła, która za chwilę zasnuje wszystko. — Dlaczego próbujesz mnie przekupić, zamiast po prostu zabić? Przecież mój plan jest idiotyczny. A może obawiasz się, że jest inaczej? Może jest minimalna szansa, że jeśli doprowadzę plan do końca, jeśli zginę tu i teraz.

— Bzdury. Przyszedłem tu z ciekawości. Choć, rzecz jasna, jakiegokolwiek wątpliwości czy też pola niepewności należy likwidować... Widzi pan, jesteśmy przeciwnikami symboli. Symbole bywają jednak niebezpieczne.

— Jeśli uda mi się popełnić samobój.

— Proszę o tym nawet nie myśleć. Wrócimy na Starą Ziemię. Albo gdziekolwiek pan zechce. Z jednym, oczywistym wyjątkiem. Spędzi pan mile czas w sanatorium. I będzie pan żył. I żył. I żył.

Prawa ręka Pielgrzyma zwisała bezwładnie, więc posłużył się lewą; sięgnął po broń. Dobroczyńca znów był szybszy. Dużo szybszy.

Stith usłyszał najpierw trzask łamanej kości, zaraz potem zduszony jęk Pielgrzyma.

– A powiadają, że ludzie uczą się na błędach. Idziemy, póki ma pan całe nogi. Na dach. Stamtąd nas zabiorą. To dla pańskiego dobra.

*Leonardo wskoczył do wody. Mocnymi ruchami rąk i nóg zanurzał się coraz głębiej i głębiej.*

Stith wszedł do pustego już mieszkania. W jego świadomości rozrastała się jak rak, pewna decyzja. Zerknął na zegarek. Za pięć ósma. Symbole.

*Coraz ciemniej, ciśnienie wyciskało z płuc powietrze. Słyszał zaniepokojone głosy.*

– **Wymyka się.**

*Chyba tak. Chyba się wymykał. Uciekał.*

*Głęboko — nic już nie widział i nie słyszał niczego.*

*Miał nadzieję, że gdzieś tam, w głębi kogoś spotka. Kogo?*

Patrzył przez okno. Trzy minuty. Ósma — czy to ma jakieś znaczenie? Czy cokolwiek ma jakieś znaczenie?

Nagle poczuł chłód w okolicy skroni, zupełnie jakby ktoś mu przystawił tam sopel lodu.

– George?

Janidis uśmiechnął się, ale nie opuścił broni. Za jego plecami stał Marinelli; też coś trzymał w dłoni.

– Poznajesz? — zapytał inspektor i pokazał mu mapę miasta znaniesionymi miejscami mordów. Stith zaklął w duchu. — Zatajenie dowodów, samowolna akcja. W co ty grasz, stary głupcze?

Janidis wyłuskał broń pułkownika. Ten nie był już panem sytuacji. Chyba że.

– Twoja była żona, Marinelli — uczeplił się tej szansy.

– Idziemy — powiedział Janidis, ale Stith wiedział, że „Makaron” Marinelli złapał haczyk. Nie mylił się.

– Co znią?

– Jestem już stary. Pamięć mnie zawodzi. — Minuta do ósmej. — Przypomnij mi, „Makaron”, na którym pośladku miała to znamię w kształcie gwiazdki, co?

– O czym on kurwa. — zaczął Janidis, ale nie skończył.

– Zamknij się, George — powiedział dziwnie miękko Marinelli.

– Na prawym czy na lewym?

– Chyba na prawym — rzekł Marinelli, nim strzelił.

Stary Justio nie wierzył własnym oczom. W osadzie pojawiły się pustynne króliki! Do tej pory unikały ludzi jak ognia. Uśmiechnął się i wyszedł przed chatę. Jał kruszyć chleb dłońmi poznaczonymi bliznami i czasem. Nie był przekonany, czy jest to królicza dieta, ale od czegoś trzeba było zacząć.

Dobroczyńca czuł, że dzieje się coś niedobrego. Dziwne, przecież wszystko przebiegało zgodnie z planem — stali z Pielgrzymem na dachu budynku i oczekiwali transportu. Skąd to wrażenie zagrożenia? Rozejrzał się wokół — żadnej niezwykłości. Dopiero po chwili zrozumiał, że źródło lęku jest w środku, w nim. Wtedy oniemiał. Nie potrafił, po prostu nie potrafił w to uwierzyć.

Jego wspaniałe dłonie, dzieło wyrafinowanej technologii molekularnej.

Jego dłonie, tak delikatne zpozoru, a przecież wspomagane legionami nanorobotów płynących znurtem krwi, korytami żył, zatokami tętnic.

Dłonie.

Dłonie mu drżały.

## *Anioł tkwi w szczegółach*

Od dwóch lat Jakuba S. nękały sny, które nie zostawiały w pamięci żadnych szczegółów. Tylko silne poczucie wewnętrznego obrastania czymś lepkiem i krępującym; jakby knącza wirtualnej acz odczuwalnej rośliny splatały się w gęsty wzór kaftana bezpieczeństwa dla duszy. Czasem myślał o sobie jak o nurku, któremu na znacznej głębokości zabrakło powietrza; i nie pozostało mu już nic prócz umierania.

Tak właśnie czuł się Jakub każdego ranka: nurek po psychicznej chorobie kesonowej, pensjonariusz wewnętrznego domu wariatów, niebezpieczny, lecz wyłącznie dla swych myśli, które umykały w popłochu. Na szczęście nie trwało to długo, wnet wchodził we właściwy mu rytm życia. Nie inaczej było i tym razem.

Od razu po przebudzeniu zerknął w stronę starego budzika odmierzającego czas z leniwą precyzją. Gdyby nie ta precyzja, Jakub dawno pozbyłby się zegara. Spał pięć godzin i czterdzieści trzy minuty; o dwanaście minut dłużej niż wczoraj. Wciąż nie potrafił zmusić organizmu do większej regularności.

Do łazienki siedem kroków, co daje około czterystu dziewięćdziesięciu centymetrów.

Nabrał w dłonie (ileż to mililitrów?) zimnej wody i zanurzył twarz; na moment stracił oddech i atmosfera nocy powróciła. Był przekonany, że na dzień snu czai się przeszłość.

Piętnaście minut na śniadanie, potem spacer po ulicach miasta.

Niedawno wyczytał w *Notatnikach* Alberta Camus słowa, które autor kazał wypowiedzieć Don Kichotowi: „Tak, walczyłem z wiatrakami. Jest bowiem rzeczą głęboko obojętną, czy walczy się z wiatrakami, czy z olbrzymami. Tak bardzo obojętną, że można się pomylić. Mam metafizykę krótkowidza”.

Jakub S. lubił tę sentencję, choć w gruncie rzeczy kolidowała z jego filozofią życiową. Metafizyka Jakuba S. była metafizyką pedanta.

Choć nie można było wykluczyć ewentualności, że jego maniakalna dbałość o detal była rodzajem ucieczki. Ucieczki od pamięci.

Nieco ponad dwa lata temu (Jakub mógł przeliczyć ten czas na godziny, a nawet sekundy) coś się stało. Coś na tyle strasznego, że stracił pamięć. Lekarze mgliście mówili o amnezji powstrząsowej, której skutki powinny stopniowo ustępować. Jakub nie chciał wiedzieć, czym był spowodowany wstrząs. Nie chciał również widzieć nikogo ze swej rodziny, żadnych znajomych. Wyraził dobitnie i kategorycznie życzenie, by nikt nie odwiedzał go w szpitalu. Lekarze przystali na to, pewien neurolog orzekł z aseptycznym współczuciem, że spokój będzie dla Jakuba najlepszym lekarstwem. Jakub doszukał się w tym — pod każdym względem banalnym stwierdzeniu — drugiego dna — oto stara jak świat strategia postępowania z trudnymi pacjentami: pozorne i nikłe ustępstwa oraz nieustanna obserwacja.

Uznał, że jest inwigilowany: może lustro w izolatce było z weneckiego szkła? Może jego rodzina, której nie pamiętał, obserwuje jego reakcje, porównując go z tym dawnym Jakubem sprzed utraty tożsamości?

Na ciele nie miał śladów obrażeń; charakter katastrofy był zatem czysto mentalny. Ujrzał coś, co mu odjęło pamięć?

Nie rozpoznawał swej twarzy; przeglądając się w lustrze patrzył w oczy obcego człowieka — wrażenie fascynowało go. Nie odbierał swej amnezji w kategoriach klęski; nie, wręcz przeciwnie — uznał ją za szansę na wolność. Wolność od siebie samego i od wszelkich możliwych balastów. Mógł budować się od nowa, nie każdy dostaje w prezencie taką ewentualność. Był jak gmach niezadowolony z architekta.

Kim był? Ta banalna twarz, gładkie rysy świadczące o. No właśnie, o czym? Maska nietknięta dłutem losu. Do diabła, czyż straszne zdarzenia nie powinny czynić naszych oblicz ciekawszymi? Zadbane dłonie. Urzędnik? Pianista?

Nazwisko, jakim się do niego zwracano, brzmiało pusto.

Przeszłość miała wagę mgły.

Kiedy w szpitalu zjawił się gliniarz w czarnym garniturze sugerującym pokrewną wprawdzie, lecz jednak trochę inną profesję, by porozmawiać z Jakubem o szczegółach, jak się wyraził, „wypadku”, ten wrzasnął jak zarzynane zwierzę. Krzyczał nie z powodu trawiącego go cierpienia, ale po to, by nie rozmawiać o przeszłości. Policjant umknął, przerażony.

Wyszedł ze szpitala po dwóch tygodniach, bez żadnych oznak poprawy stanu pamięci. Miał zgłaszać się co tydzień na badania kontrolne. Nie zgłosił się już nigdy.

Dowiedział się, że ma w banku znaczne oszczędności — natychmiast je podjął, korzystając z karty do bankomatu. Musiał poprosić przechodnia, by ten go poinstruował, jak korzystać z cudownego urządzenia rozdającego pieniądze; akurat była to jedna z tych rzeczy, o których zapomniał. Przy okazji dowiedział się, że limit dziennego poboru gotówki w ten sposób jest ograniczony. Tego samego dnia zrezygnował — w trybie natychmiastowym — z pracy. Okazało się, że pracował w branży reklamowej, co tylko utwierdziło go w postanowieniu ucieczki od dotychczasowego życia. Perspektywa sprzedawania rzeczy nikomu do niczego niepotrzebnych napawała go wstrętem.

Rezygnację złożył za pośrednictwem telefonu; rozmówca jął wyrażać ubolewanie, a zaraz potem — kondolencje, lecz Jakub natychmiast przerwał rozmowę.

Postanowił uciec z miasta, zostawić wszystko za sobą.

Chyba w pociągu jął po raz pierwszy, bezwiednie, zliczać mijane miasta. Ich nazwy odciskały mu się w pamięci z niezwykłą wyrazistością. Rejestrował częstotliwość stukotu kół, obliczał prawdopodobieństwo zaistnienia idiotycznych zdarzeń. Mimo niewątpliwej jałowości czynności te niosły Jakubowi ukojenie; nadto odniósł silne wrażenie, że mimo wszystko czemuś służą, mają swą wagę. Metafizyka pedanta.

Zamieszkał w wynajętym mieszkaniu peryferyjnej dzielnicy zapyziałego miasta na



północnym wschodzie kraju. Póki regularnie płacił czynsz, nikt go o nic nie pytał.

Minuty stawały się latami. Jakub poddał się rytmowi życia: długie spacery, podczas których obserwował ludzi i snuł na ich temat subtelne rozważania. Próbował dociec ich przeszłości, budował alternatywne życiorysy, układał symfonie losów. Dwie godziny dziennie trawił na czytaniu; cudze myśli nic nie ważyły. Sypiał niewiele ponad pięć godzin na dobę. Miewał sny, których nie pamiętał. I wciąż obsesyjnie baczył na detale.

Nie zastanawiał się, czy ktoś go szuka. A jeśli nawet, to myśl ta jawiła mu się tak odpychającą, że natychmiast kierował umysł w inną stronę. Pragnął być nikim, rozplątać się w nicości, bo w nicości tkwiła oczywista, jak najbardziej znośna lekkość bytu.

Prawie mu się udało; sąsiedzi traktowali go jak powietrze, którym nie da się oddychać. Przemykał po schodach (czterdzieści cztery do przebycia) jak cień; cienie nie zostawiają śladów, także w pamięci.

Czasem Jakubowi wydawało się, że jest niemal szczęśliwy, bo pozbawiony balastu wszystkich złych i dobrych chwil. Sądził, że dobre momenty ważą w pamięci tyle samo, co złe; niepotrzebnie obciążają duszę w takim samym stopniu. Z tego punktu widzenia były złe same w sobie, bez względu na ich pozytywny czy negatywny wydźwięk.

Nie tęsknił również za miłością. Regularnie, o ściśle określonej porze, zapraszał do siebie dziwki, których lekkość obyczajów znakomicie korespondowała ze zwiewnością życia wewnętrznego Jakuba S.

Któregoś jesiennego dnia, gdy z nieba spadł zimny deszcz, zaczepiła go sąsiadka z pierwszego piętra. Była w średnim wieku, chyba samotna, kiedyś ładna, teraz zadbana. Miała uroczy nos, zadarty, śmieszny — nieco kolidował ze smutkiem jej brązowych oczu.

— Może wstąpiłby pan na herbatę? — zapytała drżącym głosem. Z jej mieszkania, zza uchylonych drzwi dobywał się zapach starych mebli i książek; Jakub określił go w myślach mianem „woni melancholii”. Pewnie odziedziczyła mieszkanie po matce. Może po babce.

Nie odpowiedział, stał tylko i mierzył ją wzrokiem. W myślach szacował jej wzrost i wagę — przeliczał w pamięci centymetry na cale i kilogramy na funty.

— Pan dużo czyta — powiedziała, wyraźnie speszona. — Widziałam, że nosi pan siatki wyładowane książkami, raz nawet rozerwała się panu i. — zachichotała nerwowo. — Ja też sporo czytam. Wieczorami. Ale nie mam z kim o tym porozmawiać.

I tym razem nie odezwał się. Rozmawiać z nią? O Grocholi czy o Dostojewskim? Co za różnica? Przyszłość zawsze staje się przeszłością. Balastem. Zostawił ją tak — wyglądała jak rzecz nie na swoim miejscu. Niepotrzebna, zbędna, ciężka.

Lecz od trzech miesięcy i czternastu dni zakres jego działalności poszerzył się. Już wcześniej przyglądał się ludziom i ich zachowaniom z niechęcią. Naznaczeni byli

ciężarem, brakło im lekkości, na skutek licznych złudzeń upakowanych w ich umysłach. Przyglądał się ich bezsensownej krzątaninie i nie widział ludzi. Atomy. Poruszające się w przestrzeni atomy. Niedostrzegające bezkresu, zajęte sobą i skrawkiem rzeczywistości, który ich dotyczy.

To skojarzenie przywiodło mu na myśl starożytną teorię ato-mistyczną Demokryta, o której czytał niedawno. Otóż według owego materialisty atomy poruszały się po stałych i nigdy nie-zmieniających się torach, co czyniło — w dużym skrócie — przyrodę zdeterminowaną; w dobrze funkcjonującym mechanizmie nie ma miejsca na wolność. Może rzeczywiście z ludźmi jest podobnie? Może chaos ich poczynañ jest pozorny, robią to, co muszą robić? Zaraz przyszła Jakubowi na myśl drobna poprawka, jaką wniósł do wizji Demokryta niejaki Epikur. Tak zwana teoria pa-renklizy, czyli częściowego odchylenia toru atomów. Niby nic wielkiego, a jednak rewolucja — odchylenie daje bowiem margines dowolności, a dowolność — niesie splotek wolności.

Właśnie wtedy Jakub S. powziął postanowienie — będzie paren-klizą ludzkości, oczywiście na niewielką skalę, ze względu na nikłość środków.

Zabrał się do dzieła z ochotą; wcześniej musiał zmodyfikować jednak swój drobiazgowo skomponowany rozkład dnia: do sennej męki, spacerów i czytania dodał trzy godziny poświęcone odchylaniu losów ludzkich. Jego działania mogły uchodzić za nieszkodliwe dziwactwa — ot, potrafił kogoś, przechodząc мимо, a to podstawił komuś nogę, kopnął kogoś w tyłek albo ni ztego, ni zowe-go dał jakiejś osobie pewną sumę pieniędzy. Nie były to jednak posunięcia całkiem przypadkowe; poprzedzała je żmudna obserwacja, jaką prowadził podczas długich spacerów, wykorzystując cały arsenał pedantycznej spostrzegawczości.

Te drobne (choć ich konsekwencji nie da się przecenić) korekty losu, jakie nanosił na mapę bytu Jakub S., jakoś nie spodobały się samym „atomom”. Spotykały go przykre restrykcje — przekleństwa, a nawet pościgi. Jakub jął działać ostrożniej — podnajmował za drobne sumy bezdomnych, którzy o nic nie pytali. Nie miał stałego teatru działań, byłoby to zbyt ryzykowne; często zmieniał terytorium. Nie bez wzoru jednak — podzielił plan miasta na pola gigantycznej szachownicy i poruszał się po niej ruchem skoczka.

Krył się w misyjnej działalności Jakuba S. niewątpliwy paradoks — oto apostoł regularności zabrał się za deregulację ludzkich losów; czynił to jednak z zegarmistrzowską regularnością.

Wreszcie ogarnęło go zniechęcenie. Nie miał pewności, czy w istocie wpływa na ludzkie losy, czy fakt, że ktoś za sprawą Jakuba spóźnił się na pociąg, wpłynie jakoś na dalsze losy spóźnialskiego? Miał Jakub za mało danych, nie było wcale pewne, czy ingeruje w węzłowym momencie czyichś losów. Czy rzeczywiście łopot skrzydeł motyla w Giżycku wznieca tornado w Kalifornii? Rosło w nim zwątpienie. Nad wymiarem etycznym swego postępowania nie zastanawiał się wcale — nie było istotne, czy

wykolejenie losów odbędzie się z pożytkiem czy szkodą dla wykolejeńca; ważna była sama zmiana.

Któregoś dnia, podczas spaceru obserwacyjnego, Jakub zrozumiał, że sam jest obserwowany. Było to tak nieoczekiwane, że aż zamarł. Uporczywość spojrzenia nieznanego mężczyzny (sto osiemdziesiąt cm wzrostu, nadwaga) kojarzyła się Jakubowi z wbijaniem gwoźdźcia w plecy; i to jego plecy. Przez jakiś czas usiłował zgubić to spojrzenie, ale nie udawało się; wówczas nabrał pewności

– jest śledzony. Policja? Za mało dyskrecji, za dużo ostentacji. Jakub był niemal przekonany, że obcy pragnie być dostrzeżony.

Dopadli mnie, myślał Jakub, rodzina, przyjaciele, przeszłość, żony, kochanki, dzieci na utrzymaniu.

Poczuł ciężar, jakby nagle grawitacja się wzmożła.

– Kuuubaaa? – Jakub aż się wzdrygnął, tak blisko podszedł mężczyzna, wykorzystując jego zamyślenie.

– Nazywam się. nazywam się. – stękał, przerażenie zalało go niepowstrzymaną falą.

– Wiem, jak się nazywasz. Ale ja zawsze mówiłem do ciebie Kuba, a ty nigdy nie protestowałaś. – Mężczyzna zaśmiał się jowialnie. Jakubowi ta agresywna serdeczność wydała się sztuczna.

– Nie udawaj, że mnie nie pamiętasz! No. Marcin! No przecież, że Marcin.

Z grubych, jakby nabrzmiątych od nadmiaru słów, ust nieznanego wylewały się kaskady zdań, które nie miały dla Jakuba żadnego znaczenia. Marcin otoczył go ramieniem, a Jakub poczuł się jak obleżone miasto. Był oszołomiony, bezwolny, dał się prowadzić jak dziecko.

W końcu trafili do piwnicznego pubu. Marcin rozlewał do kufli piwo i słowa – wokół siebie. Był jak żywioł, jak kara Boska – na początku było Słowo, a na końcu powieść. Trylogia.

Wspominał niedwuznacznie o ich wspólnych wyprawach, „łowach”, jak to określał, mrużąc znacząco mętne oko. Potem spoważniał, nawet uronił łzę, i jął coś mówić o dojmującym smutku i współczuciu. Dopiero wówczas Jakub ocknął się z odrętwienia.

– Ja pana nie znam – rzekł.

– Jak to: nie znam? – głos mężczyzny stał się nieprzyjemny. – Widzisz, mój drogi, ja nigdy nie uwierzyłem w tę twoją rzekomą amnezję.

– Pan mnie nie rozumie! – krzyknął Jakub. – Ja pana NIE CHCĘ znać. Nie chcę wiedzieć ani pamiętać. Mam do tego prawo.

– Prawo! – fuknął Marcin. – W dupie mam prawa. Co zobowiązkami? Moja siostra, a twoja.

Wtedy Jakub zaczął krzyczeć. Krzyczał i krzyczał; dźwięk był aż wibrujący. Już kiedyś wypróbował ten sposób na policjancie w szpitalu. I tym razem poskutkowało –

Marcin odszedł, a właściwie uciekł.

Dopiero gdy Jakub dotarł do mieszkania (przez całą drogę biegł), spojrzał na serdeczny palec prawej dłoni. Wciąż był na nim ślad po obrączce, którą wyrzucił jeszcze w szpitalu.

Następnego dnia, przypadkiem, zobaczył w skrzynce list. Pomyślał, że ktoś napisał do właściciela mieszkania, nie wiedząc, że ten już tu nie mieszka. Ale nie, list był adresowany do Jakuba. Poczł zimne dreszcze; w głowie tłukło mu się, że go znaleźli, że namierzyli, że już nie ucieknie. Zaniósł list do mieszkania i położył na stole, ostrożnie, jakby epistoła mogła być bombą. Z kokonu minut wykluwały się ćmy godzin, a on wciąż patrzył na przesyłkę. Bał się.

Była to jedna z tych magicznych chwil, które zrzadka nawiedzały go po utracie pamięci. Łapał się na jakichś preferencjach, choćby kulinarnych, ot, lubił wątróbkę. I myślał potem godzinami – czy to przedłużenie jego poprzedniego życia, czy tablica zapisywana jest na nowo? Zadawał sobie wiele trudu, by odmienić gusta, by zerwanie z przeszłością, w ogóle z czasem, było całkowite. Lubiał wątróbkę, więc jej konsekwentnie nie jadał. Nie cierpiał ruskich pierogów, zatem opychał się nimi bez opamiętania.

Teraz nagle pojął, że właściwie uwielbia otrzymywać listy (pisać pewnie też). W listach było jakieś dostojeństwo – oto zamrożona chwila, stan czyjejś duszy przekazywany na odległość. Nijak miało się to do szybkich kanałów informacyjnych – owe SMS-y, internety. Bezosobowe, natychmiastowe, jak rozmowa tu i teraz toczona. Zrozumiał też nagle, że nienawidzi rozmów telefonicznych. Takie momenty przerażały Jakuba. Nie musiały, lecz mogły być drabiną do przeszłości. Wyzwalaczem pamięci.

Wreszcie zdecydował się: rozdarł kopertę i przeczytał. Krótka, bezosobowa informacja. Dwadzieścia dwa słowa, zapisane równym charakterem pisma. Sto sześćdziesiąt dziewięć liter. Treść przynajmniej zagadkowa – ma znaleźć się w autobusie tej i tej linii, na ściśle określonym przystanku o nieprzypadkowej porze. Już w pojeździe musi zachowywać się według niezwykle precyzyjnej instrukcji. Brak podpisu.

Co robić? Iść? Nie iść? Działać? Nie działać? Ktoś zastawił na niego pułapkę? Po co jednak? Nagle zrozumiał, że pójdzie. Coś go pociągało w tym lakonicznym przekazie, choć zrazu nie wiedział co. Może chodziło o tę precyzję? Metafizyka pedanta, pomyślał. Pedantyczna metafizyka.

Przed wyjściem zestroił zegarek z czasem podawanym w radio. Od dwóch dni ćwiczył precyzję poruszeń, płynność kroku. O wyznaczonej porze wsiadł do autobusu i stanął przy tylnej szybie, dokładnie tak, jak określała to instrukcja. Instrukcja obsługi Jakuba S., pomyślał nie bez ironii. Kto to napisał? Któryś z poddawanych jakubowej obróbce „atomów” postanowił wziąć rewanż? Mało prawdopodobne. Jednak prawdopodobieństwo innych możliwości wydawało się jeszcze mniejsze.

Jakub rozejrzał się – autobus był wypełniony mniej więcej w połowie, szybko

policzył pasażerów, a z wyniku dodawania wyciągnął pierwiastek trzeciego stopnia — dla treningu. Była to pora rozrzedzenia rzeczywistości — większość „atomów” gnieździła się na zawężonych obszarach — praca, szkoła, przedszkole.

Spojrzał na zegarek — siedemnaście sekund.

Dziesięć.

Pięć.

Już.

Gdyby ktoś przyjrzał się zachowaniu Jakuba S. chłodnym okiem, pewnie by się zdumiał. Nikt go jednak nie obserwował. Jakub płynnym, posuwistym krokiem (biorąc poprawkę na fakt, że jest praworęczny, a zatem i prawonożny; przez co krok wykonywany prawą nogą jest o trzy centymetry dłuższy niż ten zaczynany lewą) rusza w kierunku dwójki młodych ludzi, nastolatków, dziewczyny i chłopca, którzy o coś się kłócą. „W takim razie idź!”, mówi gniewnie dziewczyna; Jakub zarejestrował wyraźnie słowo „idź”. Cztery kroki naprzód. „Jutro — mówi pewna uroczą staruszka do równie sędziwego męża — będzie znowu padać”; lecz Jakub słyszy tylko owe „jutro” — i znów rusza dalej. Kolejna rozmowa, z której usłyszał godzinę; wreszcie ostatnia wymiana zdań — nazwa ulicy. Pojedyncze, wyrwane z kontekstu rozmów słowa układają się w logiczne zdanie. Idź jutro o ściśle określonej porze w pewne miejsce. Po co? Instrukcja w instrukcji. Nie prościej byłoby od razu zawrzeć tę drugą, tę ostateczną w liście? Jakub dochodzi do wniosku, że nie — być może właśnie przeszedł test na precyzję; nagrodą było rozwiązanie zagadki. Jutro.

Jak to możliwe, że ktoś (KTOŚ?) z góry wiedział, jakie słowa zostaną wypowiedziane przez pasażerów autobusu? Czy była to jakaś monstrualna inscenizacja? Dowcip na znaczną skalę, z wynajętymi aktorami?

Chciał uciekać. Ale nie da się uciec od samego siebie. To tak, jakby się chciało uciec przed własnym cieniem. Tożsamość zawsze nas dopada jak wściekły pies.

Jakub przechadzał się po ulicach miasta i z wolna ogarniało go znużenie. Tysiąc pięćdziesiąty szósty krok — rejestrował umysł, gdzieś na krawędzi świadomości. Ale już nie przynosiło to ulgi.

Jakub S. stracił lekkość.

Ołowiane chmury pluły deszczem; ulice lśniły. Ludzie wokół usiłowali nie patrzeć na siebie wzajemnie, jakby w obawie, że ujrzą własne, po tysiackroć zwielokrotnione odbicia.

Atomy.

Znów zastosował się do instrukcji. Był na TEJ ulicy. Jeszcze dwie minuty.

Samochody wyglądały jak zabawki poruszane dłonią gigantycznego dziecka.

Nieoczekiwanie opanowało go uczucie *deja vu*, co już samo w sobie jest zastanawiające u człowieka, którego pamięć jest ruiną. Jakub rozejrzał się wokół siebie;

był niemal pewien, że bliski jest iluminacji. Wiedział, co ma robić.

Zawahał się; szczątkowy instynkt trwania walczył w nim o lepsze z powołaniem. Tak, powołaniem. Oto chwila, dla której się żyje.

Jakub ocenił sytuację. Wziął pod uwagę każdą okoliczność — mokrą nawierzchnię szosy, potencjalną prędkość pojazdu, któremu za chwilę przetnie drogę. Już wiedział, w którym miejscu musi wyjść na ulicę i zaczekać na przeznaczenie. Nie swoje przeznaczenie.

Biegł, by zdążyć. Deszcz zacinął coraz mocniej. Już blisko. Zrozumiał wreszcie po co te wszystkie pedantyczne idiotyzmy, ta dokładność granicząca z manią — po prostu sposobili się do tej jednej jedynej chwili. Przynajmniej przez ostatnie dwa lata. A może przez całe życie?

Zobaczył samochód wychodzący z zakrętu; wiedział, że to ten. Skąd wiedział?

Chyba nowy model opla.

Wahał się, wciąż się wahał. Co jasne, dostrzegał idiotyzm całej sytuacji — ryzykować życiem dla przecucia?

A jednak, na drewnianych nogach, pokonując rosnący opór środowiska (jakby powietrze nagle zgęstniało), krok za krokiem.

Był na jezdni. Idealny punkt; kierowca nie ma żadnej możliwości manewru.

Podniósł dłonie, być może pragnąc tym irracjonalnym gestem powstrzymać tonę żelastwa. Gest daje się jednak odczytać inaczej — Jakub wygląda niczym dyrygent bez orkiestry.

Pisk opon, klakson. Zobaczył wreszcie wykrzywioną przerażeniem twarz kierowcy, przecinaną — jakby zmienną, pulsującą szramą — poruszającymi się jednostajnie wycieraczkami. Odruchowo próbuje obliczyć częstotliwość wychyłów i powrotów. Nie uspokaja go to. Już nic nie może go uspokoić.

Jeśli zjechałby na boczny pas — zostałby zmiażdżony przez nadjeżdżającego TIR-a. Mógł jechać prosto — i przejechać Jakuba. Albo zjechać na pobocze, co oznaczało kolizję z barierką okalającą szosę i, w dalszej konsekwencji, upadek z pięciometrowej skarpy.

Jakub zamknął oczy; wciąż trwał w idiotycznej pozie dyrygenta, którego zignorowała orkiestra. Poczul na twarzy pęd powietrza.

Kierowca wybrał barierkę. Niewiarygodne, ale zmieścił się między Jakubem, a metalowym otokiem jezdni. Bok samochodu był zarysowany, prawy reflektor stłuczony. Bariereka wygięła się, ale nie poddała. To cud.

Z auta wypadł jak pocisk mężczyzna, biegł w stronę Jakuba, miotając przekleństwa. Za nim wysiadła jeszcze kobieta z dzieckiem.

Jakub milczał; nie potrafił wyjaśnić swego zachowania. Policja.

Pytania — dlaczego, dlaczego, dlaczego. Kierowca nieustannie groził sądem.

No właśnie — dlaczego?

Impuls? Niektórzy ludzie nagle, całkiem bez powodu wstępują do jakiegoś sklepu,

by kupić tam coś niedorzecznego. Inni znów wsiadają do autobusu i jadą gdziekolwiek. Być może chcą zerwać, choć na krótką chwilę, łańcuch przyczyn i skutków, którym stało się ich życie? Wyrwać się z dręczącego rytmu, zaprzeczyć dławiącej oczywistości.

Jakub jednak kochał rytm. Nie chciał zmieniać życia.

Często zastanawiał się nad atrybutami człowieczeństwa. Co takiego nas konstytuuje? Inteligencja? Życie w społecznościach? Kultura? Altruizm? Egoizm?

Pamięć?

Nie. Raczej bezradność. Niemoc. Strach. Czy wyszedł na ulicę po to, by pokonać strach? Nie. A w każdym razie nie tylko po to.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Życie Jakuba zmieniło się na gorsze. Sądził, że zna powody swego dziwnego zachowania, ale z każdą upływającą minutą rosły w nim wątpliwości. Następnego dnia gotów był założyć, że jest szaleńcem o samobójczych ochotach. Nie wyszedł na spacer. Przestał liczyć schody i ptaki. Perspektywa snu przerażała go.

Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, pomyślał, że to policja. Ale była to tylko znajoma dziwka, która przyszła na umówione spotkanie. Jak mógł o tym zapomnieć? Odprawił ją pewną sumą pieniędzy. Spojrzał na kobietę krytycznie — lekkość obyczajów nie korespondowała jednak zlotnością umysłu. Dawniej nawet by o tym nie pomyślał. Wszystko było nie tak.

Nie spał dwie doby, aż w końcu dopadł go sen.

*We śnie Jakub wie, kim jest. Jest sobą.*

*Wie teraz tyle różnych, potrzebnych, lecz głównie niepotrzebnych rzeczy.*

*Ma piękną żonę, którą regularnie zdradza, ale nie przywiązuje do tego wagi. Ma też syna. Kocha życie, kocha rodzinę. Ale akurat o tym nie wie.*

*Jak zwykle umysł Jakuba wraca obsesyjnie do ściśle określonej chwili w jego życiu.*

*Jadą we trójkę na wakacje. Nad morze. Czekali na to cały rok. Zatrzymują się na poboczu; żona z synem idą do lasu. Chłopiec jest jeszcze za mały, by samodzielnie sikać.*

*Jakub wysiada z wozu; przechadza się, oddycha głęboko świeżym powietrzem. Po chwili zapala papierosa, bo powietrze wydaje mu się zbyt świeże. Czuje się odprężony.*

*Dostrzega nadjeżdżający samochód; jest jeszcze daleko, lecz szybko się zbliża. Jakub nie wie dlaczego, ale ten widok budzi w nim niepokój. Jego rodzina wychodzi z lasu; wracają powoli poboczem. Jakub jest dokładnie pośrodku — z jednej strony samochód; z drugiej — żona z synem. W nagłym przebieżeniu intuicji wie, co się za chwilę stanie. I wie, że może temu zapobiec. Wie tyle potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy... Musi stanąć na drodze tej rozpędzonej kupie żelastwa. Musi zmienić tor losu. Teraz, natychmiast. Najwyżej zginie. Ale uratuje rodzinę. Wezmą go za samobójcę — co z tego?*

*Nie wierzy do końca. Bzdury. Oszalał czy co? Samochód mija go; za późno na idiotyczne gesty desperata. Jakub widzi głowę kierowcy opadającą na kierownicę — jakby nagle zastąpił albo*

zasnął.

— Neeee! — krzyczy. — Neeee!

Z tym okrzykiem budzi się. Nic nie pamięta; tylko ten osad, który go dławi.

Późne popołudnie; spał bardzo długo. Perspektywa powrotu do regularności już go nie podnieca. Nie bardzo chce mu się żyć. Był szaleńcem. Wariatem. Gumowe ściany — oto łagodna, bezkolizyjna przyszłość, jaka wyraźnie rysowała się przed Jakubem.

Dzwonek. Otwierać, nie otwierać? I tak w końcu wejdą. Otworzył więc.

W drzwiach stał listonosz z paczką w dłoniach.

— Pan Jakub S...? — zapytał. W jego głosie było coś kojącego. A przecież to zwykły listonosz. Listonosze nie przynoszą szczęścia.

— Jest pan pewien, że to do mnie? — zdziwił się Jakub. Nikt go tu nie znał. Nikt nie wiedział, że tu mieszka. Nikt z dawnych znajomych. Nowych nie miał.

— O ile jest pan Jakubem S. Proszę o dowód tożsamości. Dowód tożsamości.

— Czy to pan wrzucił do skrzynki. — Jakub zawahał się — tamten list?

— Jaki list? Gdybym pamiętał wszystkie dostarczane listy. — Listonosz machnął ręką.

Jakub zważył w dłoniach paczkę. Książka?

— Brak adresu nadawcy — zauważył.

— Boi się pan, że to bomba? — zadrwił łagodnie listonosz. Jakub rozpakował. Kasetą wideo.

— Nie mam nawet telewizora, co dopiero mówić o magnetowidzie.

— To dobry film — rzekł z naciskiem doręczyciel.

— A skąd pan może to wiedzieć? — zdziwił się Jakub.

— Bardzo długo pracuję w tej branży. Proszę mi zaufać. Do zobaczenia, panie Jakubie.

— Zegnam.

Przez całą noc Jakub rozważał dylemat — skończyć ze sobą czy też kupić magnetowid? Zdecydował się na rozwiązanie kompromisowe — najpierw magnetowid, potem zejście. Rozpacz powoli ustępowała miejsca ciekawości.

Od bardzo dawna nie był niczego ciekaw.

Kupił sprzęt; sprzedawca zdziwił się, że nie na raty.

Najpierw włączył telewizję; przez chwilę skakał po programach. Jego uwagę przykuły reklamy proszków do tkanin, ponieważ obiecywały lekkość i puszystość. Wciąż tęsknił za bezpowrotnie utraconą lekkością. Może to on był autorem tych reklamówek?

Wreszcie uruchomił magnetowid. Od razu akcja; bez listy płac, bez żadnych napisów. W kadrze samochód, nowy model Opla; ulica mokra od deszczu. Młody mężczyzna za kierownicą; na tylnych siedzeniach — ładna kobieta i dziewczynka.



Śmieją się.

Jakub dopiero teraz zrozumiał – przecież to TEN samochód i TEN dzień. A za chwilę nastąpi TA chwila. Zobaczy siebie wychodzącego na ulicę. Ktoś go sfilmował! Ktoś go śledził! Ktoś robił z niego idiotę! Chciał wyłączyć telewizor, ale nie mógł. Cały czas oglądał, nie potrafił oderwać wzroku. Skrzyżowanie, jeszcze moment.

Teraz.

Nikt nie wyszedł na ulicę. Nie było go tam!

Może to inny dzień. Inny samochód?

Znów wewnątrz wozu. Dziewczynka śmieje się coraz bardziej, Jakub nie wie z czego; film jest kręcony bez dźwięku. Mężczyzna obraca się i patrzy na małą, zniecierpliwiony. Odrywa wzrok od jezdni w złym momencie. Bardzo złym.

Jakub zamknął oczy. Po policzku płynie mu łza. Mój Boże, jak dawno nie płakał. Jak dawno.

Dopiero po jakimś czasie cofnął kasetę. Długo myślał, czy ją odtworzyć raz jeszcze. W końcu zdecydował.

Ale na ekranie był tylko śnieg.

Mówią, że listonosze nie roznoszą szczęścia.

Kilka dni później listonosz przyniósł mu wezwanie do sądu.

Inny listonosz.

## *Cztery pory roku*

Jan Ofiarski z trudem przeciskał się przez tłum wyległy na ulice w godzinie szczytu. Myśl o morderstwie mającym się za chwilę dokonać nawet przez moment nie zaprzętnęła jego uwagi. Czyż stolarz myśli o wykonywanym przez siebie stole? Albo kominiarz duma o zapchanym kominie? Nie, zawodowcy nie myślą o wykonywanych przez siebie zawodach. Dlatego tak rzadko spotyka ich zawód w sprawach zawodowych. Jan Ofiarski bez wątpienia był profesjonalistą, toteż bez reszty pochłonęła go myśl o pewnej zimnej jak ryba dziewczynie pozostającej — mimo usiłowań z jego strony — obojętną na zaloty. Dziewczyna była ładna, miała niezłą figurę i nazywała się Zuzanna Wdzięczna. Nazwisko Zuzanny miało dla Jana wydźwięk gorzko-ironiczny, albowiem rzadko spotykał się z tak czarną niewdzięcznością ze strony przedstawicieli płci przeciwnej, to jest — pięknej.

Przy najbliższym kiosku Ofiarski zatrzymał się, by kupić papierosy. Przypadkowo dostrzegł bijący w oczy tłustym drukiem tekst z pierwszej strony „Wyborczej”: SIÓDME WYDANIE SZATAŃSKICH WERSETÓW! POLSKI TŁUMACZ ZDEKONSPIROWANY!!! WACŁAW NIEZABITOWSKI RANIONY W ULICZNEJ STRZELANINIE PRZEZ FANATYCZNYCH WYZNAWCÓW ALLACHA.

Ruszył w dalszą drogę. Powoli zbliżał się do celu. Przed księgarnią rozprawdającą książkę Rushdiego kłębił się tłum protestujących muzułmanów. Policjanci przechadzali się tam i z powrotem, rzucając spod kasków czujne spojrzenia.

Ofiarski pomyślał, że zamieszanie sprzyja właściwie realizacji jego planów. Zerknął na zegarek.

W tym samym czasie pisarz i felietonista wysokonakładowego dziennika, Jerzy Katowski — mieszkający tuż nad księgarnią — bezskutecznie próbował sklecić pierwsze zdanie nowej powieści. Wreszcie porzucił tę jałową czynność, by bez reszty poddać się cierpieniu, a cierpiał z powodu kaca.

Z racji swej bezkompromisowej twórczości Katowski był człowiekiem powszechnie znienawidzonym. Dlatego pił w samotności. Nie lubił tego. Ale im bardziej nie lubił, tym więcej pił.

Felietony Katowskiego bezlitośnie piętnowały nadużycia przedstawicieli nowych elit; jego prozatorskie teksty miały nietrudny do odczytania klucz. Katowski uwielbiał na przykład nadawać bohaterom znaczące nazwiska. Nazwiska określały postać, determinowały jej los, uwypuklały rysy charakteru, czasem zaś kalamburowo odnosiły się do nazwisk znanych postaci życia politycznego czy artystycznego.

Kilkakrotnie jego mieszkanie nawiedzali funkcjonariusze UOP-u, co nasunęło mu parę nowych pomysłów na zjadliwe teksty. Na jego adres napływały coraz to wymyślniejsze anonimy opatrzone groźbami; jednak Katowski nie przywiązywał do nich wagi.

Dochodzące zza okna okrzyki muzułmanów irytowały Katowskiego.

„Skąd tyle czekolad w mieście?“, pomyślał gniewnie.

Po raz pierwszy miał za złe Rushdiemu całą tę awanturę z *Szatańskimi wersetami*. By zagłuszyć wrzaski, puścił ulubioną płytę — *Cztery pory roku* Vivaldiego. Następnie udał się do kuchni i wyjął zlodówki zmrożone piwo.

Terkot domofonu wyrwał go zkontemplacyjnego nastroju.

— Kto tam?! — warknął.

— Ja w sprawie ogłoszenia. Chodzi o tę posadę. — odezwał się w słuchawce głos Ofiarskiego.

— Posadę? — Katowski przewietrzył pamięć. — A tak. Niech pan wejdzie.

Napał kciukiem na przycisk. Domofon był zdezelowany, należało naciskać całym ciężarem ciała, by uruchomić mechanizm. Udało mu się nie złamać palca.

Ofiarski wszedł do klatki schodowej. Podczas wspinaczki po schodach dopasował tłumik do pistoletu. Nieustannie myślał o Zuzannie Wdzięcznej i wdziękach, których mu poskąpiła. Schował dłoń z pistoletem do obszernej kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza. Pisarz mieszkał na pierwszym piętrze pod numerem trzy. Ofiarski zastukał. Na drzwiach nie było wizytówki.

— Wejść! — usłyszał. Wszedł.

Po mieszkaniu niosły się dźwięki *Czterech pór roku*.

— Zima — rozpoznał Ofiarski.

— Niechże pan wejdzie, proszę — głos Katowskiego dobiegał z jednego z dwóch pokoi. Stamtąd też płynęła muzyka. — Widzę, że zna się pan na muzyce poważnej.

— Po prostu lubię Vivaldiego.

Ofiarski wszedł do pokoju. Katowski spoczywał na rozłożystej kanapie. Pokój był dosłownie zawalony książkami; wznosiły się zakurzone sterty, niemal pod sufit, niczym wieże zaginionych kultur. Na biurku pod oknem stała maszyna do pisania.

— Uwielbiam *Cztery pory roku* — rzekł Katowski. Właśnie kończył piwo.

— Ja w związku z ogłoszeniem. Dzwoniłem do pana. Byliśmy umówieni na piętnastą. Pan, zdaje się, potrzebuje sekretarza.

— Owszem. Ale miał pan się zgłosić o trzeciej, nie o drugiej. Ofiarski zerknął na zegarek.

— Jest dokładnie piętnasta zero dwie. Katowski uśmiechnął się.

— Cóż, widać na kacu czas płynie wolniej.

— To bardzo trzeźwe spostrzeżenie. Zaśmiali się.

— Napije się pan piwa? — spytał Katowski.

— Nie piję w pracy.

— Jeszcze pana nie zatrudniłem.

— Wie pan, co symbolizuje zima? — Ofiarski uznał, że pisarz jest w domu sam i przeszedł do sedna swej wizyty.

— Nie rozumiem.

– Zima symbolizuje śmierć.

Strzelił raz. Na czole Katowskiego wykwitł niewielki otwór, krew popłynęła cienką strużką, jakby nieśmiało. Butelka po piwie bezgłośnie potoczyła się po dywanie.

Ofiarski krzątał się po mieszkaniu. Starł odciski palców z klamek. Już miał opuścić lokal, gdy dostrzegł ślady butów, jakie zostawił na linoleum w przedpokoju. Więc zdjął buty i starł szmatą ślady. Przed oczami stała mu jak żywa postać Zuzanny Wdzięcznej. Postanowił wpaść do niej po pracy.

Prawie był za drzwiami, kiedy nieoczekiwanie budynkiem wstrząsnęła potężna eksplozja. To był moment i już po chwili wszystko umilkło. Ofiarski zerwał się z podłogi i podbiegł do okna. To musiało być złudzenie. Na zewnątrz panował niczym niezmacony spokój; nawet demonstracja muzułmanów zdążyła już się rozproszyć. Raz jeszcze rozejrzał się po mieszkaniu. Trup stygł, gramofon wydał z siebie ostatnie akordy muzyki Vivaldiego, po czym wyłączył się automatycznie.

Ofiarski wyszedł.

Godzinę później pukał do drzwi kawalerki Zuzanny Wdzięcznej. Duszę miał na ramieniu, ponieważ ostatnio spotkał się z chłodnym przyjęciem.

Może idzie o pieniądze, zastanawiał się gorączkowo. Zaraz przypomniał mu się znany aforyzm Orwella: „Kobieta żywi wobec pieniędzy jakieś mistyczne uczucie. W umyśle kobiety dobro i zło oznaczają po prostu pieniądze i brak pieniędzy”.

Zasypię ją pieniędzmi – postanowił.

Drzwi otworzyły się z piskiem zasłużonych zawiasów. Przed Ofiarskim stała piękna Zuzanna. Jakby piękniejsza nawet niż zwykle. Zmieniła uczesanie?

– Wejdz – powiedziała chropawym głosem. Ta wokalna chropawość pociągała Jana najbardziej. Była niczym skaza czyniąca z monet i znaczków białe kruki.

– Niedługo będę miał pieniądze – powiedział Ofiarski, w nadziei, że trafił w dziesiątkę.

– Co z tego? – Zuzanna wzruszyła ramionami i powróciła do smażenia jajecznicę z dwóch jaj.

Chyba jednak nie chodzi jej o pieniądze, zdecydował w myślach Jan i od razu poczuł się lepiej. Bo choć był mordercą, to serce miał gołębie. Kiedyś, jeszcze w mrokach komunizmu, był Ofiarski obiecującym bojownikiem o wolność i demokrację. Wtedy wszystko było jasne jak słońce i prostsze od drutu. Potem świat stanął na głowie. Ludzie, których szanował, błyskawicznie stracili jego szacunek. Wszystko się zamazało, rozwiało, znikło. Pojął względność wszystkich racji i postaw. Zaraz potem – było to konsekwencją jego wewnętrznej relatywizacji wartości – doszedł do wniosku, że mordowanie jest równie dobrym zajęciem, jak każde inne. Został jednym z polskich prekursorów tego trudnego rzemiosła.

– Kocham cię – rzekł Ofiarski do Zuzanny.

– Zjesz jajecznicę?

– Dziękuję, nie jestem głodny.

Zuzanna mimo wszystko nałożyła na talerz pół porcji i postawiła przed Janem. Sama jadła z patelni.

– Ty mnie nie kochasz – stwierdził Jan.

– Nie bądź nudny – westchnęła ciężko Zuzanna. Włączyła radio; nadawano *Cztery pory roku*.

– Zima – szepnął Jan.

– Przecież dopiero zaczęła się jesień – Zuzanna wyjrzała przez okno, jakby w poszukiwaniu śniegu.

Wczoraj mnie wyrzuciła, myślał Jan, dziś okazuje mi obojętność. Postęp to czy regres?

Zuzanna skończyła swoją porcję, Ofiarski swojej nie tknął.

– Dlaczego nie jesz? Zmarnuje się.

Regres, zdecydował w duchu i poczuł, jak ogarnia go rozpacz.

– Pójdę już – powiedział. Zuzanna wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa.

Jan postanowił urznąć się do nieprzytomności w pierwszej napotkanej knajpie.

Przed budynkiem na brudnym kocu siedziała Rumunka w łańchmanach, zumorusanym dzieciakiem w ramionach. Na jej kolanach leżał karton z niegramatycznie zapisaną informacją, że kobieta i dziecko pochodzą z Rumunii i bardzo, ale to bardzo potrzebują pieniędzy.

Jan pomyślał, że ci Rumuni na ulicach polskich miast to jeden wielki wyrzut sumienia. Ciekawe, czy sami Rumuni miewają wyrzuty sumienia?

Potem już nie myślał.

Urznął się w knajpie Pod Ogórkiem. Barman, łysy facet o pooranej twarzy, nieustannie puszczał magnetofonowe nagranie z *Czterema porami roku* i podawał klientom do wódki kiszony ogórek gratis. Po trzeciej setce do Ofiarskiego przysiadł się niewielki, rachityczny osobnik. Przypominał pożółkłe źdźbło trawy nieustannie przyginane do ziemi huraganowym wiatrem. Przy czym ów wiatr był w tym porównaniu metaforą życia.

– Źdźbło jestem – przedstawił się nieznajomy. Od tej pory pili razem, prześcigając się we wznoszeniu nonsensownych toastów. Nie trwało to długo. Źdźbło okazał się człowiekiem niezwykle podatnym na wpływ alkoholu. Już po drugiej wspólnie wypitej kolejce zaśpiewał w rytm *Czterech pór roku* popularny szlagier *Wlaź kotek na płotek*, czym wprowadził barmana w osłupienie. Po następnych dwóch setkach Źdźbło znalazł się pod stołem. Już stamtąd nie wyszedł.

– Pan chyba musi kochać Vivaldiego – rzekł Ofiarski do barmana.

– A kto to?

– Gość, którego muzykę nieustannie pan puszcza.

– Muszę to sobie zapamiętać – mruknął barman i zaraz zaproponował – Może

ogóreczka?

– Nie, dziękuję.

Do Ofiarskiego przysiadła się młoda dziwka. Wyglądała jak kwiat, który uwiadł przed rozkwitnięciem.

– Założę się, że twój fiut ściąga pioruny podczas burzy – powiedziała głosem słodkim jak landrynka.

– Na szczęście mamy słoneczną pogodę. Ale podczas burzy, rzeczywiście, piorunochron jest niezbędny. Pewnie go nie masz, co?

– Chodźmy do mnie. Poszukam w szufladzie.

– Ale ja jestem zakochany.

– Mam nadzieję, że nie we mnie. To jak, idziemy?

– Chodźmy. Jestem ciekaw twojej szuflady.

Po drodze dziewczyna wciągnęła Jana do jakiejś bramy i próbowała go okraść, czemu biernie się poddał. Znalazła pistolet.

– Ja nie wiedziałam. Ja tak tylko. Uciekła.

Pogoda się zepsuła; jął kropić deszcz. Ofiarskiemu wydawało się, że kropi w rytm *Czterech pór roku*. Jesieni.

Obudził się nad ranem w tej samej bramie. Było mu zimno i miał kaca.

Postanowił, że zaraz po odbiorze pieniędzy raz jeszcze odwiedzi Zuzannę. Wóz albo przewóz – zdecydował. Podły nastrój zawsze skłaniał go do podejmowania decyzji ostatecznych.

Ulice zapełniały się spieszącymi do pracy ludźmi.

– Rodacy! – warknął ze złością.

W umówionej kawiarni czekał na Jana człowiek w przeciwsłonecznych okularach. Nadal padał deszcz.

– Zlecenie wykonane – powiedział Ofiarski, przysiadając się do stolika.

– Nie mamy potwierdzenia – odparł nieznajomy. Jadł kremówkę.

– Jak to? A gazety?! – zirytował się Jan.

– Właśnie.

– Może popołudniówki.

– Poczekajmy zatem do popołudnia.

Obym nie wyszedł na tym, jak Zabłocki na mydle – pomyślał Ofiarski, trochę zaniepokojony takim obrotem spraw.

– Mam nadzieję, że nie sfuszerował pan roboty. Pan Zabłocki byłby niepokieszony.  
– nieznajomy zawiesił głos.

– Zabłocki?

– Pański zleceniodawca – wyjaśnił nieznajomy.

Jan przysięgłby, że zleceniodawca nosił zupełnie inne nazwisko. Nie miało to większego znaczenia – w tym fachu nazwiska to rzecz umowna.

— Jak się skontaktujemy? Tutaj? — spytał Jan.

— Nie. Nigdy nie powtarza się dwukrotnie tego samego rozwiązania, powinien pan o tym wiedzieć. Proszę zadzwonić pod ten numer — nieznajomy zapisał cyfry na serwetce. — Kiedy ktoś się odezwie, proszę powiedzieć, że chce pan rozmawiać z Mydłem.

— Pan nazywa się Mydło?

— Powiedzmy. Aha. to również jest rozwiązanie jednorazowe. Jutro nikogo pan już nie zastanie pod tym numerem. Jutro to my pana poszukamy.

Mydło wstał i odszedł pogwizdując pod nosem *Cztery pory roku*.

Przed budynkiem, w którym mieszkała Zuzanna, kłębił się pstrokaty tłumek gapiów. Właśnie odjeżdżała karetka pogotowia. Odjeżdżała bez sygnału. Policyjna suka została na miejscu.

— Co się stało? — spytał Jan najbliższego gapia.

— Jakaś wariatka. Powiesiła się. Podobno napisała coś o samotności i braku miłości. Zebym to ja miał takie problemy.

— Na którym piętrze mieszkała? Młoda, stara?! — dopytywał się Ofiarski. Miał złe przeczucie.

— Coś pan?! Oszalał?! — zirytował się nieznajomy. — Zapytaj pan gliniarzy!

— Z którego piętra?! Młoda?! Mów, do kurwy nędzy!!!

— Podobno młoda... Niczego sobie... Tak mówią...

Jan dostrzegł stojącą opodal sąsiadkę Zuzanny. Podeszedł do niej. Połykała łyżę.

— Panie Janku! — krzyknęła. — Przecież ona. była taka młoda. Pan ją kochał, prawda? To dlaczego napisała, że nikt jej nie kocha?! Dlaczego?!!

— Ja. nie wiem. To koszmar. zły sen. Ja śnię.

— Policja pana poszukuje. Chcą porozmawiać.

— Koszmar. — szepnął Ofiarski.

Szedł przed siebie, nie zważając na nic. Nawet mordercy miewają marzenia. Jego właśnie zostały zamordowane.

Z otwartego okna szarego wieżowca dobywały się płaczliwe dźwięki skrzypiec. Ktoś próbował zagrać *Cztery pory roku*.

— Zima — rzekł Jan.

Noc spędził w hotelu. Po opłaceniu noclegu nie starczyło mu pieniędzy na wódkę. Myślał o Zuzannie. Chyba jednak go nie kochała.

Nie potrafił zasnąć. Wreszcie wstał z łóżka i włączył radio, by zagłuszyć myśli. Wiedeńska Orkiestra Symfoniczna wykonywała właśnie *Cztery pory roku* Vivaldiego. Dopiero wtedy zrozumiał, że coś jest nie tak. Ta muzyka stale go prześladowała. I to dokładnie od momentu zamordowania Katowskiego.

Postanowił zainkasować pieniądze i wynieść się z miasta. Tak, jakby miasto było tu

czemukolwiek winne. Odnalazł zmiętą serwetkę z numerem telefonu i zadzwonił. Sygnał. Nikt nie odbierał. Przypomniał sobie słowa Mydła: „Jutro to my pana odzujemy”.

Zbiegł na dół i kupił w sklepie całodobowym popołudniówkę. Przewertował w pośpiechu. Nic! Ani słowa o morderstwie, a przecież Katowski był powszechnie znany.

– To jednak koszmar – mruknął. Przypadkowo jego wzrok zatrzymał się na plakietce z personaliami sprzedawczyni. Nazywała się Koszmarska.

– Ma pani jakąś ulubioną melodię? – spytał Jan.

– Ulubioną melodię? – spojrzała na Ofiarskiego ze zdumieniem. – Nie wiem. Zaraz, zaraz... właściwie to tak. Lubię *Cztery pory roku*. Dlaczego pan pyta?

Jan uśmiechnął się gorzko.

To sen, pomyślał, zły sen. Wystarczy się obudzić. Po prostu obudzić.

Bez zwłoki udał się na dworzec kolejowy. Nie miał pieniędzy na bilet.

– Trudno – mruknął. Wsiadł do wagonu.

– Dokąd jedziemy? – spytał pierwszego z brzegu pasażera.

– Pijany czy co? Ten pociąg jedzie do Szczecina.

– Trzeźwy, niestety. A Szczecin może być.

Wszedł do pustego przedziału. Pociąg ruszył z szarpnięciem wagonów. Ofiarskiego nurtowała uporczywie jakaś myśl, szczegół, który tkwił w pamięci jak cierni, lecz został przeoczony. Czyjeś nazwisko. Nazwisko... pisarza? Rosyjski pisarz. Trifonow! I jego *Niecierpliwość!* W tym utworze nazwiska bohaterów nabierały szczególnego znaczenia, warunkowały życiorysy, guasi-byt postaci. Podobną technikę pisarską stosował przecież Katowski.

– Nazwiska! – krzyknął Ofiarski w nagłym olśnieniu. – Żdźbło, Mydło, Zabłocki.

– Oczywiście, mój niedoszły sekretarzu. Nazwiska – odezwał się znajomy głos.

– Ty! – krzyknął Jan.

Stał przed nim Jerzy Katowski, w niezłej, na pierwszy rzut oka, formie. Czoło miał gładkie i nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek tkwiła w nim kula.

– Jednak sfuszerowałem – mruknął niechętnie Ofiarski.

– Pocieszę cię – trafiłeś bez pudła. Ze mnie jest zimny trup. Z ciebie zresztą również.

Katowski uśmiechnął się.

– Nie rozumiem.

– Pamiętasz chyba eksplozję, która targnęła budynkiem? Twoje zmysły musiały to zarejestrować. To był zamach terrorystyczny. Jakiś muzułmański fanatyk wysadził w powietrze księgarnię, nad którą mieszkałem. Pokój, w którym obaj się znajdowaliśmy, zapadł się, a ty zginąłeś w rumowisku.

Nie wiedzieć skąd, w powietrzu popłynęła muzyka. *Cztery pory roku*.

– Zima to symbol śmierci, pamiętasz? – Katowski zaśmiał się.



– A skąd wzięło się to miasto?! Pociąg?! Ci wszyscy ludzie?!

– Nie chwaląc się, to moje dzieło. Mówiąc całkiem szczerze, jesteś w mojej całkowitej władzy, Janku. I nie pytaj mnie, jak to się mogło stać, bo sam tego do końca nie rozumiem. Może to forma boskiej sprawiedliwości? Ofiara staje się katem i na odwrót – kat ofiarą. A może, jako pisarz, dysponuję większą potencją kreatywną niż ty? Albo stało się tak, a nie inaczej, bo miałem nad tobą marne dwie minuty przewagi? Dwie minuty tutaj to cała wieczność... wszystkie te przeszkody monstrualnie się przed tobą piętrzące, to, rzecz jasna, moja zasługa. A to dopiero początek. Twój zleceniodawcy są już na tropie. Będziesz musiał niezłe się nagimnastyko-wać, by zmylić pogoń. Może po drodze udzieli ci schronienia jakaś piękna dziewczyna, w której się zakochasz, a która wystawi cię do wiatru lub umrze? Wiesz, jako autor fabuły, mam całe mnóstwo dramatycznych pomysłów, których za życia nie zdążyłem zrealizować. Będę chyba musiał pogrzebać w szufladzie. – zachichotał. – A tak swoją drogą – wiesz, co symbolizują pory roku?

Ofiarski milczał.

– W symbolice chrześcijańskiej pory roku oznaczają nadzieję na zmartwychwstanie i życie wieczne. Wiiiiieczność. To piękne słowo. Ale czas już na mnie.

– Poczekaj – zatrzymał go Ofiarski. – Więc te wszystkie nazwiska, te mydła i powidła, trawy myślące to tylko twoje sztuczki, tak?

Katowski przyglądał mu się z ciekawością.

– A zastanawiałaś się – kontynuował Ofiarski – nad brzmieniem naszych nazwisk? To też twój pomysł? Czy też idea Kogoś innego?

Katowski rozplątał się jak poranna mgła. Nim to jednak nastąpiło, Jan dostrzegł, że trafił celnie. Jeśli był to jednak triumf, to gorzki.

Muzyka wciąż grała.

Zrozumiał, że znalazł się w potrzasku. Dworce wszystkich mijanych miejscowości okazały się ludzaco podobne. Ofiarski podejrzewał, że podobnie jest z samymi miejscowościami. Kreatywne możliwości Katowskiego nie były obezwładniające. Był mistrzem pierwszego planu; tło zamazywało się jednak.

Szczecin wyglądał dokładnie tak samo jak inne miejscowości.

Na dworcu już na Jana czekali. Pierwszy zamachowiec fatalnie sfuszerował. Miast próbować podejść bliżej, strzelił z daleka. Skutek tego był opłakany: kula trafiła kobietę na lewo od Ofiarskiego. Wywiązała się strzelanina. Postronni przechodnie nie od razu zorientowali się w sytuacji. Strzałów – za sprawą tłumików – nie było słychać. Kiedy jednak ofiarą wymiany cichego ognia stało się troje Bogu ducha winnych ludzi, wybuchła panika. Jan wykorzystał nadarzącą się okazję i kryjąc się za żywym parawanem, opuścił dworzec. Napastników było czterech. Jednego Ofiarski trafił w nogę, zresztą przypadkiem, kula zrykoszetowała. Przez dworcowe głośniki płynęła muzyka Vivaldiego i niosła się daleko w miasto-niemiało.

Jan biegł długo, aż zabrakło mu tchu. Dopiero wtedy pojął irracjonalność swego zachowania. Po co i przed czym uciekał? Jak długo może trwać wieczność?

Zrozumiał, że długo w ten sposób nie wytrzyma. Wtedy przyszło mu na myśl rozwiązanie pozornie oczywiste, ale i ostateczne. A ostateczne rozwiązania nigdy nie są do końca oczywiste.

Nie chciał po raz kolejny spotykać na swej drodze życiowej dziewczyny, która umrze w nieodpowiednim momencie lub, co gorsza, da mu kosza. Nie uśmiechało mu się również być głównym bohaterem ostatniego dzieła martwego pismaka. Więc pomyślał o samobójstwie. Tkwił w tym paradoks: czy nieboszczyk może popełnić samobójstwo? Paradoks pozorny, albowiem śmierć nie oznacza końca wszystkiego (teraz już o tym wiedział), lecz tylko przełom, przejście z jednej rzeczywistości w inną. Zatem samobójstwo mogło oznaczać ucieczkę. Była to jego ostatnia szansa.

Zaszył się w bramie, która przypominała wszystkie inne bramy tego „świata”. Przyłożył pistolet do skroni i ostatnią szansę wykorzystał.

Przenikliwy ból głowy sprawił, że odzyskał przytomność. Z trudem otworzył oczy.

— Obudził się! — jakby znajomy głos.

Leżał w szpitalnym łóżku w izolatce. Pochylał się nad nim lekarz — młody, wysoki i najwyraźniej zmęczony. Obok lekarza stała. Zuzanna Wdzięczna. Łzy rozmazywały makijaż na jej twarzy.

— Nareszcie. — wyszeptwała. — Czekałam.

— Miał pan cholerne szczęście — powiedział lekarz. — Wygrzebali pana spod tego zwaliska dopiero po pięciu godzinach. Ostro walczyliśmy o pańskie życie. o, ale teraz proszę odpoczywać. Gdyby pan czegoś potrzebował. jestem pańskim lekarzem prowadzącym. Nazywam się Beznadziejski.

— Beznadziejski — powtórzył Jan i nagle wszystko sobie przypomniał. — Więc to był tylko sen.

Lekarz wyszedł.

— Włączcie jakąś spokojną muzykę — Beznadziejski wydawał komuś polecenie na korytarzu. — Przy dźwiękach muzyki szybciej goją się rany. To naukowo udowodnione.

I szpitalnym korytarzem dostojnie popłynęła muzyka. Jan pomyślał, że przy jej dźwiękach jego rany nigdy się nie zagoją.

Znał tę muzykę. Aż za dobrze. Antonio Vivaldi. *Cztery pory roku*. Zima.

## *Padlina*

*Forma świata stawała się nierzeczywista,  
Jak szkic, co przestał nęcić  
Na płótnie zapomnianym, który artysta  
Kończy już tylko z pamięci  
Charles Baudelaire, Padlina<sup>2</sup>*

*Ulica. Jaka to ulica? Wokół mrok. To chyba ulica P-kiego, słynąca z notorycznie rozbijanych latarni. Najciemniej bowiem jest pod rozbitą latarnią.*

*Przypominam sobie — jestem tu z powodów prozaicznych. Mianowicie, pewna dziwka o uroczym imieniu Joanna odmówiła mi spłacenia długu wdzięczności i wystawiła do wiatru. A wiatr jest zimny, z gatunku „wyciskaczy łez”. Na taki afront ze strony kobiety lekkich obyczajów, jako stróż porządku publicznego (dwadzieścia trzy lata czynnej służby), nie powinienem pozwolić. Takie wypadki podważają prestiż zawodowy (w badaniach sondażowych policja znajduje się na trzecim miejscu wśród instytucji cieszących się społecznym zaufaniem, wiadomo po kim). A jednak pozwoliłem. Joanna, mimo że lekko się prowadzi, jest kobietą z moich snów.*

*Miauczenie kota. Jest w lepszej ode mnie sytuacji — widzi w ciemnościach.*

*— Widzę cię! — słyszę znajomy męski głos.*

*Nie mogę sobie przypomnieć, skąd go znam, ale znam na pewno.*

*Sen wydał mi się dziwny. Niepokojąco realny, prawie „na wyciągnięcie ręki”. Obudził mnie chłód, przenikliwy jak igła. Jesień objęła świat w swe tymczasowe posiadanie. Zółkły liście, powietrze nasiąkało wilgocią, starzała się trawa, nie wspominając już o mnie. Zaczął się coroczny, nabierający z dnia na dzień rozpędu proces rozkładu. Taka już jest kolej rzeczy.*

*Spojrzałem na swoje lustrzane odbicie: wory pod oczami, które boksowała starość, siwiejące skronie, zatoki wżerające się zwycięsko w czuprynę.*

*— Cholera z taką koleją rzeczy! — powiedziałem na głos.*

*Zjadłem wysokokaloryczne i przepełnione cholesterolem śniadanie, po czym udałem się do pracy.*

*Ludzie powiadają, że O. to jedno z piękniejszych miast na świecie. Osobiście lubię je z powodów sentymentalnych: pierwsza kobieta, pierwsza wódka, ostatni przyjaciel, ostatnia kobieta.*

*Po drodze kupiłem w kiosku „Wyborczą”. Gość stojący za mną w niewielkiej kolejce popatrzył na mnie z dezaprobatą. Pewnie kupi „Gazetę Polską”. Diabła tam. „Wyborcza” ma świetną rubrykę sportową.*

*Było cholernie zimno, nawet jak na tę porę roku. Opatuliłem się prochowcem,*

---

<sup>2</sup> Wszystkie fragmenty Padliny Charlesa Baudelaire’a w przekładzie Mieczysława Jastruna.

równie dobrze mógłbym się ocieplać folią.

W komendzie wojewódzkiej panowała senna atmosfera, tylko jakiś facet usiłował dyskutować zwerdyktem alkomatu. Granatowe mundurki snuły się bez sensu po korytarzach, czekając na porę patrolu.

Dotarłem do mego pokoju. Na wyposażeniu znajdowało się — krzesło obrotowe, białe, lecz lakier złuszczony, nadto niewygodne jak diabli; biurko z telefonem i zakurczonym komputerem, który nie był bynajmniej zakurzony z powodu jakiegoś nadmiernego zapylenia powietrza. Do tej pory nie miałem czasu, by przeczytać instrukcję obsługi. Okno wychodziło na policyjny parking.

Przerzuciłem „Wyborczą”. Znany pisarz palnął sobie w łeb, potwierdzając mą starą tezę o rabunkowej gospodarce szarymi komórkami, jaką uprawia gatunek *homo* (rzekomo) *sapiens*.

Jednak gdzieś na granicy świadomości wciąż pamiętam o śnie. Tak. Skądś znam ten głos. Czuję na plecach gorący oddech natręctwa; myśl o śnie zagnieździła się we mnie chyba na stałe.

Na szczęście ktoś zapukał do drzwi. Może jakiś mord? — odzywała się we mnie nadzieja.

Nie oderwałem wzroku od gazety, by nie sprawiać wrażenia człeka złaknionego pracy. Pukającym był listonosz — nie było u drzwi dzwonka, więc zapukał dwa razy, jak na listonosza przystało. Zostawił przesyłkę, ja ze swej strony dałem mu autograf. Nie przyjrzałem mu się i już za chwilę miałem tego żałować.

Nawet rozpakowując paczkę, myślałem o znajomym głosie re-zonującym pod czaszką. Sny nigdy na dobre nas nie opuszczają.

W tekturowym pudełku, owinięta starannie folią, znajdowała się ludzka dłoń pozbawiona palców.

Zrobiło się jakby jeszcze chłodniej, przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz, który nazywałem chichotem organizmu. Na paczce nie było adresu. Ani nadawcy, ani też odbiorcy.

Wybiegłem na korytarz z odbezpieczonym pistoletem służbowym.

— Widział ktoś listonosza?! — krzyknąłem. — Brać go!

Z zewnątrz musiało to wyglądać surrealistycznie — gliniarz z odbezpieczonym gnatem nawołuje do nagonki na listonosza.

Sierżant Sawicki wychodzący akurat z Działu Kadr spojrzął na mnie z jawnym przestraczem. Poczulem chwilową i szybko wędnącą satysfakcję — trudno go było wyprowadzić z równowagi. Jakiś mundurowy, na widok broni rzucił się na podłogę. Pewnie pomyślał, że nie biorę łapówek od miejscowych biznesmenów i głód odebrał zdrowie moim zmysłom.

Pobiegłem korytarzem w stronę schodów. Zbiegłem na dół, pokonując po trzy, cztery stopnie naraz.

– Listonosz! – krzychałem wciąż. – Gdzie jest listonosz?!

Wypadłem na ulicę. Za mną gromadził się tłum funkcjonariuszy gotowych do natychmiastowej interwencji, gdybym na przykład ni z tego, ni z owego otworzył ogień do przechodniów.

Rozglądałem się wokół, niepotrzebnie rejestrując szczegóły. Przejeżdżał tramwaj numer 666 i autobus numer 704. Uliczna kwiaciarka sprzedawała astry. Niebieskie. Facet w czarnym berecie obserwował mnie z uwagą. Trudno było nie zwrócić na mnie uwagi. Listonosz, niech go diabli, rozplynął się jak mgła.

– Inspektorze Opierunek! – władczy głos szefa, nawykły do wydawania poleceń służbowych. Anegdota mówiła, że komisarz próbował wydawać polecenia służbowe aurze, ale ta nie zawsze go słuchała.

Komisarz Józef Napierało, trzydzieści sześć lat nieposzlakowanej służby.

– Co pan wyprawia? Zabezpieczyłem i schowałem broń.

– Ścigam osobnika podającego się za listonosza, panie komisarzu. Napierało spojrzał na mnie tym swoim ciężkim wzrokiem. Jego oczy to dwa szare głązy.

– To jeszcze nie zbrodnia, inspektorze.

– Moje działania mają charakter prewencyjny. Sądzę, że powinien pan coś zobaczyć, panie komisarzu.

W moim pokoju milczeliśmy jakiś czas.

– Cóż. – westchnął ciężko Napierało – myślę, że powinni na to rzucić okiem specjaliści.

W takich chwilach człowiek powinien zrobić coś dla zdrowia. Ja zwykle wsiadałem do pociągu i wysiadałem w N. Jechało się tam, przez lasy i pola, jakieś piętnaście minut. Wracałem z powrotem pieszo, co zajmowało około dwóch godzin. Po drodze można było zbierać grzyby, o ile akurat nie była to zima. Nie skorzystałem jednak z tej jakże kuszącej ewentualności.

Na przesyłce znaleziono wyłącznie moje odciski palców.

Lekarz sądowy, szpakowaty starszy pan o zielonych oczach, patrzył na dłoń bez zainteresowania.

– Proszę nie oczekiwać jakichś rewelacji – mruknął. – Być może Amerykanie odczytaliby DNA, ale nie my. Nie widzę tu żadnych wskazówek, które.

– Dobrze by było, gdyby morderca zostawił ofierze choć wskazujący palec, tak? – przerwałem mu. Sarkazm był tutaj jak najbardziej nie na miejscu, jednak technik od zbierania odcisków natychmiast podjął:

– Gdyby zaczął od głowy, zaoszczędziłby nam mnóstwa pracy...

– Najlepiej, gdyby zaczął od swojej – dorzucił fotograf.

– A może to jakiś żartowniś? – zapytał retorycznie technik. – Obciął sobie dłoń, podesłał nam, a teraz siedzi w domu, pije herbatę i zaśmiewa się do łez.

– Wystarczy – warknął Napierało.

Lekarz nie przejął się naszą wymianą zdań i, nie wykazując w głosie namiętności, kontynuował, bardziej w kierunku dyktafonu niż zgromadzonych:

— To prawa dłoń, najpewniej odpiłowana. Rasa biała. Sądząc po owłosieniu i rozmiarach, mamy tu do czynienia z kończyną mężczyzny.

Wyszedłem na korytarz. Kiedy zapalałem papierosa, lekko trzęsły mi się dłonie.

Do paczki przyczepiona była kartka z odręcznym napisem następującej treści:

*Przypomnij sobie, cośmy widzieli, jedyna,*

*W ten letni tak piękny poranek:*

*U zakrętu leżała plugawa padlina*

*Na ścieżce żwirem zastanej.*

— I co ty właściwie o tym myślisz, Czesiu? — zapytał Napierało, gdy już zostaliśmy sami. Siedzieliśmy w jego gabinecie, przestronnym jak hala widowiskowo-sportowa wzniesiona w O. z okazji któryś tam z kolei dożynek.

— Wariat, socjopata, ciężkie dzieciństwo, kompleks Edypa. I tak dalej — odparłem.

Komisarz westchnął ciężko.

— Jest nadzieja, że nie będzie likwidował kolejnych ofiar, tylko podeśle nam w kawałkach tę jedną.

W jego głosie naprawdę pobrzmiwała nadzieja.

— Nie sądzi pan, że robi się coraz chłodniej? — zmieniłem temat.

— No a ten cytat? Co to niby ma znaczyć?

— Poeta i rzeźnik w jednej osobie. Rzadkie, lecz nie niemożliwe. To świadczy o jego bujnej osobowości. Pewnie kocha przyrodę, lecz ludzi nie uznaje za jej immanentną część, wręcz przeciwnie.

— Jak sądzisz. — urwał i przyjrzał mi się uważnie, jakby widział mnie po raz pierwszy. — Dlaczego wybrał akurat ciebie?

— Może słyszał o mojej reputacji.

W pewnych kręgach rzeczywiście byłem znany. Uchodziłem mianowicie za wybitnego specjalistę od zamykania spraw nie do rozwikłania. Jeśli śledztwo nie rokowało szans na sukces, natychmiast je przejmowałem i wykazywałem dobitnie, że wykrycie przestępcy jest niepodobieństwem. Śledztwo zamykano, a wszyscy zainteresowani — nie wyłączając z tego grona zbrodniarza — oddychali z ulgą. Byłem zatem człowiekiem użytecznym i pocziwym, nikomu służbowo nie zagrażałem i dlatego nikt nie usiłował mnie wygryźć z zajmowanego stanowiska. Zresztą, z czego tu wygryzać?

— Sprawa jest twoja, Czesiu. Spodziewałem się tego.

— I jeszcze jedno — zatrzymał mnie w drzwiach. — Przydzielam ci asystenta. Jest młody, zielony i nadmiernie rozgarnięty. Przytnij go do obowiązujących standardów, żeby mnie nie wygryzł ze stanowiska przed emeryturą. Nazywa się Kipiel i jest świeżo po szkółce w Sz. Okaż radość.

Cieszyłem się. Może nie było tego po mnie widać — jestem w końcu skrytym człowiekiem — ale cieszyłem się jak diabli.

Dłoń należała do mężczyzny lat około czterdziestu pięciu. Grupa krwi zero Rh+. Znaków szczególnych brak, nie licząc oczywiście odpiłowanych palców. Palce najprawdopodobniej zostały odpiłowane już po zgonie. Na temat przyczyn śmierci nie można było powiedzieć nic konkretnego. Poza tym okazało się, że morderca nie był autorem wiersza, chyba, że za zbrodniarza uznać Charlesa Baudelaire'a, XIX-wiecznego poetę francuskiego. Wiersz nosił tytuł *Padlina*, co nasuwało dość jednoznaczne skojarzenia.

Nie mogłem sobie przypomnieć fizys dostarczyciela przesyłki. Listonosz w ogóle był niepokojącą postacią. Prócz mnie nikt go nie zaobserwował, co wydawało się niemożliwe. Dyżurny zarzekał się, że nie wpuszczał żadnego listonosza, że w ogóle nikt nie wchodził do komendy w tym czasie. Więc jak właściwie się tu dostał i dlaczego nikt go nie zauważył?

Siedziałem w zaciszu mego pokoju i zastanawiałem się nad przesłaniem tych fraz z Baudelairowskiej *Padliny*, kiedy drzwi rozwarły się bez pukania, a przede mną stanął młody człowiek o twarzy pozbawionej zarostu. Albo natura mu zaoszczędziła, albo był geniuszem golarstwa.

— Melduję się na rozkaz, panie inspektorze — rzekł tonem zdecydowanym.

— A kto się właściwie melduje?

— Stażysta Kipiel.

— Niech pan siada i spróbuje okazywać mniejszy entuzjazm do wykonywanych czynności służbowych. Entuzjaści budzą we mnie nieufność.

— Dziękuję, postoję, panie inspektorze.

I stał, w postawie zasadniczej, co gorsza. Tymczasem ja przeglądałem w milczeniu akta sprawy. Wyglądał na człowieka samotnego jak odpiłowany palec, niepewnego swej pozycji w hierarchii służbowej i pozasłużbowej. Był to jednak pozór, o czym natychmiast boleśnie się przekonałem.

— Wiele o panu słyszałem, inspektorze — odezwał się niepytany. Zraził mnie do siebie tą odzywką, bo albo kłamał w żywe oczy, albo też mówił prawdę.

— Co pan o mnie słyszał?

— Przez wielu jest pan uznawany za najgorszego policjanta w powojennej historii O. Mówił prawdę.

— Jest pan niewątpliwym posiadaczem jaj, panie Kipiel. Nikt ich panu raczej nie odbierze, ale na wszelki wypadek niech pan ich pilnuje. Jak pan widzi, mamy w mieście hobbystów zainteresowanych szczegółami anatomii mieszkańców O. To rada starszego kolegi po gumowej pałce i ma pan obowiązek się do niej zastosować. Przejdźmy jednak do konkretów. Zna pan fakty?

— Ze słyszenia.

– Rozumiem, że jest pan tak zwanym wzrokowcem. Niech pan to przejrzy. –  
podałem mu teczkę z aktami – i podzieli się ze mną swoimi cennymi spostrzeżeniami.

Przeglądał ekspertyzy i naturalistyczne fotki niemal przez trzy minuty.

– Zemsta? – odezwał się. – Zapuszkował pan kogoś, a teraz on panu przysłał  
dziwną paczuszkę.

– Błyskotliwa dedukcja. Ja pójdę tym tropem. Pan natomiast. – udałem namysł.

– Tak? – zniecierpliwił się.

– Pan sprawdzi w bibliotekach, kto ostatnio trawił czas na lekturze Baudelaire'a.

– Przecież morderca mógł czytać *Padlinę* przed laty i teraz cytować z pamięci. Mógł  
mieć *Kwiaty zła* w swojej biblioteczce domowej. Albo po prostu korzystał z czytelní, tam  
nie prowadzi się rejestru wypożyczanych książek.

– Trudno. Liczmy na szczęście. Ma pan dwadzieścia cztery godziny na  
sporządzenie listy. Zegnam.

– Pańskie metody śledcze są szczególne, inspektorze.

– Nie istnieje odpowiednia kategoria, do której dałoby się zakwalifikować moją  
metodę śledczą. To by oznaczało ograniczenie naturalnej inwencji, należy być  
elastycznym w postępowaniu, stażysto Kipiel. Jak to kiedyś ładnie określiła Agatha  
Christie: „Przypadek jest ślepy detektywem”.

– Prawdopodobnie chodziło jej o to, że w dochodzeniu nie należy się zdawać na  
przypadek.

– Inaczej to interpretuję. Dokładnie odwrotnie, mówiąc szczerze.

– Nie wierzę w przypadek jako metodę, panie inspektorze. W ogóle nie wierzę w  
przypadek.

– Wie pan... Prowadziłem kiedyś śledztwo w sprawie kilku mordów powiązanych  
ze sobą wyłącznie narzędziem zbrodni. Był to nóż kuchenny, nieco podrasowany.  
Śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów, ofiary nie miały ze sobą nic wspólnego, w  
żaden sposób nie dawało się ująć zbrodniarza w jakieś oczywiste schematy.

– I? – zainteresował się Kipiel.

– Któregoś dnia facet powiesił się we własnym mieszkaniu, zostawiając list, który z  
kolei nie zostawił żadnych wątpliwości – to on był mordercą. Okazało się, że cierpiał  
na syndrom „ramienia ślepego losu”. Wychodził na ulicę i zabijał przypadkowo  
dobraną ofiarę. Przypadkowo dobraną – podkreśliłem.

– Przypomniał mi się zgrabny aforyzm na temat przypadku.

– Umieram z ciekawości.

– Anatole France to wymyślił. „Przypadek jest być może pseudonimem Boga, kiedy  
On nie chce się podpisać”.

– Przypominam, że ma pan dużo pracy, Kipiel.

Wyszedł, a ja zostałem wreszcie sam na sam ze swoimi myślami. Było ich tyle, że nie  
mogłem narzekać na samotność.



*Skąd ja znam ten głos?*

*— Z kim mam przyjemność? — pytam.*

*— Śmierć nie należy do przyjemności, inspektorze...*

A więc sen okazał się cholernym serialem. Oto ekwiwalent, jaki otrzymałem od losu w ramach rekompensaty za zniszczony po ostatnich mistrzostwach świata w piłce nożnej telewizor. Spojrzałem na zegarek — zdrzemnąłem się ledwo; spałem niespełna pół godziny.

Zasnąłem nad aktami spraw, które — z pomocą przypadku — udało mi się doprowadzić do szczęśliwego końca. Nie było tego wiele, zatem moja reputacja była usprawiedliwiona. Czesław Opierunek, inspektor, specjalista od zamykania spraw nierokujących nadziei na spektakularny sukces, nieudacznik bliższy emerytury niż awansu społecznego.

Patrzyłem na fotografie ludzi, którzy mogli nie darzyć mnie sympatią. To już taka specyfika zawodowa — podobnie jest z kanarami, komornikami i mordercami. Chorobą zawodową gliniarzy jest poczucie braku społecznej akceptacji (mimo że zajmujemy trzecie miejsce w wiadomym rankingu).

Wiesław Zimoch nie dawał mi spokoju. Zamknąłem go siedemnaście lat temu, u progu niezłe zapowiadającej się kariery. Niedawno wyszedł, skrócono mu odsiadkę za dobre sprawowanie. Z Zimochem była podobna historia, jak ze słynnym w swoim czasie Łomiarzem. Podczas odsiadki wyroku za rozbój, na przepustce zamordował kobietę. Sprawa była problematyczna, nie wszystkie dowody znalazły swoje potwierdzenie, sam Zimoch nigdy nie przyznał się do winy. Oczywiście, ja znałem prawdę. Obaj ją znaleźliśmy. Dostał dwadzieścia pięć lat, osiem mu umorzono. Mogłem go zdenerwować. Przecież kochaliśmy tę samą kobietę. Miłość do jednej kobiety łączy mężczyzn; oznacza, że są do siebie podobni. Jest to więc bezkompromisowej nienawiści.

Czy Zimoch nienawidził mnie do tego stopnia, by podszyłać w kawałkach czyjeś zwłoki? Był w każdym razie numerem jeden na liście podejrzanych i musiałem, chcąc nie chcąc, podjąć pewne środki ostrożności.

Rano, kiedy myłem zęby, przytrafiła mi się zabawna historia. Z tuby, miast pasty, posypał się biały proszek.

Na ulicy dał mi się we znaki chłód jesienny. W komendzie stażysta Kipiel czekał na mnie z listą bibliotecznym użytkowników Baudelaire'a.

Dopiero teraz przyjrzałem się Kipielowi uważniej. Pomyślałem, że kolczastość jego charakteru to tylko pozór, wcale nie był złośliwym skurwysynem, na którego pozował. Cynizm właściwy jego pokoleniu był maską, pod którą zapewne kryła się nieśmiałość, nadwrażliwość i — być może — brak powodzenia u kobiet. Podejrzewałem, że gdyby miał wyznać miłość jakiejś dziewczynie, uczyniłby to za pomocą listu umieszczonego w butelce, wysłanego drogą morską i podpisanego inicjałami. Albo — co bardziej praw-

dopodobne — internetu. Parszywe czasy — łatwiej dziś przespać się z kobietą niż z nią porozmawiać. Z drugiej strony — miało to i swoje dobre strony.

Rzucił na stolik plik gęsto zapisanego papieru. W odpowiedzi pokazałem mu inną, znacznie mniej obszerną listę ludzi, którzy nie darzyli mnie sentymentem.

— Proszę porównać obie listy — zadysponowałem. — Jeśli któreś nazwisko powtórzy się, proszę mnie natychmiast zawiadomić.

Targowisko przy stadionie było ucieleśnieniem idei chaosu, istnym wrzodem na dupie naszego wspaniałego miasta. Wieczorami opustoszały teren przypominał krajobraz po eksplozji jądrowej. Nędza oraz rozpacz, góry śmieci i zwały opakowań po wszelkiego rodzaju towarach. Wówczas do akcji wkraczali niechętnie rycerze zmierzchu, czyli bezrobotni na tymczasowym nędznym etacie. Ich czynności porządkowe niosły z sobą nutę tragizmu i absurdu — chaos zawsze wygrywał. I wszystko wskazywało na to, że kiedyś wreszcie wygra ostatecznie.

Denerwowały mnie ruskie odzywki, ale próbowałem tego nie okazywać. Byłem wszak profesjonalem, co zobowiązywało mnie do unikania zachowań ksenofobicznych, nawet usprawiedliwionych.

Pośród zwałów wszystkiego poszukiwałem człowieka — przestępcy — który wiele mi zawdzięczał. Zabrało mi to jakieś piętnaście minut. Podszedłem i lekko trąciłem go w ramię, na co zareagował nerwowo.

— Chto? — zapytał.

— Nie poznajesz mnie?

— Izwie... tfu! Siła przyzwyczajenia... Niech to diabli, na tym przeklętym targowisku co drugi człowiek jest pierdolonym Ruskiem. Dzień dobry, panie inspektorze. Szuka pan czegoś? Mogę tanio załatwić.

— Szukam waltera — przerwałem mu.

— Waltera? Nie znam.

— Nie wygłupiaj się. I żeby nie był trefny. Mam ci może przypomnieć o.

— Nie trzeba. Będzie pan wieczorem w domu?

— Będę.

Pod więzienie pojechałem taksówką. Więzienie w O. było ponurym świadectwem osiągnięć estetyki architektonicznej realnego socjalizmu. Mieściło się w samym centrum miasta, opodal ratusza, co mogło być wynikiem specyficznego poczucia humoru planisty. W razie korupcyjnych nadużyć władz miasta, droga do mamra nie była długa.

Naczelnik Koper, jowialny pan po sześćdziesiątce, był moim dobrym znajomym. W lepszych czasach grywaliśmy w pokera. Rzadko wygrywałem, więc przyjął mnie bez zbędnych ceregieli.

— Chodzi o Zimocha — powiedziałem po wymianie uwag na temat czasu, który dla nas nie płynie.

— Ponury skurwysyn. — mruknął niechętnie Koper.

– Kiedy wyszedł?

– Niedawno. Zaraz sprawdzę.

Podszedł do stalowej szafy z oznaczonymi alfabetycznie przegrodami. Przypominało to katalog biblioteczny. Nad szafą wisiał portret pierwszego wybranego demokratycznie prezydenta III (lub IV) RP.

Koper wysunął przegrodę oznaczoną literą Z i przez jakiś czas wertował karty.

– Moglibyście wpisać dane do systemu, byłoby szybciej – zauważyłem.

Popatrzył na mnie dziwnie i powrócił do przerwanej czynności.

– Wyszedł na wiosnę. Tego roku. Dokładnie siedemnastego kwietnia.

– Macie tu więzienną bibliotekę, prawda?

– Owszem.

– Dałoby się zorganizować listę lektur Zimocha?

– Wykaz lektur? Zimocha? – zdziwił się. – Nie wiem, czy on potrafił czytać.

Podobno przeglądał Catsa, czasem zaglądał do NIE...

– Znasz na pamięć lektury wszystkich swoich więźniów? – zapytałem ironicznie.

– O swoich więźniach wiem wszystko – odparł z pełną powagą.

– Jesteś pewien, że nie czytał żadnych książek?

– Tak.

– Dzięki. Trzymaj krótko tych drani.

– Nic z tego, cholera. Sam wiesz, Czesiu. Ta pierdolona liberalizacja przepisów. W następnych wyborach głosuję na prawicę. Nie wykonaliśmy tu wyroku śmierci od.

Wyszedłem.

Na wycieracze pod drzwiami mojego mieszkania leżała starannie opakowana przesyłka, uderzająco podobna do tej z komendy. Bez adresu.

Zapukałem do sąsiadki, która miała zwyczaj obserwować świat przez judasza.

– Dzień dobry. Może pani widziała, kto tu zostawił tę paczkę? – zapytałem.

– Dlaczego pan myśli, że mogłam zobaczyć? Co to ja nie mam według pana nic innego do roboty?! – Była oburzona, co akurat nie objawiało się u niej w jakiś spektakularny sposób. Był to bowiem naturalny stan jej organizmu.

– Jest pani pewna? To ważne.

Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Wizjer błyskawicznie zaczął się zacemniać, co było spowodowane odcięciem dopływu światła po tamtej stronie drzwi.

Wszedłem do mieszkania po jakąś ścierkę. Wizjer sąsiadki wciąż wciąż był zaciemniony. Miałem ogromną ochotę przestrzelić go na wylot, by utorować drogę światłu. Wizjery, niczym kwiaty, bardzo potrzebują światła.

Wniosłem pakunek do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Potem zatelefonowałem na policję.

W środku było ucho oraz kolejna porcja poezji Baudelaire'a.

*Forma świata stawała się nierzeczywista*

*Jak szkic, co przestał nęcić*

*Na płótnie zapomnianym i który artysta*

*Kończy już tylko z pamięci.* — Kipiel odczytał na głos.

Był zaspany i zdenerwowany, wezwanie zastało go najpewniej w łóżku.

— Co to ma właściwie znaczyć?

— Cholera. Robi się coraz zimniej. — mruknąłem, raczej do siebie niż do kogokolwiek zekipy.

Napierało ani myślał o zdejmowaniu zabłoconych buciorów, co fatalnie odbiło się na estetyce imitacji perskich dywanów w obu pokojach.

— Proszę się czuć jak u siebie w domu, szefie — odezwałem się sarkastycznie. Sarkazm mój nie został jednak należycie odczytany.

— Co nowego, inspektorze? — zapytał Napierało; był bardzo zdenerwowany.

— Chyba będziemy musieli poczekać, aż przyśle wszystkie elementy tej. układanki. Wtedy zbierzemy do kupy i zamkniemy śledztwo.

— Po co obcinał palce u dłoni. — zastanawiał się na głos Kipiel.

— Prawdopodobnie chodzi o odciski. — Zamyśliłem się. — A to by oznaczało, że.

— Ze trup mógł być notowany! Możemy go mieć w kartotece! — podeksycytował się nadmiernie Kipiel.

— Tak. Trzeba by sprawdzić, który z notowanych zaginął ostatnio w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie tylko u nas — w całym kraju. I tak nie powinna to być astronomiczna liczba. Pan się tym zajmie, Kipiel.

Ekipa opuściła mieszkanie, unosząc ze sobą ucho.

Za cholerę nie mogłem zasnąć. Moje myśli krążyły wokół tajemniczego Kuby Rozpruwacza, seryjnego snu i, jakżeby inaczej, Joanny Anielskiej, najważniejszej miłości z mego życiorysu.

Około jedenastej w nocy mój znajomy dostarczył waltera. Po jego wyjściu dyskretnie puściłem *Requiem* Mozarta, które niezłe korespondowało ze stanem mych emocji, i wzięłem się za lekturę obowiązkową — *Kwiaty zła* Charlesa Baudelaire'a.

Joanna Anielska mieszkała w jedenastopiętrowym wieżowcu. Ściany windy pokryte były graffiti o treści i formie erotycznej. Joanna mieszkała na ostatnim piętrze. Winda wznosiła się z postępowaniem stalowych lin. Na drugim piętrze przysiadł się jakiś mocno pijany facet w podniszczonym płaszczu.

— Bywali chuzę wremienia, no nie było podlej — rzekł. Trzeba pecha, że trafił mi się akurat Rosjanin. — Eto Niekrasow. Citata, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem.

— Ja chcę na B-ma — zadysponował, jakby znajdował się w taksówce.

Wreszcie dojechaliśmy na ostatnie piętro i tam go opuściłem.

Zapukałem do drzwi jej mieszkania. Drzwi uchyliły się ledwo na długość łańcuszka.

To jednak wystarczyło, bym ujrzał jej twarz, wciąż piękną, ale zmęczoną. Coś mnie zawsze pociągało w tej upadłej Anielskiej. Była blondynką, i to taką, której nie zawarł w swej — zdawać by się mogło — kompletnej klasyfikacji Chandler w *Długim pożegnaniu* ani nawet Dostojewski w *Paskudnej historii*. Oni po prostu nie widzieli nigdy takiej blondynki jak Joanna. Kiedy ją poznałem — nie była jeszcze wtedy dziwką — czułem się jak odkrywca nowego gatunku, jak ten gość, który odkrył okapi.

Na mój widok zaniemówiła. Następnie zatrzasnęła drzwi. Może w ten sposób próbowała odciąć się od przeszłości? Ale przeszłość ma swoje konstytucyjne prawa. A prawa mają swoich egzekutorów. Naparłem ramieniem, łańcuch ustąpił natychmiast, a ja siłą impetu wpadłem do mieszkania.

— Policję wezwę! — zagroziła jakaś kobieta, chyba sąsiadka Joanny.

— Ja jestem policją — powiedziałem chłodno.

Joanna pobiegła do niewielkiego pokoju, jednego z trzech. Zachowywała się jak wystraszone zwierzątko.

— Mam u ciebie dług, Joanno — powiedziałem. Próbowała wcisnąć się we wnękę między ścianą a szafą.

— Nie jestem ci nic winna! — krzyknęła. — Jemu tak, ale nie tobie!

— Spokojnie. — zbliżałem się do niej powoli. Już wiedziałem, że Zimocha nie ma w mieszkaniu.

— To niemożliwe. Niemożliwe. — szeptała.

— Co jest niemożliwe? Nie spodziewałaś się mnie, prawda? W końcu minęło tyle lat.

— Podbiegłem i chwyciłem ją za ramiona.

— Twoje ręce... — szepnęła. — Są zimne...

— Nie spodziewałem się aż tak chłodnego przyjęcia. Nawet nie zaproponowałaś mi herbaty. — Nigdy nie potrafiłem z nią rozmawiać. Choćbym nie wiem jak długo układał sobie w myślach odpowiednie słowa, ostatecznie i tak zawsze wychodziłem albo na idiotę, albo na cynika. — O co chodzi? O Wieśka? Gdzie on jest? Już nie kibluje, prawda? Wyszedł. Na wiosnę. Odwiedzał cię? Odwiedził kobietę, która złożyła pod przysięgą obciążające go zeznanie w sądzie?! Fałszywe zeznanie, pamiętasz?!

— Zmusiłeś mnie. Zmusiłeś mnie do tego.

— Do niczego cię nie zmuszałem! Miałś go dość! Zapomniałaś, jak się nad tobą znęcał?!

— Kochałam go.

— Kłamstwo! Jesteś mi coś winna! — Trząsałem jej drobnym ciałem coraz mocniej. — Czas na spłatę długu.

Pocałowałem ją, ale nie oddała pocałunku.

— Ciebie... nie ma — powiedziała.

Oczywiście nie kupiłem pasty do zębów. Byłem rozdygotany, spotkanie z Joanną nie nastroiło mnie życzliwie do rzeczywistości, więc zamiast do pracy, udałem się do piwiarni Blaszano Bębenek. Knajpa mieściła się w przytulnej piwniczce przy ulicy W-

skiej na przeciw szpitala garnizonowego. Knajpa nie miała nic wspólnego z Grassem, nazwa pochodziła od obrazu przedstawiającego pokracznego faceta wybijającego na (blaszanym) bębenku jakiś rytm.

Lokalizacja piwiarni decydowała o nadprogramowych atrakcjach. Żołnierze z pobliskiego szpitala mieli bowiem w zwyczaju urywać się na kufelek nawet pozbawieni garderoby. Fałszywy wstyd nie był im przeszkodą.

Ledwo zdążyłem przysiąść na dębowej ławie, a natychmiast dołączył do mnie pijany mężczyzna w wieku popoborowym. Na głowie nosił czarny beret, który budził we mnie jakieś odległe skojarzenia, na tyle jednak odległe, że nie poświęcałem im należytej uwagi. Okazał się odporny na moje milczenie, co gorsza — sam gadał jak najęty.

— Jechałem, nie powiem, w niezłym towarzystwie. Ja za kierownicą, no to się oszczędzałem. Miałem w czubie nie więcej niż ćwiartę Stolicznej. Ale dziewczyny! Dziewczyny były kompletnie rozebrane! Alkoholem i w dosłownym tego słowa znaczeniu, że się tak, kurwa, wyrażę. — Delektował się przez chwilę wykwinem swej frazy. Nie trwało to długo. — Nagle zobaczyłem gliny. Zasuwali za nami, bez dwóch zdań! Nie wiem, kurwa, jak nas namierzili. Jechałem przepisowo, pięćdziesiątką, przepisowo, lewą stroną. lewą czy prawą? Nie pamiętam. Nawet na światłach się zatrzymywałem, choć jestem daltonistą i prawko załatwiłem na lewiznę, mówię panu, ubaw był po pachy! Ale o czym to ja. Skręciłem w M-ską, wiesz pan, taka ciemna uliczka, po której od czasu do czasu kręcą się babuszki. no, ruskie dziewczynki znaczy. No i tam rąbnąłem prosto w płot! Jakiś stary dom remontowali. Dobrze, że nam się rusztowanie na łeb nie zważyło. Co tu dużo gadać, dorwali nas, psie syny! Zadowoleni byli jak cholera. Wzięli mnie na izbę, nie mam pojęcia, co zrobili z dziewczynami, ale jakoś tam sobie poradziły. Obyło się bez prysznic, pospałem sobie. Rano przyszedł jakiś łaps w cywilu i trochę sobie pogadaliśmy. Zapytał, czy aby czego nie potrzebuję, troskliwy był. Na to ja mu prosto z mostu, że chętnie bym wypił piwo! A co! Wieszpan, jak to jest na kacu. Wygląda pan na takiego, co wie. Nie uwierzy pan, ale oni to piwo przynieśli! Potem domyśliłem się, że hipotetycznie założyli, że jestem z mafii samochodowej. — Tu urwał ku mojej uldze, chwilowej, jak się okazało. — Hipoteza... ten wyraz kojarzy mi się z innym, nie bliskoznacznym, ale blisko brzmiącym. Hipostaza. Słyszał pan o hipostazie?

Zaniepokoił mnie. Hipostaza była terminem filozoficznym, skąd zatem ta wiedza u knajpianego bywalca?

— A jest pan czy nie jest z mafii samochodowej? — zapytałem.

— A pan myśli, że gdybym był, to tłukłbym się maluchem z dwoma starymi dziwkami na tylnym siedzeniu?

— Won — powiedziałem. Byłem znużony, a dzień właściwie dopiero się rozpoczął.

— Taki z ciebie kozak? — podniósł się chwiejnie na nogi z czytelnym zamiarem naruszenia mej nietykalności osobistej.

— Chcesz, żebym cię zastrzelił, czy wystarczy zatrzymanie na czterdzieści osiem?

Wyszedł bez słowa. Ciągłe zdawało mi się, że skądś go znam. Gdyby *deja vu* było zaraźliwe, siedziałbym w izolacie.

Barman obrzucił mnie leniwym spojrzeniem i nic nie powiedział. Uznałem go za inteligentnego człowieka.

Na zewnątrz padał deszcz i było zimno. Wszędzie było zimno. Chwilami wydawało mi się, że noszę to zimno ze sobą. Jak parasol, portfel albo pistolet.

Świat rozpuszczał się w kroplach deszczu. *Forma świata stawała się nierzeczywista* — chodziła mi po łbie fraza Baudelaire'a.

Na ulicach było jakby mniej krzykliwe niż zwykle, wydawały się jakieś wyblakłe. Reklamy zwiędły, neony zniknęły, dominowała szarzyzna fasad.

— „Wyborczą” proszę — powiedziałem do znajomej kioskarki.

— „Wyborczą?” — zdziwiła się.

— Już wyszła? W takim razie wezmę pastę do zębów.

— Nie ma.

W komendzie na portierni czekała na mnie kolejna paczka.

— Leżała na schodach przed bramą. Wziąłem, bo jest na niej pańskie nazwisko, panie inspektorze. O co chodzi? — tłumaczył blady ze zdenerwowania oficer dyżurny.

— Nie słyszał pan o bombach przekazywanych w taki sposób?

— Bombach? — zdziwił się. — Panie inspektorze, tu nie redakcja ruskich gazet. Kto by tam nas chciał wysadzać w powietrze?

Nasunąłem na dłonie gumowe rękawiczki, z którymi od jakiegoś czasu właściwie się nie rozstawałem. Paczkę zaniósłem do siebie; była cięższa niż zwykle, co nie nastrajało mnie optymistycznie.

Przed drzwiami czekał na mnie Kipiel, miętoląc w przepocowanych dłoniach jakieś papierzyska. Był zdenerwowany, a na widok paczki zdenerwował się bardziej.

— Gdzie mój komputer? — zapytałem, gdy weszliśmy do pokoju. Na miejscu komputera stała mocno spalczowana maszyna do pisania marki Łucznik.

— Co jest w środku? — wykrztusił Kipiel.

— Zakładam z pewną dozą prawdopodobieństwa, że jakiś fragment trupa. Może wreszcie głowa i wszyscy, kurwa mać, odetchniemy z ulgą.

Traciłem panowanie nad sobą. Kiedy człowiek traci panowanie nad sobą, nie dba o maniery, dobór słów czy krawatów. Człowiek staje się niedbały.

Paczka została otwarta komisyjnie. Bez udziału saperów.

— Wygląda na. — lekarz zawahał się — kolano.

— I znów fragment *Padliny*, co? — Napierało pod wpływem powtarzających się związków przyczynowo-skutkowych objawiał zdolności prekognicji.

— Co z ekspertyzą grafologiczną? — zapytałem Kipiel.

— Obawiam się, że nie będzie pan zachwycony.

— Gdyby mi na tym zależało, pracowałbym gdzie indziej. Teraz wymagam od pana

konkretów.

– Chodzi o to. — Kipiel był zmieszany. — Chodzi o to, że konkretów. nie ma.

– Jak to? — kolejne ukłucie niepokoju. Jeszcze trochę i niepokój przekłuje nie na wylot.

– Grafolog stwierdził, że na podstawie dostarczonych mu próbek pisma, nie jest w stanie, nawet w ogólnym zarysie, stwierdzić czegokolwiek na temat cech psychofizycznych piszącego.

– Co to, u diabła, znaczy? ! — wrzasnął Napierało. Wyraźnie tracił coś, co ja utraciłem jakiś czas temu — panowanie nad sobą. Sprawa go przerastała. Nie tylko jego. Przerastała o niebo nas wszystkich.

– Nie sądzi pan, szefie, że już najwyższy czas wezwać stołecznych specjalistów? — zapytałem.

– Nie, panie inspektorze. Nie czas. Rozwiążemy tę zagadkę we własnym zakresie. A konkretnie — to pan ją rozwiąże. Dobrze by było, gdyby jeszcze w tym tygodniu.

Był piątek. Napierało wyszedł.

– Żadne nazwisko nie powtarza się na liście czytelników Bau-delaire'a i tej dostarczonej przez pana — relacjonował dalej Kipiel. — Ale mam jeszcze to.

Podał mi kartkę siedmioma nazwiskami.

– Co to jest?

– Lista notowanych, którzy zaginęli w ciągu ostatnich trzech tygodni.

– Dlaczego akurat trzech?

– To przypuszczalny czas zgonu pokawałkowanego trupa.

– Chyba trzyma go w lodówce.

– Wysoce prawdopodobne.

Rzuciłem okiem na listę. Grzesiak, Sikora... te nazwiska nic mi nie mówiły.

– Jest ktoś z O. albo najbliższych okolic? — zapytałem.

– Nie.

– Cholera.

– Może syndrom ramienia ślepego losu? — zapytał Kipiel, nie bez ironii.

– Może. Niech pan przeczyta nowy fragment.

*A jednak upodobnisz się do tego błota,*

*Co tchem zaraźliwym zieje,*

*Gwiazdo mych oczu, słońce mojego żywota,*

*Pasjo moja i mój aniele!*

Wciąż nic nie rozumiałem.

– Niech pan spróbuje odnaleźć niejakiego Zimocha — odezwałem się po dłuższym milczeniu. — Wiesława Zimocha. I niech pan jeszcze kogoś do tego zatrudni, to niebezpieczny facet.

– Pamiętam, był na pańskiej liście. Pan go chyba kiedyś przymknął.

– Zgadza się.



– Dlaczego akurat on? Facet nie należy do gatunku nałogowych czytelników XIX-wiecznej poezji francuskiej.

– Powiedzmy, że oto nagle odezwała się moja intuicja. Proszę też skombinować grupy krwi tych siedmiu zaginionych. I porównać je z naszą padliną.

– Rozumiem. Chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę, panie inspektorze. – Kipiel wwiertcił się we mnie wzrokiem. – Studiowałem z uwagą prowadzone przez pana w całej pańskiej. hm. karierze śledztwa i.

– Niech pan skończy z tą ironią, Kipiel. Jest dziecinna.

– I zaobserwowałem dziwną prawidłowość. W roku 1985 prowadził pan śledztwo w sprawie brutalnego morderstwa Katarzyny Torturskiej, dwudziestoletniej blondynki o niebieskich, rzecz jasna, oczach. Śledztwo zostało zamknięte po pięciu miesiącach. Siedem lat później zamordowano Wiesławę Szymańską, dwudziestoczworoletnią blondynkę o niebieskich oczach.

– Zimnych jak stal – wszedłem mu w słowo. – Zabił pięć kobiet o podobnych parametrach fizycznych. Morduje co jakiś czas, interwały są nieregularne, ale jest bardzo cierpliwy. Stale zmienia sposób zabijania, by nie rozszyfrowano serii.

– Kto, na miłość boską?!

– Nie wiem. Odkryłem to przypadkiem, bo miałem kiedyś dziewczynę. Blondynkę. O stalowych oczach, oczywiście.

– Dlaczego nikomu pan o tym nie powiedział?!

– Bo to moja sprawa! – warknąłem.

– To niezgodne z.

– Niech pan się zajmie Zimochem. Obiecuję, że po zakończeniu sprawy podam się do dymisji.

– Ale.

– Zimoch, panie Kipiel. W aktach znajdzie pan adresy prawdopodobnych melin. Proszę się postarać o stałą obserwację mieszkania Joanny Anielskiej. Była kiedyś kobietą Zimocha. Jeśli pan go odnajdzie, proszę natychmiast się ze mną skontaktować. Cześć pracy!

Wszystko wskazywało na to, że spędzę kolejną bezsenną noc. Tak, jakbym obawiał się tego cholernego snu. Na domiar złego prześladowały mnie natręctwa. Pierwszym był ów wyjątek z *Padliny: Forma świata stawała się nierzeczywista* i tak dalej. Drugą — owa hipostaza, której użył w rozmowie, a raczej monologu pijaka z *Blaszanego bębenka*. Termin występował w systemie ontologicznym Plotyna, spadkobiercy myśli platońskiej. Oznaczał kolejne, coraz mniej doskonałe emanacje Jedni (czyli bytu najdoskonalszego). Porządek powstawania bytów był zatem „porządkiem zmniejszającej się doskonałości”. I tak odpowiednio — od doskonałego Boga aż do świata materii, który według Plotyna odznaczał się wyjątkowo podłą kondycją i miał być pono hipostazą ostatnią. Przyszło mi na myśl, że może ów proces emanacji ciągnie się dalej,

ku coraz mniej doskonałym i nietwórczym postaciom bytu. Może aż do samego piekła?

Wreszcie ten komputer. Dlaczego go zabrali? Fakt, że nigdy nie używałem tego szmelcu, ale żeby zaraz podmieniać go na maszynę do pisania? Wtedy zrozumiałem, co mnie niepokoiło w komputerze, a raczej jego braku. Kurz. W moim pokoju na meblach osadzał się kurz. Komputer to monitor, drukarka, głośniki – w sumie kupa sprzętu. Maszyna do pisania zajmuje mniej miejsca. Gdy z długo nieodkurzanego mebla zabiera się jakiś sprzęt, zostaje zwykle jakiś ślad. Ale nie było śladu. Kurz był nienaruszony. Nienaruszony.

Było mi cholernie zimno, szczególnie w stopy. Druga zasada termodynamiki działała bez zarzutu. Ciepło nie może samorzutnie przechodzić z ciała zimniejszego do cieplejszego. I jak tu się ogrzać? Entropia. Kurwa, trzeba działać, żyć, by przegnać chłód, by zapełnić pustkę, by rozgrzać absolutne zero. Zawsze wydawało mi się, że ludzie zostali powołani do istnienia po to, by przeciwdziałać entropii, poprzez organizację, przez dobywanie z materii energii, poprzez działanie. Jednak to entropia była zasadą rządzącą Wszechświatem. Jako czynnik przeciwdziałający entropii, ludzie są w gruncie rzeczy anachronizmem. A jak to ładnie ujął Philip Dick w *Valis*: „Do obyczajów Wszechświata należy likwidacja anachronizmów”.

Glina-filozof. Oto czynnik pogłębiający lokalnie entropię. Tak, entropii należy sprzyjać, wolność to uświadomiona konieczność. Konieczność to powinność.

Zapaliłem lampkę. Za cholerę nie dało się spać. Postanowiłem poczytać coś, co nie było *Kwiatami zła*. Może *666 upadków Bunga Witkacego*? Zaraz... na pewno 666? Nie 622? Nie pamiętam.

Czy fragmenty *Padliny* były rzeczywiście jakimś przesłaniem? Przypuśćmy, że pierwszy fragment to preludium, wstęp, zaproszenie do gry. Oczywista analogia tytułu wiersza i pokawałkowanego ciała. Drugi fragment, bardziej niepokojący, to owa forma świata, co stawała się nierzeczywista. I ten tekst doprawdy utkwiał mi w mózgu jak ćwiek. Zagadkowy był fragment trzeci. Czy dobrał go przypadkowo? Nie, to nie mógł być Zimoch, za wielka komplikacja intrygi. Zimoch, nawet gdyby żywił wciąż do mnie urazę, załatwił by to inaczej, szybciej, prościej.

Trzeci fragment.

W powietrzu, jakby nagle zgęstniałym, snuło się *Requiem*.

Zaraz, zaraz... *Upodobnisz się do tego błota...* Sugeruje, że zginę, że sam będę padliną? Czuję, że jestem o krok od ważnej myśli, kiedy rozdzwonił się telefon.

– Tu Kipiel, panie inspektorze. Dzwonię z budki. Namierzyłem Zimocha.

– Gdzie?

– Ulica O-na. W melinie pijackiej.

– Niech pan czeka na mnie. Nie podejmować żadnych działań. Zadzwoń po wsparcie.

Odłożyłem słuchawkę. Wyjąłem z szuflady waltera i sprawdziłem zawartość magazynka. Postanowiłem na razie nie dzwonić po wsparcie. Na razie nie.

Na zewnątrz temperatura spadła sporo poniżej zera; kałuże ściał mróz.

Z otwartego okna mojego własnego mieszkania ściagało mnie *Requiem*. Zapomniałem wyłączyć adapter. Ulica tonęła w ciemności. Wszystko to wzięte razem wydawało się takie... nierzeczywiste.

— Chciałbym obejrzeć pańską broń, obywatelu inspektorze — powiedział sierżant Sawicki.

Kipiel leżał na kamiennej posadce. Jego czaszka była roztrzaskana kulą dość znacznego kalibru. Zastrzelili go na klatce schodowej starej czynszowej kamienicy przy ulicy O-na.

— Czyś pan oszalał, Sawicki?! — zirytowałem się. — To robota niejakiego Zimocha. Gdyby, może i dość niefortunnie, porównać mord do wyścigów konnych, miałbyś pan szansę obstawić pewniaka. Kiedy tu przyjechałem, stażysta Kipiel był martwy. A mówiłem gówniarzowi, żeby zaczekał na wsparcie.

— Chciałbym po prostu obejrzeć broń służbową obywatela inspektora.

Dałem mu pistolet.

Powąchał lufę i oddał bez słowa. Niewierny Tomasz.

Nie myślałem już o Kipielu. Nie polubiłem drania. Natomiast we łbie brzęczał mi nieustannie trzeci fragment *Padliny*. Upodobnisz się do tego błota.

Poszedłem do parku dotkniętego jesienią jak trądem.

Wszedłem na most i stamtąd wrzuciłem do rzeki waltera. Czułem się tak, jakbym żegnał najlepszego przyjaciela. Bywaj, walterze!

*Upodobnisz się do tego błota. upodobnisz się. mój aniele. gwiazdo mojego żywota... Mój aniele?!*

Dopiero wtedy zrozumiałem. Dlaczego tak późno?

Pobiegłem do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniłem na komendę. Podałem dyżurnemu adres Joanny Anielskiej; sam puściłem się biegiem. Gdy dotarłem na miejsce, policyjna warszawa już tam stała. Była mniej więcej dwunasta w nocy. Funkcjonariusz mnie nie poznał, więc zamigotałem mu przed oczami legitymacją.

— W mieszkaniu nikogo nie ma, obywatelu poruczniku — zameldował Sawicki.

— Niech pan przestanie się zgrywać, Sawicki! Mundurowy stojący przed drzwiami mieszkania Joanny czytał

„Trybunę Ludu”. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się niezobowiązująco.

— Mają dobrą rubrykę sportową. Wszedłem.

— Są ślady walki — usłyszałem zza pleców głos Sawickiego. — Przewrócony stolik, rozbita lampa. Chyba. bronila się.

— Won! — ryknąłem.

Potrzebowałem jakiejś śladowej intymności; za wszelką cenę. Samotność. Spokój.

I zostałem sam. Wokół unosiła się aura niedawnej obecności „mego anioła” —

Joanny Anielskiej.

Wyrząłem przez okno. Padał śnieg. Przy sklepie mięsnym formowała się kolejka. Ludzie przytupywali dla rozgrzewki nogami. Forma świata stawała się.

— Kurwa!

Trzeba wziąć się w garść. Na dobrą sprawę nie było alternatywy. Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

— Obywatelu poruczniku, jest ekipa.

Coś niedobrego działo się albo ze światem, albo ze mną. Nie wiem, która z tych ewentualności była bardziej, a która mniej kusząca. Może te wszystkie fenomeny z niewyspania? Nie spałem od trzech dni. Byłem bardzo zmęczony.

Sąsiadka Joanny usłyszała wprawdzie dźwięk tłukącego się szkła i stłumiony okrzyk. Oglądała jednak akurat batalistyczne sceny z monumentalnego filmu radzieckiego, przy którym wszystko traciło znaczenie. Mało to rzeczy ludziom się tłucze? Szczególnie po łbach? Mało ludzi krzyczy? Właściwie bez powodu? Albo gada za dużo?

Tym bardziej że Joanna cierpiała na tzw. Zespół Uporczywej Ofiary. Z dużym talentem wynajdywała sobie brutalnych facetów, którzy traktowali ją obcesowo, eufemistycznie rzecz ujmując. Czasem byli to nawet normalni ludzie, lecz całkowita uległość Joanny doprowadzała ich do ostateczności. Może nawet Zimoch właśnie tym sposobem stał się zbrodniarzem? Badając syndromy wspomnianego zespołu, często zastanawiałem się, kto w istocie jest tu ofiarą? Ofiara właściwa czy też ofiary wtórne, odpryski jej obezwładniającej bezradności wyzwalaającej w innych potworność?

W mieszkaniu wreszcie zasnąłem.

*Śmierć nie należy do przyjemności, zatem usiłuję przeżyć. Nie mam już żadnych wątpliwości — to głos Zimocha. Mój wzrok przebija się wreszcie przez ciemności i widzę niewyraźny zarys jego sylwetki. Jest oddalony o jakieś dziesięć metrów.*

*— Porozmawiajmy — proponuję.*

*Diabli nadali, że nie mam przy sobie broni. Ale kto udaje się na randkę z gnatem pod pachą? Zimoch milczy.*

*— Przyszedłem w te okolice, by spotkać się z kobietą — mówię, by zabić ciszę; jednocześnie gorączkowo myślę nad sposobem ewakuacji. — Błyskawiczny skok w wąską uliczkę? Nie mogę sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie kończy się ślepo...*

*— Widzi pan... — udaję, że go nie rozpoznałem. — Właściwie jestem typem samotnika. Cholernie czasem potrzebuję kobiety.*

*W chwili gdy wypowiadam tę banalną kwestię, natychmiast nachodzi mnie gorzka refleksja — przecież Joanna Anielska była kiedyś kobietą Zimocha!*

*A może... Może to ona mnie wystawiła...*

*— Śmierć też jest kobietą — zauważa Zimoch.*

Obudził mnie telefon. Podjąłem słuchawkę, rozmowy jednak podjąć nie mogłem.

— Rozmowa jest kontrolowana, rozmowa jest kontrolowana, rozmowa. — dobywał się ze słuchawki beznamiętny głos.

— Co za brednie! — krzyknąłem.

Wyrwałem kabel telefonu. Żeby w taki prosty sposób można było oderwać się od rzeczywistości.

— Do cholery, obywatelu poruczniku! Szukamy was od trzech godzin! — darł się Sawicki.

— Nas?! Co tu się, kurwa, dzieje?! Jaki porucznik?! Jaki obywatel?! I gdzie jest mój pierdolony komputer?! — krzyczałem, konwencjonalne bowiem sposoby komunikowania się wydały mi się nie na miejscu.

Ku memu zaskoczeniu komputer stał się dla mnie niezwykle istotnym elementem świata. Był jak kotwica trzymająca mnie u brzegów — niezbyt, jak się okazało, rozległego — ładu rzeczywistości. Gdzie jest moja kotwica?!

— Mamy go, obywatelu poruczniku!

— Komputer! Znalazł się?!

— Co wy z tym komputerem, jak pragnę zdrowia! Zimocha mamy! Właśnie go przesłuchujemy!

— Gdzie? — zapytałem.

Ruszyliśmy: Sawicki przodem, ja za nim. W korytarzu na ścianie samotnie wisiał portret Dzierżyńskiego. Wtedy pomyślałem, że to czas się cofa. W pewnym stopniu tłumaczyło to choć niektóre fenomeny mnożące się wykładniczo wokół mnie. Z drugiej strony, ja nie stawałem się młodszy, nie traciłem świadomości zdarzeń zaszłych w rzekomej przyszłości. Sawicki też nie wydawał się młodszy. Więc to nie to. Co dziwne, tylko ja dostrzegałem ów trąd degenerujący świat. Porównanie było jak najbardziej na miejscu — coraz to inne części rzeczywistości jakby odpadały, usychały, były wymazywane. Świat upraszczał się chwalebnie. Solipsyzm? To ja stwarzam świat we własnej świadomości; cała reszta zaś to marionetki i dekoracje o różnym stopniu umowności, „tekturowości”?

Pokój przesłuchań był przytulnym pomieszczeniem o ścianach tak nagich, że niemal wywoływały u zdrowego mężczyzny erekcję. Jedynym meblem było krzesło, w tej chwili akurat zajęte przez Zimocha. Z sufitu spuszczone na kablu żarówkę dwustuwatową, która miała za zadanie rozjaśniać myśli przesłuchiwanemu. Zimoch był już dotkliwie poobijany, co wyglądało na wyłączną zasługę Marcza, dawniej specjalisty od twardych przesłuchań. Od czasu słynnej trylogii Pasikowskiego nazywano Marcza Psem, ponieważ był jednym z pozytywnie zweryfikowanych ubeków. Nigdy nie słyszał o prawach człowieka i do niedawna wierzył, że O. to stolica Polski.

– Wypierdalać — rzekłem z jakąś zimną zaciętością w głosie. Wyrzucanie ludzi z różnych pomieszczeń weszło mi ostatnio w krew.

– Co? — Marczak patrzył na mnie bez zrozumienia.

– Chcę zostać z podejrzanym sam.

– To niezgodne z... — Sawicki urwał nagle pod moim spojrzeniem. Gdyby spojrzenia miały moc zabijania, trup Sawickiego byłby trudny do zidentyfikowania.

Zimoch był półprzytomny, diabli wiedzą jak długo go poszturchiwali. Podałem mu blaszany kubek z wodą. Była zimna jak lód;

właściwie trudno powiedzieć, dlaczego nie była lodem. Podniósł niechętnie głowę i spojrzał na mnie.

– Cholera — powiedział i uśmiechnął się podpuchniętymi wargami. — Albo się starzeję, albo wariuję

– Mam bardzo podobne odczucia — zapewniłem go. — Odwiedziłem Joannę...

– Odpierdol się od niej! — wyraźnie się ożywił. — Zostaw ją w spokoju, śmieciu!

– Kogo zarżnąłeś tym razem? — zapytałem. — Kogo mi, kurwa, podsyłasz w paczuszkach?! Mów! Kim jest ten trup?!

– Zgadnij. — Znow się uśmiechnął.

– Co to ma być, do kurwy nędzy, zgadywanka jakaś?! Mów, kim jest ten pokawałkowany trup!

– Nie pokroiłem. ciała — wyznał nieoczekiwanie.

– Ale to ty go zabiłeś.

– Ja. Nie kroilem ciała.

– A Baudelaire?

– Bod. co?

Wierzyłem mu. Od samego początku wiedziałem, że nie miał nic wspólnego z tym cholernym Baudelairem. Więc był ktoś jeszcze. Kto?

– Zastrzeliłem go. Zabiłem jak psa, bez litości, bo to był wyrok, a nie morderstwo. Wyrok, rozumiesz? Powinieneś rozumieć. Ciało zakopałem w parku. Nad rzeką. Nie wiem, kto odkopał to ścierwo.

– Kim był trup, Zimoch? Kogo zabiłeś? Na kim wykonałeś wyrok? I za co?

Zimoch wciąż się uśmiechał.

– Po cholere porwałes Joannę? To go ruszyło.

– Joannę?! O czym ty mówisz?! Co jej zrobiłeś, śmieciu?!

Uderzyłem go. Mocno. Przewrócił się razem z krzesłem. Żarówka rozkołysała się, a wraz z nią cienie. Był ktoś jeszcze. Taaaak. Ktoś jeszcze.

– Kto mógł to zrobić? — zapytałem.

– Tylko ty przychodzisz mi na myśl.

– Kogo zamordowałeś? — spróbowałem raz jeszcze.

– Nie spodobałaby ci się moja odpowiedź.

Na korytarzu czekał na mnie płonący z niecierpliwości Marczak.

- Dać skurwielowi wycisk! — zadysponowałem.
- Zrobi się, towarzyszu poruczniku.

*Ciebie nie ma, pobrzmiwały w pamięci słowa Joanny. Nie spodobałaby ci się moja odpowiedź — to z kolei fraza Zimocha. Co się dzieje? Co to za gra? Jakie są reguły? Są jakieś?*

Entropia zagnieździła się we mnie. Rozkład, hipostazy, porządek zmniejszającej się doskonałości — łąziło mi pokrętnie po głowie. Gdzie była Joanna, kto pokroił trupa, kim był trup, no i gdzie mój cholerny komputer?

Zabarykadowałem się w mieszkaniu i zażyłem trzy tabletki nasenne. Czekałem na sen, jak czeka się na coś ostatecznego. Na przykład na śmierć.

*— Poczekaj, Zimoch! — gram w otwarte karty. — Nie postępuj pochopnie!*

*Mówię spokojnie, dobitnie, nie dobór argumentów jest ważny, lecz sposób ich wypowiedzania — to stara prawda.*

*— Zmusiłeś ją do tego. Zmusiłeś, by składała fałszywe zeznania, żeby kłamała.*

*— To nieprawda, przecież wiesz, że to nieprawda. Nie musiałem jej zmuszać. Po prostu chciała się ciebie pozbyć. Nie byłeś ideałem kochającego mężczyzny, ona też odległa była od doskonałości. — urywam w pół zdania, bo nagle uświadamiam sobie, że przyjęta przeze mnie taktyka jest samobójcza. — Zimoch, przecież ty dopiero co wyszedłeś z pierdła. Po co ci to?*

*— Milcz, śmieciu. Odrobinę godności w obliczu śmierci. To już jest koniec.*

*— Nie. To jeszcze nie koniec — odzywa się ktoś trzeci, ktoś, kogo nie widać.*

*Nie mam jednak czasu na namysły, bo właśnie w tym momencie decyduję się jednak na ucieczkę.*

*A więc biegnę. Biegnę. Biegnę. Jak nigdy w życiu.*

*Pada strzał. Suchy jak jesienny liść. Padam i ja. Jak jesienny liść.*

*Ból. Ale to tylko moment, krótka chwila. Potem robi się zimno. Jest coraz chłodniej. To chodnik taki zimny. Nie. To nie chodnik.*

— Wie pan, inspektorze. — Na krześle siedzi mężczyzna, którego nie znałem, ale nie wyglądał obco. — W powszechnym mniemaniu piekło jest miejscem rozgrzanym do czerwoności, potępione dusze zasię przypiekają się na piekielnych rusztach przez okres wieczności.

— Jak pan tu wszedł? Zignorował moje pytanie.

— Tymczasem — kontynuował — piekło jest w swojej istocie śmiertelnym mrozem, bezruchem totalnym, bezsensem absolutnym, chaosem okrutnym, realnym komunizmem nawet. Tak. Teoria hipostaz bliska była prawdy. No i druga zasada termodynamiki. Ciepło nigdy nie przechodzi z ciał wychłodzonych do obdarzonych łąską ciepła. Taaak. Z piekła nie ma ucieczki, inspektorze Opierunek.

Rozpoznałem go. To był ten facet w berecie, co mnie obserwował z uwagą przed

komisariatem, to ten typ odrażający z knajpy!

— Znakomity warsztat aktorski. Szkoda marnować takie zdolności. — powiedziałem. Zastanawiałem się, gdzie, u diabła, pozostawiłem broń.

— Broń jest tutaj — rzekł on. Podniósł ze stołu swój nieodłączny beret, a pod beretem był pistolet.

Dopiero teraz dotarło do mnie, jak piekielnie zimno jest w mieszkaniu. Piekielnie zimno.

Na stole leżała także kolejna paczka.

— Co pan zrobił z Joanną Anielską? — zapytałem.

— Szlachetna troska! Pan mnie zdumiewa, inspektorze. Nic nie zrobiłem z panią Joanną. Co nie znaczy, że nigdy nie zrobię. Pani Anielska, nazwisko jakby nieadekwatne, ale mniejsza. Otóż pani Anielska żyje sobie, czego o panu w żaden sposób powiedzieć się nie da, nie rozmijając się przy tym z prawdą. Czy kiedy mordował pan te wszystkie dziewczyny, myślał pan o pięknej Joannie? Dlaczego nie interesował się pan jej losem, kiedy staczała się na dno? Gdy zignorowała pańskie zainteresowanie, pan zignorował jej istnienie?

— Milczeć.

— Pan jest padliną, Opierunek, co stało się oczywiście za sprawą pana Zimocha. Zamordował pana z powodu osobistej zemsty, bo to jednak nie on popełnił tę zbrodnię, za którą go skazano. Sprawili to pańskie matactwa i fałszywe świadectwo Joanny Anielskiej. Biedak, też tu trafi. Za jakiś czas. Wszystko jest tylko kwestią czasu.

Sen to nie sen, myślałem. Rzeczywistość to nie rzeczywistość.

— Jeżeli ma pan jeszcze jakieś wątpliwości, zawsze może pan rozpakować ostatnią przesyłkę. I spojrzeć, że się tak wyrażę, prawdzie prosto w twarz.

— Sugeruje pan, że trup. I że to miejsce to.

— Piekło. Na które solidnie pan sobie zapracował. Specjalista od spraw nie do rozwiązania, co? Ładnie to pan wymyślił, nie powiem. Wielokrotny morderca, który prowadzi śledztwa w sprawie popełnianych przez siebie mordów. Majstersztyk. Zamordował pan z zimną krwią, zimną jak lód, że pozwolę sobie na tę niezbyt subtelną aluzję, siedem osób, w tej liczbie cztery blondynki nieco przypominające Joannę Anielską. Nawet w piekle kontynuuje pan, wprawdzie wirtualnie, lecz liczą się intencje, którymi brukujemy tu drogi. Kipiel.

— Jest pan świetnie poinformowany. Ale to nie ja jestem padliną, lecz świat cały. Rzeczywistość to ściervo przepelnione słabeuszami! Rozkładają świat, to obłe cielsko, jak czerwie trupa. Ja tylko chciałem być ponad tym. decydować o sobie. Ponad tak zwanym społecznym ładem, ponad konwencjonalną moralnością, bez etycznych kagańców. Chciałem być wolny...

— Niczym Raskolnikow — wtrącił nieznajomy.

— Raskolnikow miewał wyrzuty sumienia i mnóstwo innych niepotrzebnych balastów. Dostojewski był moralistą. Ale widzę, że pan odcytany.



– Pochlebiam sobie, że znam całą literaturę światową do XX wieku. Literatura XX-wieczna wymyka się nieco mojej percepcji; natomiast poinformuję pana w głębokiej konfidencji, że w wieku XXI literatury w ogóle nie będzie. Ale powróćmy do pańskiego upadku. Czy też, jak pan woli, wzlotu.

– Ja właściwie od zawsze wiedziałem, że jedynymi prawdziwie wolnymi ludźmi są zbrodniarze. A to dlatego, że z łamania społecznych uwarunkowań uczynili profesję! Bo czymże w istocie są owe warunkowania, kodeksy, prawa, umowy? To prosta funkcja ludzkiego egoizmu. Nie chcemy być zamordowani, zatem wymyślamy „uniwersalne” prawo: nie zabijaj.

– Pan się uważa za utilitarystę?

– Nic podobnego! Utylitaryści nie mieli złudzeń co do naszej natury, ale godzili się z takim porządkiem rzeczy. Ja – nigdy! Wie pan, pewnego dnia, miałem wtedy może siedemnaście lat, na pewno było to przed maturą... przechodziłem obok kiosku zamkniętego z jakiegoś powodu na kłódkę i złapałem się na niepokojącej myśli, że właściwie nie ma żadnego powodu, dla którego miałbym nie rozłupać tej nieszczęsnej kłódki i nie zabrać czegokolwiek z kiosku. Dalej zapytałem siebie, dlaczego tak niewielu ludziom podobne myśli goszczą we łbie? Pominąwszy przewidzianą za podobny czyn karę, co wynika z egoistycznego w swych korzeniach prawa, winę za taki stan rzeczy ponosi nieustanne pranie mózgu, owe pozornie oczywiste prawdy wciskane nam od kołyski. Właśnie z tego powodu nie forsujemy kłódek. Takie sobie małe ograniczenia, uwarunkowanie w mikroskali, które w rezultacie prowadzą do absolutnego zniewolenia umysłu! Nie uwierz pan, ale wszystkie moje późniejsze zbrodnie, które popełniałem w majestacie prawa, były prostą konsekwencją tej szczeniackiej, pozornie banalnej myśli! – urwałem, bo aż mi w gardle zaschło od nadmiaru wypowiedzianych słów, którymi od tylu lat chciałem podzielić się z kimkolwiek. I nie mogłem.

– A gdyby Joanna pana pokochała? – zapytał diabeł. Nie odpowiedziałem.

Diabeł patrzył na mnie ze smutkiem w swoich czarnych jak moja dusza oczach. Nałożył beret. Czarny. Potem wstał od stołu.

– Wie pan, inspektorze – rzekł na odchodnym – czasem, kiedy zdarza mi się wysłuchiwać zwierzeń potworów pańskiego pokroju, myślę sobie, że wykonuję swoją pracę aż za dobrze.

Wyszedł.

Piekiło nie jest dobrym miejscem na wyrzuty sumienia. Postanowiłem trwać. Na przekór entropii, w samym sercu piekła!

Ubrałem się najcieplej jak tylko mogłem i wyszedłem z domu. Ustawiłem się na końcu półkilometrowej kolejki przed sklepem mięsnym. Myślałem o paczce, która wciąż czekała na mnie w mieszkaniu. Zawsze uwielbiałem otrzymywać korespondencję, paczki, przesyłki, listy. A potem przez długi, długi czas ich nie otwierałem i wyobrażałem sobie, co też jest w środku.

Zawartość.

Wiedziałem, co było w tej paczce.  
Przytupywałem nogami i rozcierałem zgrabiące dłonie.  
Było zimno.  
Coraz zimniej.

## SPIS TREŚCI

Dwie krople deszczu	5
Rzeka	34
Żona cenzora	81
Ósmy dzień	117
Anioł tkwi w szczegółach	172
Cztery pory roku	188
Padlina	202